

ARTHUR CONAN DOYLE

HARPUN CZARNEGO PIOTRA

**I INNE OPOWIADANIA
TLUMACZENIE ZBIOROWE**

SHERLOCK HOLMES W EYFORD

W ciągu długich lat naszej serdecznej przyjaźni Sherlock Holmes rozwiązał mnóstwo zawikłanych spraw. Trudno wprost zliczyć! Tysiące skomplikowanych zagadek i prawdziwych „historii z dreszczykiem...” Ale chyba tylko dwie z nich były naprawdę godne jego geniuszu: sprawa Hatherleya i szaleństwo pułkownika Wartburtona. Każda jedyna w swoim rodzaju! Smutny, wypadek obłądu otwierał pole do popisu dla wnikliwego w całym tego słowa znaczeniu obserwatora. Natomiast historią inżyniera Hatherleya zasługuję na specjalne wyróżnienie ze względu na wstrząsającą akcję, która obfituje wprost w dramatyczne epizody pełne napięcia i grozy. Co za bogactwo wrażeń! Zapomina się nawet, że mój przyjaciel nie miał w tym wypadku wiele okazji do zastosowania swej słynnej metody dedukcyjnej. A przecież metoda ta — to sława Holmesa! Dzięki niej osiągał zawsze wspaniałe wyniki.

Całe wydarzenie, o ile mi wiadomo, znalazło się na łamach prasy. Lecz czyż może wzbudzić większe zainteresowanie wzmianka objętości pół kolumny druku? Tymczasem to sarno zdarzenie, Ujęte w formie opowieści, fascynuje swą niezwykłością i barwą. Tu dopiero roztoczyć można plastycznie przed oczyma czytelnika cały bieg Wydarzeń i ukazać żywe postacie, W miarę zaś jak każde nowe odkrycie zbliżają nas krok za krokiem do rozwiązania zagadki, coraz wyraźniej zarysowuje się niesamowitość akcji.

Okoliczności towarzyszące sprawie Hatherleya wywarły na mnie głębokie wrażenie. I to jeszcze jakie?! Po dwu nawet latach niewiele się zatarło! Pamiętam jak dziś. Było to latem 1889 roku, krótko po moim ślubie. Powróciłem właśnie do praktyki lekarskiej i ostatecznie wyprowadziłem się z mieszkania Holmesa przy Baker Street. Niemniej stale go odwiedzałem i zawsze serdecznie zapraszałem do siebie. Ileż to razy namawiałem go, by porzucił, w miarę możliwości, swój cygański tryb życia! Wszystko na nic.

Tymczasem moja praktyka powoli powiększała się. Mieszkałem nie opodal dworca Paddington. I tak się stało, iż mimo woli zdobyłem sobie kilku pacjentów wśród tamtejszych urzędników. Jednego z nich bowiem wyleczyłem z bolesnej i przewlekłej choroby, za co z wdzięczności robił mi wielką reklamę i przysyłał każdego chorego, którego tylko dało się namówić. A był bardzo wymowny!

Pewnego dnia, krótko przed godziną siódmą rano, obudziło mnie donośne stukanie do drzwi. Była to służąca Betty. Oznajmiła, że z Paddington przyszły dwie osoby i czekają na dole. Ubrałem się pośpiesznie i szybko zbiegłem po schodach na dół. Chyba wypadek kolejowy!? Doświadczenie nauczyło mnie, że wymagają one niezwłocznej interwencji, a z reguły bywają skomplikowane. Na parterze spotkałem mojego starego sympatyka. Oczywiście znowu przyprowadził chorego. Właśnie zostawił go w gabinecie.

— On już tam jest! — wyszeptał wskazując za siebie. — Wszystko w porządku!

— Co się stało? — zapytałem zaciekawiony. Zachowywał się bowiem tak, jakby zamknął w moim gabinecie jakiegoś niesamowitego osobnika.

— Nowy pacjent — wyszeptał. — Wolałem go osobiście przyprowadzić. W ten sposób nie mógł się już „odmyślić”. Stąd już nie umknie! Ech! Zresztą jest przecież w dobrych rękach. Muszę już iść, doktorze, mam swoje obowiązki tak samo jak pan.

Mój „sprzymierzeniec” wyszedł, nie dając mi nawet czasu na podziękowanie.

W gabinecie zastałem siedzącego przy stole człowieka o powierzchowności budzącej zaufanie. Ubrany był w dobry tweedowy garnitur o barwie wrzosu. Zmiętą czapkę położył na moich książkach. Całą jego dłoń spowijała chusta zbroczona krwią. Był to młodzieniec najwyżej

dwudziestopięcioletni. Zdecydowanie męski typ. Uderzyła mnie jego niezwykła bladość. Za wszelką cenę starał się opanować zdenerwowanie, wywołane jakimś wstrząsającym przeżyciem. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

— Dzień dobry, doktorze! — odezwał się nieznajomy. — Przykro mi, że zerwałem pana z łóżka o tak wczesnej porze, ale spotkał mnie tej nocy naprawdę poważny wypadek. Przyjechałem o świcie z Eyford do Paddington. Na stacji pytałem się o jakiegoś dobrego lekarza i ostatecznie ów zacny człowiek przyprowadził mnie do pana. Dałem służącej bilet wizytowy. Niestety, zostawiła go tu na brzegu stołu.

Przeczytałem wizytówkę: *Mr. Wiktor Hatherley, inżynier hydraulik, 16, A. Victoria Street, 3 piętro*. Teraz znałem już nie tylko nazwisko, lecz zawód i adres mego pacjenta.

— Przykro mi bardzo, iż musiał pan chwilę czekać — powiedziałem. — Proszę! Niech pan siada wygodnie i od— pocznie trochę po nocnej podróży, która z natury rzeczy jest, nudna i męcząca.

— Och! Takiej nocy, jaką dziś przeżyłem, w żadnym wypadku nie nazwałbym nudną! — odparł ze śmiechem. Odchylił się do tyłu. Śmiech jego stopniowo wzrastał się, trząsał nim, chwilami przechodził niemal w spazmatyczny chichot. Wzdrygnąłem się. Co za niesamowity wybuch wesołości! Jako lekarzowi dał mi on wiele do myślenia.

— Spokojnie! Opanuj się pan! — krzyknąłem i chlusnąłem nań wodą z karafki. Nic nie pomogło. Typowy atak hysterii. Ulegają mu również i silne natury. Widocznie zbyt długo starał się opanować zdenerwowanie, wywołane jakimś wstrząsającym przeżyciem, i to spowodowało reakcję. Po chwili zaczął się uspakajać. Śmiał się coraz słabiej, potem uderzyła nań fala gorąca. Znać było po nim kompletne wyczerpanie.

— No zrobiłem z siebie durnia — rzekł wreszcie, z trudnością łapiąc oddech.

— Ech! Nie jest tak źle! Niech pań to wypije. — Dołałem nieco wódki do wody i podałem mu. Bezkrwiste policzki poczęły stopniowo nabierać rumieńców.

— Już mi lepiej — powiedział. — A teraz, panie doktorze, może pan będzie łaskaw obejrzeć mój palec, a raczej miejsce, na którym mój palec powinien się znajdować.

Rozwiązał chustkę i wyciągnął rękę. Chociaż jestem lekarzem, widok ten podziałał mi na nerwy. Straszna, gąbczasta, poszarpana rana wśród czterech sterczących palców. Wyglądało to tak, jakby kciuk został wyszarpięty potężną siłą.

— Wielkie nieba! — krzyknąłem. — Ależ to straszna rana. Musiała chyba silnie krwawić.

— Tak! — odrzekł. — Straciłem przytomność, gdy to się stało. Prawdopodobnie przez dłuższy czas leżałem bez zmysłów. Wreszcie ocknąłem się. Rana jeszcze krwawiła. Związałem silnie przegub ręki, pod chustką zaś umieściłem kawałek drewna. Miał on uciskiem tamować krew.

— Wspaniale, powinien pan być chirurgiem!

— No cóż! To jest niejako sprawa z dziedziny hydrauliki, a więc wchodzi tym samym w zakres mojej specjalności.

— Jak to się stało? — rzekłem badając ranę. — Co to za narzędzie? Chyba coś ostrego i ciężkiego?

— Pewnego rodzaju obcęgi — powiedział.

— Wypadek, przypuszczam?

— Ależ! Nic podobnego!

— Co? Czy chciano więc może pana zamordować?

— Bah! I to jeszcze w jaki sposób?!

— Niemożliwe!?

— Przemyłem i oczyściłem ranę. Po wydezynfekowaniu założyłem opatrunek i bandaż. Pacjent leżał spokojnie. Tylko chwilami przygryzał wargi.

— No, jak pan się czuje? — spytałem go po skończonym opatrunku.;

— Świetnie! Wódka i opatrunek sprawiły, że czuję się jak nowo narodzony. Osłabienie zupełnie już minęło.

— Może by było lepiej dla pana nie mówić o tej całej sprawie? Niewątpliwie jest to dla pańskich, nerwów nie wskazane.

— Ach, nie! Teraz już nie! Właściwie powinienem donieść o moim wypadku policji. Ale mówiąc między nami, gdyby nie to, że jest przekonywający dowód w postaci rany, to sam dziwiłbym się, gdyby oni uwierzyli mojemu opowiadaniu. Jest to bowiem całkiem niezwykle wypadek. Właściwie nie jestem nawet w stanie udowodnić, że w istocie on mi się przydarzył. Nawet jeśli mi dano wiarę, to informacje, jakich mógłbym udzielić, są nader skąpe. Toteż wątpię, czy udałoby się policji ująć przestępców.

— Ha! — krzyknąłem. — Chce pan naprawdę wyjaśnić tę sprawę? A więc przed zgłoszeniem do policji zwróć się pan najpierw do mojego przyjaciela, Sherlocka Holmesa.

— O! Toć już o nim słyszałem! Byłbym bardzo, wdzięczny, gdyby chciał się zająć moją sprawą. Chociaż, naturalnie, muszę również zawiadomić policję. Czy mógłby mi pan mnie polecić?

— Jeszcze lepiej! Zaprowadzę pana do niego.

— Będę panu niezmiernie zobowiązany, doktorze.

— A więc bierzemy dorożkę i jedziemy. Czy to panu odpowiada?

— Ależ oczywiście! Nie odzyskam spokoju, dopóki nie opowiem o mojej przygodzie.

— Wobec tego mój służący wezwie dorożkę, a ja wrócę tu za chwilę.

Pobiegłem szybko na górę i wyjaśniłem sprawę mej żonie. Nie upłynęło nawet pięć minut, jak znalazłem się w dorożce i ruszyłem z moim nowym znajomym na Baker Street.

Sherlock Holmes, jak się tego spodziewałem, siedział w niedbalej pozie w bawialni. Odziany jeszcze w szlafrok, czytał rubrykę zgonów „Timesa” paląc poranną fajkę. Składały się na nią resztki tytoniu z poprzedniego dnia, starannie zbierane i suszone na gzymsie kominka. Przyjął nas z tak charakterystycznym dla niego, nie — zmaconym spokojem. Następnie kazał podać jajecznicę na boczku. Zasiadliśmy wspólnie do gorącego posiłku. Kiedyśmy skończyli, zaprosił naszego znajomego, by zajął miejsce na kanapie. Położył mu poduszkę pod głowę i postawił koło niego szklankę brandy z wodą. — No, pana przejścia musiały być niezwykle, Mr. Hatherley! To widać na pierwszy rzut oka — zaczął Holmes.

— Proszę, niech pan leży spokojnie i czuje się jak u siebie w domu. O tak, znakomicie! A teraz może pan będzie łaskaw nam opowiadać. W razie, gdyby pan poczuł znużenie, proszę się pokrzepić tym oto „wzmacniającym płynem”.

— Dziękuję uprzejmie — odrzekł mój pacjent. — Po opatrunku, założonym przez doktora, poczułem się jak nowo narodzony... a pańskie śniadanie, Mr. Holmes, podniosło mnie na dtachu. Nie chcę jednak zabierać panu jego cennego czasu i dlatego od razu rozpocznę moją dziwną historię. Postaram się wiernie odtworzyć cały tok wydarzeń.

Holmes usiadł tymczasem w swym wielkim fotelu. Przymknął powieki, a na twarzy jego malowało się głębokie skupienie. Cóż kryło ono w sobie? Namiętną chęć poznania prawdy i rozwiązania skomplikowanej zagadki. Usiadłem naprzeciw niego.

Inżynier rozpoczął swą dziwną historię. W miarę opowiadania przykuwała ona coraz mocniej naszą uwagę.

Historia, która przytrafiła mi się w 1889 roku, była zaiste i niesamowita, i tajemnicza... prawdziwa historia „z dreszczykiem”. Na wstępie podam panom dla orientacji kilka szczegółów

z mojego życia. Mieszkalem wówczas i nadal mieszkam zupełnie samotnie w Londynie. Z zawodu jestem inżynierem hydraulikiem. W czasie siedmiu lat pracy w znanym przedsiębiorstwie Venner i Matsheson w Greenieh nabyłem dużego doświadczenia. Dwa lata temu umowa o pracę z przedsiębiorstwem wygasła. Jednocześnie niemal otrzymałem dość znaczną sumę pieniędzy po moim drogim ojcu. Wówczas to postanowiłem założyć własne przedsiębiorstwo. W tym celu wynajmłem lokal na Victoria Street. Przypuszczam, iż samodzielne organizowanie przedsiębiorstwa stanowi przykre przeżycie dla każdego, kto czyni to po raz pierwszy. Dla mnie było wyjątkowo przykre. W rezultacie w ciągu dwu lat udzieliłem zaledwie trzech porad i wykonałem jakąś tam drobną pracę. To było absolutnie wszystko. Moje wpływy wynosiły 27,5 funta. Codziennie od dziewiątej rano do czwartej po południu wyczekiwałem na próżno w moim maleńkim kantorku. Wreszcie począłem tracić wiarę w swe siły i nabierać coraz silniejszego przekonania, że nigdy nie zdobędę sobie klienteli.

Wczoraj jednak, gdy już miałem zamiar opuścić biuro, wszedł mój pracownik. Oznajmił mi z ożywieniem, iż jakiś pan chce się ze mną zobaczyć w pilnej sprawie.

Na bilecie wizytowym przeczytałem: *pułkownik Lizander Stark*. Zaraz potem wszedł sam pułkownik. Był on niezwykle chudy. Nigdy nie przypuszczałem, że może istnieć tak szczupły człowiek. Niesamowite wrażenie potęgowała jeszcze jego twarz, zwężająca się w kierunku nosa i podbródka, zaś policzki — to po prostu skóra naciągnięta na wystające kości. Ta nadmierna szczupłość nie była jednak wynikiem choroby. Widać to było zresztą już na pierwszy rzut oka: bystre wejście, sprężysty krok i pewne siebie zachowanie. Ubrany był bez smaku, lecz schludnie. Mógł mieć około czterdziestu lat...

— Pan Hatherley? — spytał krótko z lekkim niemieckim akcentem. — Polecono mi pana, Mr. Hatherley, nie tylko jako dobrego fachowca, lecz również jako człowieka umiejącego dochować tajemnicy.

— Dziękuję uprzejmie! Czuję się zaszczycony jako młody człowiek tak pochlebną opinią. Czy mogę zapytać, kto jej o mnie udzielił?

— Owszem! Uważam jednak, że w obecnej chwili nie powinienem z pewnych względów o tym mówić. Z tego samego źródła otrzymałem dalsze informacje. Jest pan sierotą i kawalerem... Mieszka pan samotnie w Londynie.

— Rzeczywiście! Wszystko się zgadza — odparłem. — Proszę mi jednak wybaczyć, ale nie widzę żadnego związku pomiędzy tymi informacjami a moją fachowością. Przypuszczam też, iż chciał się pan ze mną zobaczyć w jakiejś sprawie zawodowej?

— Oczywiście! Przekona się pan jednak, iż to, co powiedziałem; ma pośredni związek z pana sprawą. Mam dla pana zlecenie z zakresu pańskiej specjalności, lecz wymagam absolutnej dyskrecji! Naturalnie możemy tego oczekiwać raczej od człowieka samotnego niż obarczonego rodziną.

— Jeśli zobowiązę się do zachowania tajemnicy, to może pan całkowicie polegać na moim słowie. — Gdy to mówiłem, pułkownik mierzył mnie kamiennym, niesamowitym spojrzeniem. Brr! Chyba jeszcze nigdy nie czułem na sobie tak badawczego i przenikliwego spojrzenia.

— A więc przyrzeka pan? — rzekł wreszcie.

— Tak! Przyrzekam!

— Całkowite i bezwzględne milczenie? Teraz i w przyszłości? Ani słowa na ten temat, ani żadnej pisaniny? Przecież dałem już panu moje słowo!

— A więc zgoda! — Poderwał się nagle, i przebiegł jak strzała przez pokój i gwałtownie otworzył drzwi. Korytarz był pusty. — Wszystko w porządku! Pracownicy nieraz interesują się nadmiernie sprawami swych pracodawców. Teraz już możemy mówić swobodnie. — Przynął swoje krzesło blisko do mojego i znów począł przewiercać

mnie badawczym spojrzeniem.

Stopniowo dziwaczne zachowanie tego chudego człowieka poczęło budzić we mnie coraz to większą odrazę i obawę. Było w nim bowiem prócz kabotyństwa coś, co wywoływało niepokój. Nawet obawa przed utratą klienta nie mogła mnie powstrzymać od okazania ogarniającego mnie zniecierpliwienia.

— Proszę, niech pan przedstawi swoją sprawę, bo naprawdę tracimy czas niepotrzebnie. — Słowa te wyrwały mi się nieopatrznie. Bardzo się nimi zaniepokoiłem,

— Czy odpowiada panu 50 gwinei za pracę nocną. ?

— Ależ to wspaniale!

— Wspomniałem o pracy nocnej. Ale będzie to zaledwie kilka godzin. Chodzi po prostu o zbadanie hydraulicznej prasy drukarskiej, która się popsowała. Wystarczy, że wskaże nam pan uszkodzenie, a my już sami ją naprawimy. Co pan sądzi o tej robocie?

— Praca lekka, a zapłata sowita.

— Doskonale! Będę więc oczekiwał pana przyjazdu tej nocy ostatnim pociągiem.

— A gdzie?

— W Eyford... w hrabstwie Berkshire. Jest to maleńka miejscowość na pograniczu hrabstwa Oxfordshire W odległości siedmiu mil od Reading. Pociąg z Paddington przychodzi tam o godzinie 23. 15.

— Świetnie!

— Przyjadę po pana powozem.

— A więc trzeba tam jeszcze dojechać końmi?

— Nasza siedziba leży całkiem na uboczu. Znajduje się ona o dobre siedem mil od stacji Eyford.

— Och! To przed północą chyba tam nie dojedziem. Wydaje mi się, iż nie będę miał pociągu powrotnego. Zmusi mnie to do zatrzymania się na noc.

— Tak jest! A więc zanocuje pan u nas.

— Ależ to sprawi państwu dużo kłopotu. Czy nie mógłbym raczej przyjechać o jakiejś stosowniejszej porze?

— Nie ma o czym mówić! To już postanowione! Właśnie najlepiej będzie, jeśli przyjedzie pan późnym wieczorem. Celem wynagrodzenia panu wszelkiego rodzaju niedogodności dajemy młodemu i nie znanemu inżynierowi zapłatę godną najlepszych specjalistów. Jeśli zaś panu to nie odpowiada, to oczywiście nie nalegam! Pomyślałem o 50 gwineach i o ich znaczeniu dla mnie.

— Ależ nie — odrzekłem — z prawdziwą przyjemnością zastosuję się do pańskich życzeń. Chciałbym jednak zorientować się dokładniej, czego właściwie pan ode mnie żąda?

— Naturalnie! Wcale się nie dziwię. Przyrzeczenie dochowania tajemnicy podnieca pana ciekawość. Nie mam zamiaru polecać panu czegokolwiek bez uprzedniego zaznajomienia go z całokształtem sprawy. Przypuszczam, że nikt nas tu nie podsłuchuje?

— Z całą pewnością!

— A więc sprawa przedstawia się następująco. Jak pan się z pewnością orientuje, ziemia fulerska jest cennym i poszukiwanym surowcem. Występuje ona na terenie Anglii w jednym lub najwyżej w dwu miejscach.

— Słyszałem o tym.

— Otóż niedawno zakupiłem niewielką posiadłość zupełnie maleńką, w odległości 10 mil od Reading. Szczęście uśmiechnęło się do mnie. Odkryłem mianowicie na jednym z pól złoza ziemi fulerskiej. Po bliższym zbadaniu okazało się jednak, iż złoza te nie są zbyt bogate i stanowią jedynie połączenie pomiędzy dwoma innymi, znacznie zasobniejszymi. Natomiast właściwe pokłady ziemi fulerskiej znajdowały się u moich sąsiadów. Ci poczciwcy nie podejrzewali nawet,

że ich grunty kryją coś, co jest niemal tak cenne jak złoto. Oczywiście w moim interesie leżało, aby nabyć tę ziemię, zanim oni odkryją jej prawdziwą wartość. Niestety, nie miałem na to dostatecznych funduszy. Wtajemniczyłem więc w tę sprawę kilku moich przyjaciół. Oni to właśnie poddali mi myśl, iż powinniśmy po cichu eksploatować nasze złoża. W ten sposób uzyskalibyśmy pieniądze na zakup sąsiednich terenów. Do chwili obecnej pracujemy więc z zachowaniem najściślejszej tajemnicy. Dla usprawnienia naszej działalności zainstalowaliśmy prasę hydrauliczną. Prasa ta, jak poprzednio wyjaśniłem, popsuta się. W związku z tym potrzebujemy pańskiej porady. Strzeżemy oczywiście naszej tajemnicy jak oka w głowie. Gdyby rozeszła się wiadomość, iż do naszego domku sprowadziliśmy inżyniera–hydraulika, to ludzie poczęliby interesować się tym i wszystko mogłoby wyjść na jaw. Wówczas utracilibyśmy bezpowrotnie możliwość nabycia terenów i urzeczywistnienia naszych planów. Dlatego też wymagałem przyrzeczenia, iż nikomu nie wspomni pan nawet o swej dzisiejszej podróży do Eyford. Teraz, mam nadzieję, wszystko jest jasne!?

— Całkowicie pana rozumiem — odpowiedziałem. — Jedno tylko wydaje się niejasne, a mianowicie: do czego właściwie służy prasa hydrauliczna przy wydobywaniu ziemi fulerskiej? O ile wiem, leży ona w głębi ziemi i trzeba ją wykopywać jak żwir.

— Ach — rzekł beztrząsowo pułkownik. — Stosujemy własną metodę wydobycia. Prasujemy ziemię w cegły, aby ją zamaskować, co ona w sobie kryje. Zresztą to nieważne! Zaznajomiłem pana z całą moją tajemnicą! To chyba najlepszy dowód mego zaufania. — Wstał kończąc. — Oczekuję więc pana w Eyford o godzinie 23.15.

— Będę tam na pewno!

— Nikomu ani słowa! — Jeszcze raz przeszył mnie przeciągłym badawczym spojrzeniem. Ucisnął chłodno mą dłoń, co miało oznaczać podziękowanie... i pospieszenie opuścił pokój.

Dopiero po jakimś czasie ochłonąłem z pierwszego wrażenia. Zacząłem się spokojnie zastanawiać nad całą tą sprawą. Opanowało mnie jakieś dziwne uczucie. Niespodziewane zamówienie pułkownika wywołało u mnie rozterkę wewnętrzną. Z jednej strony byłem zadowolony z wynagrodzenia, gdyż przewyższało ono przecież dziesięciokrotnie normalną cenę za tego rodzaju usługi. Ponadto miałem jeszcze nadzieję na dalszą współpracę. Z drugiej jednak strony cały wygląd i zachowanie się mojego klienta wywarły na mnie zdecydowanie ujemne wrażenie, zaś jego mętne wyjaśnienia o ziemi fulerskiej wcale nie przekonały mnie o konieczności tajemniczej wyprawy wśród nocy. Ach, jakież on był niespokojny, chociaż starał się opanować! To właśnie wzbudziło we mnie nieprzepartą chęć porozmawiania z kimkolwiek i podzielenia się wątpliwościami. W końcu odrzuciłem jednak od siebie podejrzenia. Zjadłem gorącą kolację i udałem się do Paddington, skąd ruszyłem w podróż.

Tak więc zdecydowałem się dochować tajemnicy. W Reading musiałem się przesiąść. Trzeba było iść na inny dworzec. Zdążyłem jednak na ostatni pociąg do Eyford. Wsiadłem na małej, źle oświetlonej stacji po godzinie jedenastej w nocy. Byłem jedynym podróżnym, który tam przybył. Na peronie nie zauważyłem nikogo prócz zaspanego tragarza z latarnią. Gdy jednak wychodziłem z dworca natychmiast natknąłem się na mojego znajomego. Czekał ukryty w cieniu po drugiej stronie ulicy. Bez słowa chwycił mnie za ramię i szybko wepchnął przez otwarte drzwiczki do powozu. Zasłonił okna po obu stronach i zapukał mocno w drewnianą ściankę na stangreta. Ruszyliśmy co koń wyskoczy...

— Jeden koń? — spytał Holmes.

— Tak! Tylko jeden!

— Czy zdążył pan zauważyć, jakiej był maści?

— Owszem! Spozregłem to, gdy wsiadałem do powozu, w świetle latarni padającym z boku. Był to kasztan.

— Czy wyglądał na zmęczonego, czy wypoczętego? — Wydawał się zupełnie świeży i lśniący.

— Dziękuję panu! Przykro mi, że przerwałem. Proszę, niech pan ciągnie dalej swą ciekawą opowieść.

Pojechaliśmy więc... Jazda trwała chyba co najmniej godzinę. Pułkownik Lizander Stark zapewniał mnie, iż miało to być 7 mil. Osobiście jednak jestem zdania, sądząc po szybkości, z jaką pędziliśmy, i czasie, jaki podróż pochłonęła, że musiało to być około 12 mil. Pułkownik siedział obok mnie i milczał jak zaklęty przez całą drogę.

W pewnej chwili poczułem się jakoś nieswojo. Ilekroć rzuciłem okiem w jego stronę, napotykałem badawcze spojrzenie.

Wiejskie drogi okolicy, którą mijaliśmy, były wyboiste. Rzucano i trzęsło wprost niemożliwie. Chciałem wyjrzeć przez okno, by zorientować się, dokąd jedziemy. Niestety, matowe szyby zasłaniały widok. Czasem tylko błyskały światła napotykanych latarni. Od czasu do czasu próbowałem rzucić taką czy inną uwagę, by urozmaicić nudną podróż, pułkownik jednak zbywał półsłówkami moje usiłowania i... rozmowa zamierała. Wreszcie skończyły się wyboje wiejskiego gościńca. Wjechaliśmy w aleję wysypaną żwirem, a po chwili powóz stanął. Pułkownik Stark wyskoczył pierwszy. Poszedłem za jego przykładem. Pociągnął mnie żywo w kierunku wejścia do budynku stojącego przed nami otworem. Wysiedliśmy z prawej strony powozu, zupełnie na wprost drzwi i dlatego nie zdążyłem dokładnie przyjrzeć się frontowi domu. Skoro tylko przekroczyliśmy próg, drzwi głucho zatrzasnęły się za nami. Usłyszałem jeszcze turkot oddalającego się powozu...

Wewnątrz domostwa panowały ciemności. Pułkownik mrucząc pod nosem szukał po kieszeniach zapalek. Nagle otwarto drzwi na drugim końcu korytarza. Strumień jasnego światła spłynął w naszym kierunku. Stopniowo poszerzał się, wreszcie ujrzeliśmy kobietę niosącą lampę. Szła z głową poddaną ku przodowi, bacznie się nam przyglądając. Stałem jak olśniony. Była uderzająco piękna. Ciemna, bogata suknia mieniła się w blasku lampy... Powiedziała kilka słów w obcym języku tonem pełnym zdziwienia. Pułkownik zbył ją opryskliwym burknięciem. Spłoszyła się wówczas... zadrżała i niewiele brakowało, a lampa wypadłaby jej z ręki. Stark podszedł do niej i szepnął jej coś do ucha, w końcu popchnął z powrotem do pokoju, skąd przyszła. Po chwili wrócił do mnie z lampą.

— Może pan, z łaski swej, poczeka w tym pokoju kilka minut. — rzekł otwierając inne drzwi. Znajdowałem się w niewielkim pomieszczeniu urządzonej bez smaku. Na środku stał okrągły stół. Leżało na nim w nieładzie kilka niemieckich książek. Stark postawił lampę na fisharmonii, umieszczonej obok wejścia. — Nie będzie pan długo czekał — powiedział i zniknął w ciemnościach.

Rzuciłem okiem na książki znajdujące się na stole. Nie znam, co prawda, dobrze języka niemieckiego, zorientowałem się jednak, iż dwie z nich są traktatami naukowymi, a reszta tomikami poezji. Następnie podszedłem do okna. Spodziewałem się bowiem, że będę mógł zorientować się jakoś w okolicy. Niestety, przeszkodziła temu szczelnie zaryglowana okiennica. W całym domu panowała głucha cisza. Jedynie gdzieś w głębi korytarza rozlegało się miarowe tykanie starego zegara. Stopniowo począł mnie ogarniać coraz to silniejszy niepokój. Kim właściwie są ci Niemcy? I co oni tu robią w tym dziwnym, położonym na pustkowiu domostwie? A w ogóle gdzie właściwie ten dom się znajduje? Chyba tylko 10 mil od Exford — pomyślałem. — Ale w jakim kierunku? O tym nie miałem najmniejszego pojęcia. Być może, iż Reading, a także jakieś inne większe miejscowości leżą po drodze. W takim wypadku dom nie mógł być na pustkowiu. Panująca wokół cisza świadczyła o tym, iż musiałem się chyba znajdować na wsi.

Począłem przechadzać się po pokoju, nucąc pod nosem dla dodania sobie odwagi. Stopniowo doszedłem do wniosku, że nie będzie prostą sprawą zarobić tych 50 gwinei.

Nagle drzwi pokoju uchyliły się bezszelestnie, nie mącąc głębokiej ciszy, w jakiej dom był pogrążony. Na tle ciemnego przedpokoju ukazała się piękna nieznajoma, którą spotkałem przedtem w korytarzu. Niepokój malował się na jej twarzy. Była czymś wyraźnie wstrząśnięta i przerażona. Od razu rzuciła się to w oczy. Jej niepokój udzielił się również i mnie. Położyła ostrzegawczo palec na ustach. Niepewnie rozejrzała się dokoła, a wreszcie wyrzuciła z siebie kilka urywanych słów łamaną angielszczyzną:

— Muszę stąd odejść!

Z trudem starała się opanować. Tak mi się przynajmniej zdawało.

— Odejdę stąd! Tak! Nie powinnam tu zostać! A pana też tu nic dobrego nie czeka.

— Ależ pani — odparłem. — Ja przecież jeszcze nie wykonałem pracy, która mnie tu sprowadziła. Nie mogę stąd odejść, dopóki nie zobaczę maszyny.

— Po co pan czeka? To nie ma sensu! Teraz jeszcze może pan opuścić bez przeszkód to miejsce...

Uśmiechnąłem się niedowierzająco, poruszając przecząco głową. Wówczas straciła pozorny spokój. Postąpiła krok naprzód i szepnęła błagalnie, załamując ręce:

— Na miłość boską! Niech pan ucieka, póki nie jest za późno.

Ale ja jestem z natury uparty — rzekł dla wyjaśnienia do Holmesa — i tym mocniej utwierdzam się w postanowieniu, im większe na swej drodze napotykam przeszkody. Pomyślałem o 50 gwineach, o męczącej podróży i według wszelkiego prawdopodobieństwa nieprzyjemnej nocy. I to wszystko miałyby pójść na marne!? Miałbym uciec stąd chyłkiem jak złodziej? Nie wykonać zlecenia i nie otrzymać zapłaty? Ejże?! A może ta piękna dama jest niespełna rozumu... ? Chociaż więc zachowanie jej wstrząsnęło mną mocniej, niż to po sobie okazywałem, w rezultacie nie dałem się przekonać. Odmownie potrząsnąłem głową, zdecydowany pozostać na miejscu. Chciała ponowić swe prośby, gdy wtem gdzieś u góry trzasnęły drzwi. Na schodach usłyszeliśmy odgłos kroków. Nieznajoma nasłuchiwała chwilę w napięciu. Potem rozłożyła ręce gestem rozpaczony i znikła tak nagle i bezszelestnie, jak się zjawiała.

Nadszedł pułkownik Stark z jakimś niskim mężczyzną noszącym bokobrody. Przedstawił go jako Mr. Fergussona.

— Oto mój sekretarz i kierownik robót zarazem — rzekł pułkownik. — Ale cóż to? Drzwi otwarte? Zaraz, zaraz! Wydaje mi się, iż wychodząc zamknąłem drzwi. Czy nie dokuczał panu przeciąg?

— Wręcz przeciwnie! — odrzekłem. — Otworzyłem drzwi, gdyż było mi duszno.

Stark spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Ech! Lepiej chyba będzie, jeśli od razu przystąpimy do interesu — powiedział. — Razem z panem Fergussonem pokażemy panu maszynę.

— Świetnie! Już idę, tylko włożę kapelusz!

— Ach! Nie potrzeba! Maszyna znajduje się tu w domu.

— Co? Wydobywa pan ziemię fulerską w mieszkaniu?

— Nie, nie! Tutaj tylko... sprasowujemy ją. Zresztą Co to pana obchodzi?! Od początku stawiałem sprawę jasno! Do pana należy jedynie wykrycie uszkodzenia mechanizmu prasy. I koniec.

Udaliśmy się po schodach na piętro. Prowadził pułkownik z lampą w ręku, zaś gruby kierownik robót i ja postępowaliśmy za nim. Stare domostwo stanowiło prawdziwy labirynt korytarzy, przejść i wąskich a krętych klatek schodowych, oraz niewielkich alków i pokoików, nie zamieszkałych od pokoleń. Nie było tam ani dywanów, ani w ogóle śladu jakichkolwiek

mebli. Miejscami tynk odpadał ze ścian. Widniały tam zielone plamy wilgoci i pleśni. Staralem się zachować całkowity spokój. Nie zapomniałem jednak o ostrzeżeniach pięknej nieznajomej i chociaż nie usłuchałem jej, to jednak bacznie obserwowałem mych towarzyszy. Fergusson wyglądał na człowieka posępnego i małomównego. Z kilku słów, jakie ze sobą zamieniliśmy, zorientowałem się, iż jest stałym mieszkańcem tej okolicy.

Wreszcie pułkownik Stark zatrzymał się przed niskimi drzwiami. Otworzył je. Ujrzałem maleńką komórkę, w której nas trzech ledwo mogłoby się pomieścić, Fergusson pozostał na zewnątrz, a pułkownik wprowadził mnie do środka.

— Znajdujemy się — objaśnił mnie — we wnętrzu prasy

hydraulicznej. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby ktoś puścił ją w ruch. Powąła tego małego pokoiku stanowi zakończenie ruchomego tłoka, który, obniżając się ku tej oto metalowej podłodze, ciśnie na nią z siłą wielu ton. Rurami, znajdującymi się na zewnątrz, dochodzi woda poruszająca tłok maszyny na znanej panu zasadzie. Maszyna działa dość sprawnie. Dopiero ostatnio zaczęła się zacinać i moc jej wyraźnie się zmniejszyła. Tak! No, a teraz może będzie pan łaskaw obejrzeć ją i Wskazać nam sposób naprawy?

Wziąłem od niego lampę i dokładnie obejrzałem prasę hydrauliczną. Rzeczywiście była to potężna maszyna o gigantycznej mocy. Wszedłem na górę. Nacisnąłem dźwignie kontrolne prasy. Po świszczącym odgłosie wydobywającym się z maszyny, od razu zorientowałem się, co się stało. To boczne cylindry są nieszczelne i przepuszczają wodę. Dokładnie zbadałem mechanizm. Jedna z uszczeltek gumowych otaczających wał kotłowy Wytarła się do tego stopnia że nie przylegała ściśle do ścian komory. Dlatego właśnie maszyna traciła swą moc. Podzieliłem się tymi spostrzeżeniami ze Statkiem i Fergussonem. Słuchali mnie bardzo uważnie i zadawali cały szereg pytań, dotyczących sposobu naprawy maszyny. Kiedy Wszystko już wyjaśniłem, wszedłem ponownie do pokoiku, stanowiącego wnętrze prasy hydraulicznej. Jeszcze raz przyjrzałem się jej dokładnie, aby zaspokoić swą ciekawość. Od chwili, gdy ujrzałem prasę, byłem przekonany, że cała historia o ziemi fulerskiej była tylko bajeczką. Niedorzeczne nawet było samo przypuszczenie, iż tak silną i potężną maszynę można przeznaczyć do tak nieodpowiedniego i błahaego żądania. Ściany prasy były co prawda drewniane, lecz podłoga żelazna, Dokładnie oglądałem tę podłogę. Zauważyłem teraz, na całej powierzchni jakiś zaskorupiały osad metalowy. Pochyliłem się i począłem zdrapywać osad, aby go potem szczegółowo zbadać, gdy wtem usłyszałem przytłumiony, chrapliwy okrzyk... chyba po niemiecku. Poderwałem się i... ujrzałem pułkownika. Stał jak wryty, wpijając się we mnie niesamowitym Wzrokiem, a potworny grymas wykrzywił jego chudą twarz.

— Co pan tam robi? — zapytał.

Byłem oburzony. Wprowadził mnie przecież w błąd zmyśloną historyjką. Toteż odparłem gniewnie.

— Podziwiam pańską ziemię fulerską. Sądzę, iż mógłbym służyć lepszą radą, gdybym wiedział, do jakiego celu służy naprawdę ta maszyna.

W tej samej jednak chwili, gdy wyrzuciłem z siebie te słowa, pożałowałem swej gwałtowności. Rysy jego stwardniały, a w stalowych oczach zabłyśły złowrogie ogniki.

— Oczywiście! Powinien pan dokładniej zapoznać się z maszyną. — Cofnął się o krok, zatrzasnął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Rzuciłem się ku wyjściu i począłem szarpać za kłamkę. Nadaremno! Nie pomogło również gwałtowne dobijanie się. Drzwi ani nie drgnęły. Począłem krzyczeć: Halo! Halo! Pułkowniku! Niech mnie pan wypuści!!!

Wówczas usłyszałem nagle odgłos, który zmroził mi krew w żyłach. Głucho szcęknęła dźwignia, a z nieszczelnej komory tłokowej wydobywał się złowrogi, syczący poświst. To Stark puścił w ruch maszynę, w której wnętrzu zostałem zamknięty. W świetle stojącej na podłodze

lampy ujrzałem czarny pułap. Obniżał się powoli i nierównomiernie. Nikt też lepiej, ode mnie nie mógł wiedzieć, że siła ta jest w stanie zmiażdżyć mnie w ciągu jednej minuty na bezkształtną masę. Ponownie rzuciłem się z krzykiem do drzwi. Wpiłem się w nie kurczowo. Zaklinałem pułkownika, by mnie wypuścił. Lecz szcęk dźwigni zagłuszył moje krzyki. Była to jedyna odpowiedź. Pułap znajdował się już o stopę lub dwie od mej głowy. Bez trudu dosięgnąć mogłem ręką jego twardej i szorstkiej powierzchni. Przyszło mi na myśl, iż ból, którego doznałbym w chwili śmierci, zależeć będzie w dużym stopniu od pozycji, w jakiej się będę znajdował. Gdybym się położył na brzuchu to tłok prasy przygniótłby mi kręgosłup i... nastąpiłby krótki, straszliwy trzask. Wzdrygnąłem się na samą myśl o tym. Przypuśćmy zatem, iż położyłbym się na plecach. Czyż miałbym dość spokoju, by patrzeć na czarny pułap, zniżający się ku mnie stopniowo lecz nieuchronnie? Metalowy pułap dotknął już mej głowy... Musiałem się pochylić... Wtem zauważyłem coś, co natchnęło mnie otuchą, budząc nikły promień nadziei.

Jak już wspominałem, sufit i podłoga były żelazne a ściany drewniane. W jednej ze szczelin między deskami zauważyłem smugę światła, która stopniowo poszerzała się. Wydawało się, jakby część ściany wypchnięto. W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu. Droga ratunku stała przede mną otworem. Rzuciłem się gwałtownie w tajemnicze przejście, lecz zaraz za progiem padłem na wpół omdlały. Tafla zasunęła się za mną... a więc była to już ostatnia chwila. Zaraz potem doszedł mnie zgrzyt i trzask tłuczonej lampy naftowej, a następnie metaliczny łoskot... Ruchomy pułap prasy hydraulicznej uderzył o posadzkę.

Odzyskałem przytomność. Ktoś gwałtownie szarpał mnie za przegub ręki. Leżałem na kamiennej podłodze wąskiego korytarza, nade mną zaś pochylała się piękna kobieta. Lewą ręką usiłowała mnie z wielkim trudem odciągnąć, od maszyny, w prawej zaś trzymała lampę. Była to ta sama tajemnicza i dobra nieznajoma, której ostrzeżenie tak nierozsądnie zlekceważyłem..

— Prędeż! Prędeż! — wołała bez tchu. — Oni zaraz odkryją, iż pana tam nie ma. Będą tu za chwilę. Och! Nie traćmy cennego czasu! Uciekajmy!

Teraz już bez wahania zastosowałem się do jej wskazówek. Dźwignąłem się z ziemi... Pobiegliśmy pędem przez korytarz i dalej w dół krętymi schodami, aż wreszcie znaleźliśmy się w szerokim przejściu. W tym momencie doszły nas odgłosy gorączkowej bieganiny i nawoływania. Słysząc je było na naszym piętrze i na dole. Moja przewodniczka zatrzymała się i rozejrzała wokół bezradnie. Wreszcie otworzyła drzwi do sypialni. Przez okno wpadał jasny blask księżyca, oświetlając cały pokój.

— Oto ostatnia szansa! — powiedziała przerywanym głosem. — Stąd jest wysoko, ale może się panu uda zeskoczyć.

Gdy to mówiła, na drugim końcu korytarza błysnęło światło... i ujrzałem chudą postać pułkownika. Biegł trzymając w jednym ręku latarnią, a w drugim jakieś wielkie obcęgi. W kilku skokach byłem przy oknie. Otworzyłem je na oścież i wyjrzałem. Ogród tonął w łagodnej poświacie księżycowej. Panowała tu głęboka cisza i niezmacony spokój. Okno znajdowało się na wysokości najwyższej trzydziestu stóp. Byłem już na parapecie, zawahałem się jednak przed skokiem. Wtedy właśnie usłyszałem gwałtowną sprzeczkę pomiędzy moją wybawicielką a łotrem, który mnie ścigał. Zdecydowany byłem oczywiście przyjść jej z pomocą, jeśliby tylko zagrażało jej najmniejsze chociaż niebezpieczeństwo. Pułkownik ukazał się w drzwiach... Chciał ją wyminąć, lecz chwycił ją nagle oburącz i usiłowała zatrzymać.

— Fryc! Fryc! Przypomnij sobie swą ostatnią obietnicę — wołała łamaną angielszczyzną. — Przynależę, że to się już więcej nie powtórzy. Och! On będzie milczał! Na pewno dochowa tajemnicy.

— Czyś ty oszalała, Elizo? — krzyknął, starając się od niej uwolnić. — Chcesz nas zrujnować?! On widział zbyt wiele! Puść mnie, mówię ci! — Odepchnął ją gwałtownie. Skoczył

błyskawicznie do okna. Byłem już na zewnątrz... Wisiałem jeszcze, kurczowo trzymając się parapetu, gdy spadł na mnie cios Starka. Uczułem okropny, tępy ból. Rozluźniłem uchwyt i runąłem w dół do ogrodu. Doznałem silnego wstrząsu, lecz poza tym od upadku nie ucierpiałem. Podniosłem się i ruszyłem pędem poprzez krzaki i zarośla ogrodu tak szybko, jak tylko mogłem. Doskonale rozumiałem, iż niebezpieczeństwo nadal mi zagraża. Nagle ogarnęła mnie dziwna słabość. Spojrzałem na rękę. Przenikał mnie ostry pulsujący ból. Teraz dopiero zorientowałem się, iż odcięto mi duży palec. Z rany buchała krew. Zdażyłem tylko owinać ją chusteczką. W uszach poczęło mi dzwonić. W następnej chwili padłem nieprzytomny wśród różanych krzewów.

Nie mogę bliżej określić, jak długo znajdowałem się w tym stanie. Musiało to jednak trwać kilka godzin. Gdy wreszcie się ocknąłem, świtało... Odzież całkowicie przemokła mi od rosy, rękaw marynarki był zboczony krwią. Ostry ból zranionej ręki przypomniawszy mi natychmiast wszystkie przeżycia ostatniej nocy. Zerwałem się gwałtownie z silnym uczuciem grożącego mi niebezpieczeństwa ze strony tajemniczych prześladowców. Lecz ku memu zdziwieniu, gdy począłem się wokół rozglądać, nie znalazłem ani domu, ani ogrodu. Znajdowałem się przy jakimś żywopłocie. W pobliżu wysokiego nasypu biegł gościniec. Dalej stał długi budynek. Zbliżyłem się doń. Był to dworzec kolejowy, na który nocą przybyłem...

Gdyby nie dokuczliwa rana, mógłbym wszystko, co spotkało mnie tej nocy, uważać za koszmarny sen. Jeszcze półprzytomny udałem się na stację, by dowiedzieć się o ranny pociąg. Odchodził on do Reading za niespełna godzinę. Służbę pełnił ten sam bileter, którego widziałem nocą po przyjeździe. Zapytałem go, czy nie wie czegokolwiek o pułkowniku Stark. Nie znał nawet tego nazwiska. Czy zauważył pojazd, który czekał na mnie tej nocy? Nie! Nie widział! Czy jest gdzieś w pobliżu posterunek policji? Owszem, w odległości trzech mil.

Było to zbyt daleko dla mnie, osłabionego i chorego. Postanowiłem poczekać, wrócić do miasta i wówczas zawiadomić policję. Było nieco po szóstej, gdy dotarłem do Londynu. Tu przede wszystkim zatroszczyłem się o opatrunek, a następnie... doktor był na tyle uprzejmy, że przyprowadził mnie do pana. Teraz oddaję sprawę w pańskie ręce i będę tak postępował, jak mi pan poleci.

Po wysłuchaniu niezwyklej opowieści Hatherleya przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wywołała ona w nas silne wrażenie. Następnie Sherlock Holmes wyciągnął z etażerki jedną ze swych ciężkich, zniszczonych książek, w których przechowywał różne notatki i wycinki z gazet.

— Oto ogłoszenie, które z pewnością pana zainteresuje — powiedział. — Ukazało się ono przed rokiem we wszystkich pismach. Niech pan uważnie posłucha: *Dnia dziewiątego bieżącego miesiąca zaginął Mr. Jeremiah Hayling, inżynier hydraulik, lat 26. Opuścił swe mieszkanie w nocy o godzinie 10 i od tej chwili wszelki ślad po nim zaginął. Był ubrany...* i tak dalej. No cóż? Przypuszczam, iż chodzi tu o poprzednią naprawę maszyny pułkownika.

— Wielkie nieba! — krzyknął mój pacjent. — To przecież wyjaśnia słowa tajemniczej nieznajomej.

— Bez wątpienia — rzekł Holmes. — Pułkownik, to okrutny i pozbawiony skrupułów przestępca. Był zdecydowany na usunięcie każdej przeszkody ze swej drogi. Zachowanie jego przypomina znanych z opowieści zdeterminowanych, dzikich piratów, którzy po zdobyciu okrętu nie pozostawiali nikogo przy życiu. Lecz teraz do dzieła! Każda chwila jest droga! Skoro czuje się pan na siłach, chodźmy natychmiast do Scotland Yardu, a potem w drogę do Eyford.

Mniej więcej po trzech godzinach znaleźliśmy się wszyscy w pociągu, podążającym z Reading do małej miejscowości w hrabstwie Berkshire. Wśród nas był Sherlock Holmes, inżynier-hydraulik, inspektor Bradstreet ze Scotland Yardu, jeszcze jakiś cywil i ja. Bradstreet

rozłożył mapę okolicy na ławce i starannie wykreślił cyrklem koło, w środku którego znajdowało się Eyford.

— Zdarzyło się to chyba gdzieś w tej okolicy — powiedział. — Krąg zakreśliłem promieniem dziesięciomilowym. Miejsce, którego szukamy, musi się znajdować w pobliżu narysowanej na mapie linii. Zdaje mi się, że pan coś wspominał o dziesięciu milach, nieprawdaż?

— Była to godzina szybkiej jazdy.

— Czyżby wieźli pana nieprzytomnego taki szmat drogi z powrotem?

— Chyba tak zrobili... Ale nie przypominam sobie, aby mnie ktoś podnosił i wiozł.

— Jednego nie mogę zrozumieć — powiedziałem. — Dlaczego zostawili pana przy życiu po znalezieniu go bez przytomności w ogrodzie? Czyżby ten łajdak uległ błaganiom pana tajemniczej nieznanym?

— Bardzo w to wątpię. Nigdy w życiu nie spotkałem tak nieubłaganego i zaciętego człowieka.

— Ech! Niedługo wszystko się wyjaśni — powiedział Bradstreet. — Oto koło zakreślone na mapie. Teraz chcę tylko wiedzieć, gdzie znajdują się ludzie, których szukamy?

— Wydaje mi się, iż punkt ten mogę wskazać — powiedział spokojnie Holmes.

— Co takiego?! — krzyknął inspektor. — Pan już rozwiązał zagadkę? Proszę bardzo! Zobaczmy, kto ma rację. Ja twierdzę, że jest to na południu, ponieważ w tamtej okolicy leżą pustkowia.

— A ja przypuszczam, iż na wschodzie — powiedział mój pacjent.

— Raczej na zachodzie — zauważył cywil — bo tam właśnie znajduje się kilka małych wiosek.

— Moim zaś zdaniem na północy — dodałem — ponieważ nie ma tam żadnych pagórków. Według opowiadania inżyniera powóz jechał równiną, nie pokonując żadnych wzniesień.

— Ależ to paradne! — krzyknął inspektor, śmiejąc się serdecznie. Co za wspaniała rozbieżność zdań! Podzieliliśmy się stronami świata.

— A jakie jest pańskie zdanie, Mr. Holmes?

— Wszyscy jesteście w błędzie!

— To niemożliwe! Wszyscy przecież nie możemy się mylić!

— A jednak tak jest! Tu, moim zdaniem, znajduje się miejsce, którego szukamy — i umieścił palec w samym środku koła. — Tam powinniśmy ich znaleźć.

— A jak pan wytłumaczy dwunastomilową jazdę? — wyrzucił bez tchu Hatherlay.

— Sześć mil w jedną stronę i sześć z powrotem. Nie prostszego. Pan nam przecież powiedział, iż koń był świeży i lśniący, gdy wsiadaliście do powozu. Czyż byłoby to możliwe, gdyby zrobił przedtem 12 mil po ciężkich drogach?

— Rzeczywiście! Cóż to za chytry podstęp! — zauważył Bradstreet w zadumie. — Naturalnie, nie ma żadnej wątpliwości co do rodzaju przestępstwa i całej tej szajki.

— Oczywiście — powiedział Holmes. — To byli fałszerze pieniędzy na wielką skalę. Posługiwali się maszyną do wybijania monet ze specjalnego stopu mającego zastąpić srebro.

Już od pewnego czasu otrzymywaliśmy wiadomości o działaniu jakiejś sprytniej bandy. Puszczali oni w obieg tysiące fałszywych półkoronówek. Prowadząc śledztwo, dotarliśmy do okolic Reading. Dalej jednak ślady ginęły. Potrafili oni tak umiejętnie je za sobą zacierać, jak tylko potrafią to czynić doświadczeni przestępcy. Przypuszczam jednak iż tym razem szczęście się do nas uśmiechnęło. Wpadną nam chyba w ręce.

Inspektor się jednak pomylił. Nie było bowiem Sądzone, by przestępcy ci wpadli w ręce sprawiedliwości. Gdy pociąg wtoczył się na stację Eyford, ujrzeliśmy olbrzymi słup dymu, który wydobywał się spoza niewielkiej kępy drzew rosnących nie opodal i wisiał nad okolicą na podobieństwo pióropusza ze strusich piór.

— Cóż to za pożar? Czy to dom się pali? — zapytał Bradstreet dyżurnego, gdy pociąg stanął.

— Tak, sir! — odpowiedział dyżurny ruchu.

— Kiedy to się stało?

— Jak słyszałem, w ciągu nocy. Później ogień rozszerzył się i objął całe domostwo.

— A kto jest właścicielem tego domu? — Doktor Becher.

— Niech pan mi powie — wtrącił inżynier — czy ten dr Becher nie jest przypadkiem Niemcem? Takim bardzo szczupłym o szpiczastym nosie?

— Nie, proszę pana — zaśmiał się dyżurny. — Dr Becher jest Anglikiem, Nie ma też w całej okolicy nikogo, kto by z większym trudem mieścił się w swej kamizelce. Ale zatrzymał się u niego pewien pan, jak przypuszczam, pacjent. Jest on cudzoziemcem i wygląda jakby stale nie dojadł.

Ledwo dyżurny skończył mówić, a już spieszyliśmy w kierunku pożaru. Droga pięła się po łagodnej pochyłości ku szczytowi niewielkiego pagórka. Stał tam duży biały budynek, otoczony licznymi przybudówkami. Ze wszystkich okien, otworów i szczelin buchał dym i ogień. W ogrodzie stały trzy wozy straży pożarnej. Daremnie jednak usiłowano stłumić płomienie.

— To właśnie tu! — krzyknął podniecony Hatherley.

— O, tam jest zajazd wysypany żwirem, a tu rosną krzaki róży, w których leżałem zemdłony. Z tego oto drugiego z rzędu okna wyskoczyłem.

— No, przynajmniej odwzajemnił mu się pan z nawiązką. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że drewniane ściany zapaliły się od pozostawionej przez pana lampy naftowej, zgniecionej przez prasę. Pańscy prześladowcy zbyt byli pochłonięci pościgiem, dlatego też nie spostrzegli w porę grożącego niebezpieczeństwa. I oto skutki... Teraz niech pan przyjrzy się uważnie tłumowi i szuka swych „znajomych” z ostatniej nocy. Obawiam się jednak bardzo, że znajdują się oni w tej chwili o dobre sto mil od nas.

Obawy Holmesa potwierdziły się w całej pełni. Od tego bowiem dnia wszelki słuch zaginął o pięknej nieznajomej, złowrogim Niemcu i grubym Angliku. Wczesnym rankiem jakiś wieśniak spotkał wóz, załadowany po brzegi skrzyniami, na którym znajdowało się ponadto kilka osób. Wóz ten jechał z dużą szybkością w kierunku Reading. Tam jednak wszelkie ślady po uciekinierach znikły. Nawet geniusz Holmes nie był w stanie ustalić choćby z minimalną dozą prawdopodobieństwa miejsca ich pobytu.

Strażaków bardzo zainteresowały dziwne urządzenia, które znaleźli wewnątrz domu, a jeszcze więcej odcięty ludzki palec, leżący pod parapetem okna na drugim piętrze.

O zachodzie słońca, dzięki wysiłkom strażaków ugaszono pożar. Dom jednak już się zawalił. Za wyjątkiem kilku skręconych wskutek wielkiego żaru tłoków i rur żelaznych nie pozostało śladu po prasie hydraulicznej, która tak drogo kosztowała naszego nieszczęśliwego inżyniera. W składach na zapleczu domostwa znaleziono wielkie ilości niklu i cyny. Nie odkryto natomiast żadnych monet. Prawdopodobnie szajka zdołała je zabrać ze sobą.

W jaki jednak sposób trafił nasz inżynier z ogrodu na miejsce przy drodze, gdzie odzyskał zmysły? Zostałoby to pewnie wieczystą tajemnicą, gdyby nie odkryto delikatnych śladów, które w bardzo prosty sposób wszystko wyjaśniły. Były to odciski stóp dwóch osób. Jedne małe, a drugie wielkie. Należały one najprawdopodobniej do tajemniczej nieznajomej i milczącego Anglika. Widocznie w Fergussonie tkwiło jeszcze coś ludzkiego. Pomógł Elizie przenieść nieprzytomnego Hatherleya z miejsca, w którym zagrażało mu niebezpieczeństwo.

— No tak! — powiedział inżynier żałośnie, gdyśmy zajęli miejsca w pociągu wracającym do Londynu. — To był dla mnie zaiste „wspaniały” interes. Straciłem palec, a 50 gwinei nawet nie ujrzałem. Co, więc zyskałem?

— Doświadczenie! — powiedział Holmes ze śmiechem. — Ostatecznie zgodzi się pan ze mną, że i ono jest coś warte. Wypadek ten będzie dla pana cenną przestrożą na resztę życia.

Przeł. Jan Skalny i Jerzy Regawski
The Engineer's Thumb

ZNIKNIĘCIE MŁODEGO LORDA

Nasze małe mieszkanie przy Baker Street bywało widowiskiem wielu dramatycznych wizyt. Ale chyba najbardziej niespodziewane i wstrząsające były odwiedziny utytułowanego naukowca, doktora filozofii, Mr Thoreneyerofta Huxtable'a. Jego przyście poprzedził o kilka sekund bilet wizytowy, który zdawał się być za mały, by unieść ciężar tylu tytułów naukowych, a następnie wkroczył on sam tak wielki, tak okazały i tak godny, iż zdawał się być wprost wcieleniem pewności siebie i solidności; Skoro jednak tylko zamknął za sobą drzwi, zatoczył się w kierunku stołu, potem potknął się i runął jak długi bez przytomności na skórę niedźwiedzią rozciągniętą na ziemi przed kominkiem.

Zdumieni zerwaliśmy się gwałtownie z miejsc i kilka sekund patrzyliśmy nań w zupełnym milczeniu. Ten wielki wrak ludzki świadczył o niespodziewanej a morderczej burzy, szalejącej z dala od nas na wielkim oceanie życia. Zaraz też Holmes pospieszył z poduszką, by ułożyć mu ją pod głowę. Następnie wlał mu do ust nieco wódki. Błądą i obwisłą twarz nieznajomego pokrywały zmarszczki trosk. Pod zamkniętymi oczami malowały się sine worki zwiotczalej skóry. Rozchylone usta, jakby pod wpływem bólu, opuszczały się kącikami ku dołowi, zaś okrągły podbródek przyprószony był drobnym zarostem. Na kołnierzyku i koszuli widoczne były ślady brudu, pozostałości po długiej podróży. Na kształtnej głowie jeżyły się zwichrzone włosy. Leżącego przed nami człowieka widocznie musiał spotkać dotkliwy cios.

— Co mu się stało, Watsonie? — spytał Holmes.

— Zupełne wyczerpanie organizmu. Może tylko skutek głodu i zmęczenia... — odpowiedziałem, badając słabiutki puls. Tędy sączył się nikły strumyczek życia.

— O! Bilet z Mackleton w północnej Anglii do Londynu i z powrotem — rzekł Holmes. Wyciągnął go nieznajomemu z kieszonki od zegarka. — Ale przecież nie ma jeszcze dwunastej godziny. Widocznie wyjechał wczesnym rankiem.

Wreszcie pomarszczone powieki zadrżały i rozchyliły się. Spojrzały na nas oczy szare, jakby bezmyślne i nic nie widzące. Po chwili gość nasz z wielkim trudem podniósł się z twarzą purpurową ze wstydu.

— Proszę mi wybaczyć zasłabnięcie, Mr Holmes! To z przepracowania. Jeśli byłby pan tak uprzejmy poczęstować mnie szklanką mleka z sucharkiem, to niewątpliwie bardzo by mnie to wzmocniło. Przyszedłem do pana osobiście, Mr Holmes, by mieć pewność, iż pojedzie pan wraz ze mną. Telegram mógłby bowiem nie przekonać pana dostatecznie, jak niesłychanie pilna jest ta sprawa. A tego się właśnie obawiałem.

— Czy wrócił pan już zupełnie do sił?

— Czuję się całkiem dobrze. Nie pojmuję, jak mogłem tak zasłabnąć. Mr Holmes, czy nie zechciałby pan pojechać ze mną następnym pociągiem do Mackleton? Bardzo mi na tym zależy.

Mój przyjaciel potrząsnął odmownie głową.

— Mój kolega, dr Watson może panu powiedzieć, jak bardzo jesteśmy obecnie zajęci. Zatrzymuje mnie w mieście sprawa „Ferrers Documents”. Ponadto rozpoczyna się proces w związku z zabójstwem Abergavenny. Tylko bardzo poważne względy byłyby w stanie skłonić mnie w obecnej chwili do opuszczenia Londynu.

— Ważne! — zawołał nasz gość, wyrzucając ręce w górę. — Czy nic pan nie słyszał o porwaniu jedyne go syna księcia na Holdernessie?

— Co?! Syna ministra w ostatnim gabinecie rządowym?

— Tak! Staraliśmy się, by wiadomość ta nie dostała się do gazet. Mimo to jednak we wczorajszym wieczornym wydaniu „The Globe” ukazała się wzmianka na ten temat. Myślałem, iż doszło to do pańskiej wiadomości.

Holmes wyciągnął długą, szczupłą dłoń po tom *Encyklopedii współczesnych* oznaczony literą „H”.

— *Holderness, szósty książę, K.G., P.C...* Ojej, połowa alfabetu! *Baronett Beverley, pan na Carston...* Mój drogi, ależ to cała litania tytułów! *Od 1900 r. namiestnik Hallamshire. Ożeniony w 1888 r. z Edytą, córką Sir Charlesa Appledore’a. Spadkobierca i jedynak, Lord Saltire. Właściciel około 250 000 akrów ziemi. Kopalnie w Lancashire i Walii. Adres: Carlton House Terrace. Holderness Hall, Hallamshire; Carston Castle, Bangor w Walii. Od 1872 t. Lord Admiralicji. Pierwszy sekretarz stanu od...* Tak! Tak! To bez wątpienia jeden z najznacniejszych poddanych korony.

— Najznacniejszy i prawdopodobnie najbogatszy. Zdaję sobie sprawę, Mr Holmes, iż mając wysokie aspiracje zawodowe gotów pan jest pracować ideowo dla samej sprawy. O jednym jednak mogę pana zapewnić, Mr Holmes. Jego Wysokość, jak mnie poinformował, wręczy czek na pięć tysięcy funtów szterlingów temu, kto wskaże miejsce pobytu jego syna. Dalszy tysiąc funtów przypadnie temu, kto poda nazwisko człowieka lub ludzi, którzy porwali syna księcia.

— Istotnie książęce warunki! — powiedział Holmes. — Powinniśmy więc chyba, Watsonie, towarzyszyć doktorowi Huxtable’owi w drodze powrotnej do północnej Anglii. Teraz jednak, doktorze. Huxtable, proszę coś zjeść i wypić mleko. Jednocześnie zaś niech pan będzie uprzejmy wszystko nam opowiedzieć, kiedy i jak się to stało oraz co wspólnego z tą sprawą ma dr Thorneycroft Huxtable z Priory School w pobliżu Mackleton. Dziwi mnie też, dlaczego przybywa pan żądać moich skromnych usług dopiero w trzy dni po wypadku? Stan bowiem pańskiego zarostu wskazuje datę.

Gość nasz spożył mleko z sucharkami. Po chwili oczy jego odzyskały normalny blask, a policzki rumieńce, gdy z wielkim ożywieniem i bardzo przejrzyście począł wyjaśniać sytuację.

— Muszę panów poinformować, dżentelmeni, iż Priory to szkoła przygotowawcza. Jestem jej założycielem i kierownikiem. Być może, komentarze Huxtable’a do dzieł Horacego przypomniał panom moje nazwisko. Priory uznać należy niewątpliwie za najlepszą i najbardziej ekskluzywną szkołę przygotowawczą w całej Anglii. Lord Leverstocke, pan na Blackwater, Sir Cathcart Soames i inni powierzyli mi swych synów. Ale dopiero trzy tygodnie temu doznałem uczucia, iż szkoła moja osiąga szczyt powodzenia. Stało się to wtedy, gdy książę Holderness przysłał swego sekretarza, Mr Jamesa Wildera z zawiadomieniem, że młody, dziesięcioletni lord Saltire, jedynak i dziedzic, zostanie oddany pod moją opiekę. Okazało się to niestety wstępem do największej tragedii mojego życia. Wówczas jednak nie miałem jeszcze o tym najmniejszego pojęcia.

Chłopiec przyjechał pierwszego maja, czyli na początku okresu letniego. Ach! Cóż to za czarujące dziecko. Zaaklimatyzował się bardzo szybko. Muszę panom coś jeszcze wyznać. Nie popełnię chyba niedyskrecji. Zresztą zatajenie czegoś w takiej sytuacji byłoby niedorzecznością. Otóż młody lord nie był w domu zbyt szczęśliwy. Było bowiem publiczną tajemnicą, iż pożycie, małżeńskie księcia nie należało do harmonijnych. Cała sprawa zakończyła się separacją za, obopólną zgodą, a księżna udała się do swej rezydencji w południowej Francji. Wyjazd nastąpił na krótko przed tym wypadkiem. Wiadomo też, iż dziecko było silnie związane uczuciowo z matką. Gdy więc opuściła Holderness Hall, chłopiec nie mógł wprost znaleźć sobie miejsca i włóczył się bez celu. Dlatego też książę zdecydował się oddać go do mojego zakładu. Już po dwu tygodniach chłopiec czuł się jak u siebie w domu, był zupełnie szczęśliwy. Można to było zauważyć przy każdej okazji.

Ostatni raz widziano go wieczorem trzynastego maja, to znaczy w ostatni poniedziałek. Jego pokój mieścił się na drugim piętrze. Przechodziło się doń przez drugi większy pokój, w którym spało dwóch uczniów. Chłopcy ci jednak twierdzą, iż niczego nie widzieli, ani nie słyszeli. Z całą pewnością więc młody Saltire nie przeszedł tędy. Natomiast okno w jego pokoju było otwarte, zaś cała ściana dokoła pokryta jest bardzo gęstym bluszczem. Co prawda żadnych śladów stóp na ziemi pod oknem nie mogliśmy znaleźć, jednak z całą pewnością jest to jedyne możliwe wyjście.

Nieobecność młodego lorda odkryto we wtorek o godzinie siódmej rano. Łóżko wskazywało na to, iż spał w nim, a dopiero przed samym odejściem ubrał się całkowicie w czarną kurtkę *eton* i ciemnoszare spodnie. Nie stwierdzono żadnych śladów, aby ktoś wchodził do pokoju. Z całą pewnością nie słyszano również ani krzyków, ani odgłosów szamotaniny, które musiałyby być zauważone przez Canatera, starszego chłopca, który śpi w przylegającym pokoju i odznacza się bardzo lekkim snem.

Skoro tylko odkryto zniknięcie lorda Saltire'a, natychmiast zarządziłem zbiórkę wszystkich wychowanków zakładu oraz nauczycieli i służby. I co się wówczas okazało?! Uciekł nie tylko sam lord Saltire. Zniknął również Heidegger, nauczyciel języka niemieckiego. Pokój jego mieści się na drugim piętrze w końcu budynku. Wszystko świadczy więc za tym, iż uciekł w ten sam sposób, co młody lord. Również i jego łóżko tak wyglądało, jakby w nim spał. Wyszedł jednak chyba niekompletnie ubrany, gdyż na ziemi leżała koszula i skarpetki. Heidegger na pewno spuścił się na dół po gałęziach bluszczu. Zauważyliśmy bowiem ślady stóp na trawniku pod oknem. W niewielkiej szopie obok trawnika znajdował się jego rower, który również zniknął.

Nauczyciel niemieckiego był u mnie od dwu lat i posiadał znakomite świadectwa. Tak jednak nauczyciele, jak i chłopcy niezbyt lubili tego milczącego i ponurego człowieka.

Uciekinierzy zniknęli bez śladu i dziś we czwartek, tak samo nic o nich nie wiemy jak we wtorek. Naturalnie natychmiast porozumieliśmy się z Holdernes Hall, które znajduje się zaledwie o kilka mil drogi od szkoły. Ostatecznie chłopiec mógł w jakimś nagłym porywie tęsknoty za domem rodzinnym udać się do ojca. To byłoby zupełnie prawdopodobne. Tymczasem tam nic o nim nie słyszano, książkę zaś zmartwił się ogromnie. Jeśli o mnie chodzi, to sami panowie widzą, co się ze mną działo. Poczucie odpowiedzialności i okropna niepewność doprowadziły mnie do stanu kompletnego wyczerpania nerwowego. Mr Holmes, błagam pana! Jeśli kiedykolwiek ma pan dokonać jakiegoś ogromnego wysiłku, wymagającego zmobilizowania wszystkich swych sił, to niech pan uczyni to właśnie teraz. W całym życiu na pewno nie trafi się już panu sprawa, która byłaby bardziej tego warta.

Sherlock Holmes w napięciu słuchał relacji nieszczęśliwego nauczyciela. Nie potrzebował żadnej zachęty, ściągnięte brwi, przecięte głęboką zmarszczką, dobitnie świadczyły o tym, iż skupiał on całą uwagę na problemie, który niezależnie od ogromnych korzyści niezmiernie go zainteresował. Holmes bowiem odznaczał się wielkim zamiłowaniem do skomplikowanych i niezwykłych zagadek, Teraz wyciągnął notes i zapisał w nim jedną Czy dwie informacje.

— Dopuszczał się pan wielkiego niedbalstwa, nie przychodząc do mnie wcześniej! — rzekł surowo. — Dlatego też postawił mnie pan Wobec bardzo poważnych trudności na samym początku dochodzenia. Na przykład jest wprost nie do pomyślenia, aby doświadczony obserwator nie dowiedział się, czegoś po dokładnych oględzinach tego bluszczu i trawnika.

— Ta nie moja wina, Mr Holmes. Jego Wysokość za wszelką cenę pragnął uniknąć skandalu. Nie chciał wywlekać przed światem tragedii rodzinnej i ogromnie obawiał się czegokolwiek w tym rodzaju.

— Czy wszczęto jakieś dochodzenia urzędowe?

— Tak, sir! Ale nie dały one rezultatów. Początkowo uzyskano wyraźny ślad. Tak się przynajmniej zdawało. Otrzymano bowiem meldunek, iż na pobliskiej stacji widziano chłopca i

młodego mężczyznę, odjeżdżających rannym pociągiem. Wczoraj wieczorem nadeszła jednak inna wiadomość. Mianowicie wyśledzono wspomnianą parę w Liverpoolu, ale okazało się, iż nie ma ona nic wspólnego sprawą. Wówczas to zrozpaczony i rozczarowany spędziłem noc bezsennie, a rannym pociągiem udałem się prosto do pana.

— Prawdopodobnie, gdy się okazało, iż trop był fałszywy, zwolniło się tempo poszukiwań prowadzonych przez miejscową policję?

— Zupełnie ich poniechano.

— Czyli stracono trzy dni. W ogóle pokierowano sprawą w sposób godny pożalowania.

— Tak! Teraz w pełni zdaję sobie z tego sprawę.

— A jednak problem ten chyba będzie można rozwiązać. Zajmę się nim z wielką przyjemnością. Czy nie zauważył pan, aby chłopca łączyło coś z nauczycielem niemieckiego?

— Nie.

— Czy należał on do klasy tego nauczyciela?

— Nie! O ile wiem, to nigdy nie zamienił z nim słowa,

— To niewątpliwie bardzo dziwne! Czy chłopiec miał rower?

— Nie.

— Czy brakowało jakiegoś innego roweru?

— Nie.

— Na pewno?

— Z całą pewnością.

— No dobrze! Nie przypuszcza pan chyba poważnie, iż ten Niemiec odjechał na rowerze w głuchą noc, unosząc chłopca na rękach!?

— Na pewno nie.

— W takim razie, jak pan to sobie wyobraża?

— Rower mógł służyć tylko do zmylenia śladu. Prawdopodobnie ukryto go, a oni obaj poszli piechotą,

— Być może. Czy jednak tego rodzaju mylenie śladów nie wydaje, się pozbawiane sensu? Czy w szopie znajdują się jeszcze inne rowery?

— Kilka.

— Czy więc nie ukryliby raczej dwu rowerów, jeśliby chcieli wywołać wrażenie, iż uciekli na nich?

— Przypuszczalnie tak!

— Naturalnie, tak właśnie zrobiliby. A więc teoria mylenia śladów odpada. Niemniej sam fakt stanowi godny uwagi punkt wyjściowy dla dochodzenia. Rower to nie szpilka. Niełatwo go ukryć lub zniszczyć, aby śladu po nim nie zostało. A teraz inne pytanie. Czy w przeddzień zniknięcia chłopca chciał się ktoś z nim widzieć?

— Nie.

— Czy otrzymał jakiś list?

— Tak! Jeden.

— Od kogo?

— Od ojca.

— Czy otwiera pan listy wychowanków?

— Nie.

— Skąd więc pan wie, iż to był list od ojca?

— Kopertę ozdobił herb. Ponadto zaadresowana była charakterystycznym, ostrym pismem księcia. Zresztą księżę przypomniał sobie o liście.

— Kiedy chłopiec otrzymał poprzedni list?

- Kilka dni wcześniej! Nie dłużej.
- Czy nie nadszedł do niego kiedyś list z Francji?
- Nie! Nigdy.

— Pan oczywiście orientuje się, jaki jest cel moich pytań. Chłopiec albo został porwany siłą, albo uciekł z własnej woli. W tym ostatnim wypadku prawdopodobnie potrzebna była zachęta z zewnątrz, aby nakłonić tak młodego chłopca do tego rodzaju przedsięwzięcia. Skoro nikt go nie odwiedzał, to zachęta musiała nadejść w listach. Dlatego też staram się dokładnie ustalić, kto do niego pisywał.

— Obawiam się, iż niewiele będę mógł panu pomóc. O ile wiem, otrzymywał listy tylko od ojca.

— ... który napisał do syna w przeddzień zniknięcia. Czy między ojcem a synem panowały serdeczne stosunki?

— Jego Wysokość nikomu nie okazywał serca. W pełni pochłaniają go ważne sprawy państwowe, toteż zwykłym uczuciom ludzkim raczej nie poddaje się. Na swój jednak sposób był dobry dla syna.

- Jednakże chłopiec stał po stronie matki? Co?
- Tak.
- Mówił o tym?
- Nie.

— A więc księżę wspominał?

— Wielkie nieba! Nie!

— Jak więc pan się o tym dowiedział?

— Miałem poufną rozmowę z Mr Jamesem Wilderem, sekretarzem Jego Wysokości. Od niego właśnie pochodzą informacje na temat uczuć lorda Saltire'a.

— Rozumiem. A czy po ucieczce chłopca znaleziono w jego pokoju list księcia?

— Nie! Zabrał go ze sobą. Ale już chyba czas udać się do Euston, Mr Holmes.

— Zamówię powóz. W ciągu kwadransa będziemy gotowi. Gdyby pan jednak depešował do domu, Mr Huxtable, to warto by w ten sposób sformułować telegram, aby pańscy sąsiedzi nabrali przekonania, iż śledztwo nadal toczy się w Liverpoolu lub gdziekolwiek indziej i że poszło fałszywym tropem. Tymczasem ja spokojnie zbadam u pana wszystko na miejscu. Zobaczymy. Może trop nie będzie jeszcze na tyle zatarty, aby dwa tak doświadczony ogary, jak Watson i ja, nie zwietrzyły go.

Jeszcze, tego wieczoru odetchnęliśmy chłodnym, rześkim powietrzem wiejskim okolicy Peak, gdzie znajdowała się szkoła doktora Huxtable'a. Gdy do niej dotarliśmy, wokół panowały już ciemności. Na stoliku w hallu leżał bilet. Starszy lokaj szepnął coś na ucho swemu panu. Smutne oblicze doktora ożywiło się. Zwrócił się do nas wyraźnie podekscytowany.

— Księżę przyjechał — powiedział. — Księżę i Mr Wilder są w gabinecie. Chodźcie, panowie, przedstawię was.

Nieraz oczywiście widywałem podobizny słynnego męża stanu, jednak w rzeczywistości wyglądał on nieco inaczej. Postać jego była wysoka i wyniosła. Ubierał się bardzo elegancko. Pociągłą, szczupłą twarz przecinał długi, groteskowo skrzywiony nos, zaś trupio blada cera tworzyła dziwny kontrast z długą, rzadką, płomiennie rudą brodą, spływającą aż na białą kamizelkę, ozdobioną lśniącem łańcuszkiem od zegarka. Stał na dywaniku rozciągniętym przed kominkiem i spoglądał na nas kamiennym wzrokiem. Z całej postaci biła duma i poczucie godności.

Obok niego stał młody człowiek, w którym domyśliłem się Wildera, prywatnego sekretarza. Był on niewysoki, nerwowy, o szybkich ruchach. Oczy miał inteligentne, bladoniebieskie i ruchliwe rysy twarzy. Od razu wszczął żywą, napastliwą, rozmowę.

— Dziś rano zadzwoniłem zbyt późno, doktorze Huxtable, by zapobiec pańskiemu wyjazdowi do Londynu. Dowiedziałem się też o pańskim zamiarze zaproszenia Mr Sherlocka Holmesa celem prowadzenia sprawy. Jego Wysokość wyraził zdziwienie, doktorze Huxtable, iż przedsięwziął pan tego rodzaju krok bez porozumienia się z nim.

— Kiedy jednak dowiedziałem się, że policja zawiodła...

— Policja zawiodła? Jego Wysokość wcale nie jest o tym przekonany.

— Ależ z całą pewnością, Mr Wilder...

— Doktorze Huxtable! Jego Wysokości szczególnie zależy na uniknięciu publicznego skandalu. Pan dobrze o tym wie. Książę życzy sobie, aby jak najmniej osób wiedziało o tej sprawie.

— Wszystko da się z łatwością naprawić! — odrzekł doktor, wyraźnie zastraszony. — Przecież Mr Sherlock Holmes może wrócić do Londynu porannym pociągiem.

— Byłoby to bardzo trudne, doktorze — powiedział Holmes łagodnym, spokojnym głosem. — Orzeźwiający powietrze tych pięknych okolic północy doskonale wpływa na moje samopoczucie. Powziąłem więc zamiar spędzenia kilku dni wśród waszych pięknych wrzosowisk. To znakomite miejsce do rozmyślań... I tak też uczynię. Czy znajdę gościnę pod pańskim dachem, czy w wiejskiej gospodzie, to już oczywiście zależy od pańskiej decyzji.

Doktor znajdował się w najwyższej rozterce. Widziałem to doskonale. Wyratował go z niej dopiero głęboki, dźwięczny głos rudobrodego księcia, huczący niczym dzwon.

— Zgadzam się z Mr Wilderem, doktorze Huxtable! Postąpiłby pan znacznie rozsądniej radząc się mnie. Skoro jednak zaufał pan Mr Sherlockowi Holmesowi, byłoby oczywistym absurdem nie skorzystać z jego usług. Nie ma mowy o żadnej gospodzie, Mr Holmes! Będzie mi bardzo miło, jeśli zechce pan zatrzymać się u mnie w Holderness Hall.

— Dziękuję Waszej Wysokości. Z uwagi jednak na prowadzone przeze mnie dochodzenie lepiej będzie pozostać na miejscu tajemniczego wypadku.

. — Jak pan woli, Mr Holmes. My natomiast z Mr Wilderem chętnie udzielimy panu wszelkich potrzebnych informacji.

— Najprawdopodobniej będę się musiał jeszcze z panem zobaczyć w Hall — powiedział Holmes. — Teraz mam tylko takie pytanie. Czy znalazł pan jakieś wyjaśnienie tajemniczego zniknięcia pańskiego syna?

— Nie, sir! Nie!

— Proszę mi wybaczyć, jeśli dotknę jakich bolesnych dla pana spraw. Niestety, nie mam innego wyjścia. Czy przypuszcza pan, iż księżna ma coś wspólnego z tą historią?

Potężny minister wyraźnie się zawahał.

— Nie podejrzewam tego — odrzekł wreszcie.

— Istnieje inne, bardzo proste wyjaśnienie. Dziecko mogło zostać porwane dla uzyskania okupu. Czy nikt nie zgłaszał się do pana z tego rodzaju żądaniem?

— Nie, sir?

— Jeszcze jedno pytanie, Wasza Wysokość. O ile dobrze zrozumiałem, napisał pan do syna list w dniu, w którym nastąpił wypadek?

— Nie! Pisałem dzień przedtem.

— Tak jest! Ale chłopiec otrzymał go w tym właśnie dniu.

— Tak.

— Czy w pańskim liście znajdowało się coś, co mogłoby wytrącić go z równowagi lub skłonić do takiego kroku?

— Nie, sir! Z pewnością nie.

— Czy list wysłał pan osobiście?

Do rozmowy wtrącił się sekretarz, uprzedzając odpowiedź księcia. W głosie jego brzmiała nuta irytacji.

— Jego Wysokość nie ma zwyczaju nadawania listów osobiście. List ten leżał z innymi na stole w gabinecie. Ja sam włożyłem je do worka pocztowego.

— Czy pan jest pewny, iż znajdował się on między innymi listami?

— Tak! Widziałem go.

— Ile listów napisał Wasza Wysokość tego dnia?

— 20 lub 30. Prowadzę rozległą korespondencję. Ale chyba nie ma to związku ze sprawą.

— Niezupełnie — odparł Holmes.

— Ze swej strony — ciągnął dalej książę — poleciłem policji, by zwróciła uwagę na południową Francję. Jak już panu wspominałem, nie wierzę, by księżna odważyła się na tak zuchwały czyn. Chłopiec miał wyrobiony jednak na wiele spraw niewłaściwy pogląd. Nie jest więc wykluczone, iż uciekł do niej z pomocą tego Niemca. A teraz, doktorze Huxtable, odjedziemy, już chyba z powrotem do Hall.

Holmes, jak zauważyłem, miał jeszcze chęć na dalsze pytania. Jednak sposób zachowania się arystokraty zapowiadał koniec wywiadu. Książę wyraźnie starał się uciąć dalszą dyskusję. Było widoczne, iż jego arystokratycznej naturze jakakolwiek rozmowa z obcym na temat intymnych spraw rodzinnych sprawiała nieprzewycięzoną wprost przykrość. Obawiał się jeszcze czego innego. Każde nowe pytanie mogło rzucić snop światła na niektóre tajniki książęcego życia, dyskretnie pozostające w cieniu.

Skoro tylko dygnitarz wraz ze swym sekretarzem odjechali, mój przyjaciel z właściwą mu energią rozpoczął dochodzenie.

Pokój chłopca poddany został nadzwyczaj dokładnym oględzinom. Bez rezultatu. Jedno wszakże nie budziło wątpliwości — chłopiec mógł uciec jedynie przez okno. Również w pokoju i wśród rzeczy osobistych nauczyciela niemieckiego nie znaleziono żadnych śladów. Dopiero po wychyleniu się przez okno ujrzeliśmy w świetle latarni głębokie odciski stóp na trawniku pod nami. Te zagłębienia w krótko przystrzyżonej zielonej trawie stanowiły jedyne rzeczowe dowody niezrozumiałej i tajemniczej nocnej ucieczki.

Sherlock Holmes wyszedł na samotny spacer, z którego wrócił po godzinie jedenastej. Wytrzasnął skądś wielką mapę wojskową całej okolicy i przyniósł do mego pokoju. Potem rozłożył ją na łóżku, ostrożnie ustawił na niej lampę i pilnie począł studiować. Zapalił fajkę i od czasu do czasu wskazywał jej dymiącym ustnikiem interesujące go obiekty.

— Tak, Watsonie! To jest godna mnie sprawa! — powiedział. — Posiada ona kilka rzeczywiście ciekawych punktów. Dobrze będzie, jeśli na wstępie dochodzenia zapoznasz się z topografią okolicy. Może się to nam bardzo przydać.

Spójrz na mapę. Ten ciemny prostokąt — to szkoła. Wbij w to miejsce szpilkę. Widzisz linię przechodzącą obok? To szosa. Biegnie ze wschodu na zachód koło szkoły. Ani w jednym, ani w drugim kierunku nie ma żadnej bocznej drogi. Jeśli więc dwaj uciekinierzy poszli drogą, to tylko szosą.

— Tak jest.

— Dzięki wyjątkowo szczęśliwemu zbiegowi okoliczności możemy w pewnym stopniu skontrolować, kto przechodził tą drogą w ciągu krytycznej nocy. O, właśnie w tym punkcie,

gdzie leży teraz na mapie moja fajka, pełnił służbę od godziny dwudziestej czwartej do szóstej wiejski policjant.

Jak się orientujesz, jest to pierwsze po wschodniej stronie skrzyżowanie dróg. Otóż człowiek ten oświadczył, iż ani na chwilę nie opuszczał swego posterunku, a więc żaden chłopiec ani mężczyzna nie mógł przejść tamtędy nie zauważony. Tego jest zupełnie pewny! Dziś wieczorem rozmawiałem z tym policjantem. Wygląda on na osobę w pełni godną zaufania. To wyczerpywałoby pierwszą ewentualność. A teraz przejdźmy do następnej. Po drugiej stronie (zachodniej) stoi gospoda „Pod Czerwonym Bykiem”. Jej właścicielka zachorowała owego dnia i posłała po doktora do Mackleton. Nie mógł on jednak przyjść wcześniej jak dopiero rano, gdyż był u jakiegoś chorego. W gospodzie czuwano jednak całą noc, oczekując jego przybycia. Najprawdopodobniej co chwilą ktoś wyglądał na szosę. Ich zdaniem nikt nie przechodził drogą. Jeśli mówią prawdę, to zupełnie śmiało możemy wykluczyć zachód. W rezultacie wynikałoby, iż uciekinierzy w ogóle nie korzystali z szosy.

— A rower? — spytałem.

— Tak jest. Zaraz dojdziemy do roweru. A oto dalszy ciąg rozumowania. Skoro nie poszli oni szosą, to musieli iść na przełaj w kierunku północnym lub południowym od domu. To jasne! Spróbujemy teraz porównać obie możliwości. Na południe od domu leży, jak widzisz, wielki obszar uprawnej ziemi, podzielony kamiennymi wałami na mniejsze pola. Zakładam, iż tędy nie sposób jechać na rowerze. To możemy śmiało wykluczyć. Spojrzmy teraz na północ. Znajduje się tu niewielki lasek zwany „Ragged Shaw”, a jeszcze dalej ku północy rozpościera się wielkie powichrowane wrzosowisko „Lower Gill Moor”. Ciągnie się ono na przestrzeni dziesięciu mil, wznosząc się stopniowo ku górze. Po jednej stronie tego pustkowia leży Holdernes Hall. To jest 10 mil drogi stąd, ale na przełaj przez wrzosowisko tylko sześć. Zupełne odludzie! Zaledwie kilku farmerów gospodarujących na wrzosowisku ma tu małe zagrody, w których hodują owce i bydło. Oto jedyni mieszkańcy. Oprócz nich aż do samej szosy chesterfieldzkiej napotkać możesz tylko siewki kuliki. Dalej widać kościół, kilka domków i gospodę oraz wzgórze, które stają się coraz bardziej, urwiste. Poszukiwania musimy zatem skierować w kierunku północnym. To nie ulega żadnej wątpliwości.

— Ale rower?! — nalegałem.

— Dobrze, dobrze! — niecierpliwie odpowiedział Holmes. — Dobry rowerzysta nie potrzebuje szosy. Przecież wrzosowisko przecinają ścieżki. A owej nocy księżyc znajdował się właśnie w pełni. Halo! Cóż to znowu?

Bozległo się energiczne pukanie do drzwi i niemal równocześnie znalazł się w pokoju dr Huxtable. W rękę trzymał niebieską czapkę z białym szewronem na czubku, jakich używa się przy grze w krokieta, — Wreszcie mamy ślad! — krzyczał. — Dzięki Bogu!

Wpadliśmy na trop naszego drogiego chłopca! To jego czapka.

— Gdzie ją znalezione?

— W wozie wędrownych Cyganów, którzy rozbili obóz na wrzosowisku. Odjechali we wtorek. Dziś policja ich wysłedziła i przeprowadziła rewizję wozu. I oto co znalezione.

— Jak oni się tłumaczyli?

— Kłamią i kręcą. Mówią, że czapkę znaleźli na wrzosowisku we wtorek rano. Ach, łajdaki! Dobrze wiedzą, gdzie on jest. Na szczęście jednak wszyscy znaleźli się pod kluczem. Strach przed karą lub sakiewka księcia rozwiąże im języki. Wszystko wyśpiewają, co wiedzą.

— Dobrze i to — powiedział Holmes, gdy doktor opuścił wreszcie pokój. — To w każdym razie podtrzymuje teorię, iż właśnie w okolicy „Lower Gill Moor” powinniśmy spodziewać się jakichś wyników. Policja tu na miejscu niczego właściwie nie dokonała z wyjątkiem aresztowania Cyganów. Spójrz, Watsonie! Tędy przepływa przez wrzosowisko strumyk. Widzisz

go na mapie. Miejscami rozszerza się, tworząc bagno. Obserwować to można zwłaszcza w okolicy Holderness Hall i szkoły. Przy takiej suszy nie ma sensu szukać śladów gdzie indziej, jak tylko w tym miejscu. Istnieje bowiem poważna szansa, iż właśnie tu pozostawiono jakieś odciski stóp. Obudzę cię jutro wczesnym rankiem i obaj spróbujemy, czy uda nam się uchylić rąbka tajemnicy.

Było już prawie widno, gdy się obudziłem. Przy łóżku ujrzałem wysoką, szczupłą postać Holmesa. Był zupełnie ubrany. Zorientowałem się, iż wychodził już na dwór.

— Obejrzałem trawnik i szopę z rowerami — powiedział. — Odbyłem też spacer do lasu „Ragged Shaw”. A teraz, Watsonie, w sąsiednim pokoju czeka na ciebie kakao. Proszę cię bardzo, pospiesz się! Mamy bowiem wiele pracy przed sobą.

Oczy mu błyszczały, a na policzki wystąpiły wypieki. Był niezwykle podniecony niczym mistrz niecierpliwie spieszący do pracy nad swym umiłowanym dziełem. Ten energiczny i pełen wigoru człowiek to zupełnie inny Holmes niż ten blady, pogrążony w myślach marzyciel z Baker Street. Patrząc na jego sprężystą postać, czułem, że sam poczynam nabierać energii. Bo rzeczywiście dzień, który stał przed nami, zapowiadał się dla nas bardzo pracowicie.

Już na wstępie jednak miało nas spotkać gorzkie rozczarowanie. Pełni nadziei ruszyliśmy przez torfiaste, liliowordzawe wrzosowisko poprzecinane tysiącem ścieżek owczych. Wreszcie dotarliśmy do szerokiego, jasnozielonego pasa ziemi. Było to bagno ciągnące się aż do Holderness. O ile chłopiec kierował się ku domowi, to na pewno musiał tędy przechodzić, nie mógł zaś przejść, nie zostawiając śladów. Lecz nie można było znaleźć żadnego znaku ani po nim, ani po Niemcu. Sherlock Holmes zły i chmurny sunął wzdłuż brzegu bagniska, pilnie oglądając porośłą mchem powierzchnię niemal każdego sterczącego z błota kamienia. Widać tu było liczne ślady owiec. W jednym zaś miejscu, o kilka mil w dół, napotkaliśmy odciski racic krów. Nic więcej!

— Przeszkoda numer jeden! — powiedział Holmes, patrząc posepnie na pofałdowany obszar wrzosowiska. — Tam dalej, poniżej, znajduje się również drugie trzęsawisko, a między nimi wąskie przejście. Lecz cóż to jest?

Doszliśmy do wąskiej, czarnej, wijącej się drożyny. Na jej środku wyraźnie odcisnięte były w mokrej ziemi ślady roweru.

— Hurra! — krzyknąłem. — Mamy go!

Ale Holmes potrząsnął przecząco głową. Z jego twarzy wyczytać można było raczej zakłopotanie i oczekiwanie, niż radość.

— Rower na pewno, ale nie ten rower — , powiedział. — Znam 42 różne rodzaje odcisków pozostawionych przez opony. Te, jak widzisz, to „Dunlopy” o poprzecznych prążkach. Jedna z nich posiada na zewnętrznej stronie płaszcz łątkę. Heidegger miał natomiast opony „Palmera”, zostawiające ślad o długich pręgach. Nauczyciel matematyki, Mr Aveling, jest tego zupełnie pewien. Dlatego nie może to być ślad Heideggera.

— A więc chłopca?

— Możliwe, jeśli bylibyśmy w stanie udowodnić, iż miał rower. Ale to ostatecznie upadło. Ten ślad, jak sam widzisz, zostawił po sobie rowerzysta, jadący od strony szkoły. — Lub w jej kierunku?

— Nie, nie! Mój drogi Watsonie! Głębszy ślad pochodzi naturalnie od tylnego koła, na którym spoczywa główny ciężar ciała. Dostrzegasz, jak w wielu miejscach krzyżowało się ono z płytszym śladem przedniego koła i zacierało go. Bez wątpienia ślad prowadzi od szkoły. Może jest związany z naszym dochodzeniem, a może nie. Zanim jednak ruszymy dalej, cofnijmy się wstecz po tym śladzie.

Zrobiliśmy tak i już po kilkuset jardach straciliśmy z oczu nasz trop. Wylaniał się on bowiem z bagnistej części wrzosowiska. Cofając się ścieżką trafiliśmy na miejsce, gdzie w poprzek niej ciekła woda ze źródła. Tu znowu zaznaczały się ślady roweru, chociaż niemal całkowicie zatarte racicami krów. Dalej nie odnaleźliśmy żadnych znaków. Ale dróżka wiodła wprost do lasu „Ragged Shaw”, który przylegał do szkoły. Rower musiał wyjechać z tego lasu. Holmes usiadł na jakimś głazie i oparł głowę na rękach.

Zdażyłem wypalić dwa papierosy, nim ruszyliśmy dalej.

— Dobrze, dobrze! — odezwał się wreszcie. — Oczywiście to nie jest wykluczone, iż przebiegły człowiek mógł zmienić gatunek opon w swym rowerze, aby zostawić inny ślad. Mając do czynienia z przestępcą rozumującym w ten sposób, byłbym z tego dumny. Chwilowo zostawmy to pytanie bez odpowiedzi i wróćmy z powrotem do naszego bagna. Mamy tam jeszcze wiele do zbadania.

W dalszym ciągu więc poczęliśmy prowadzić systematyczne przeszukiwania brzegów grzęzawiska i w chwilę później już nasza wytrwałość została sownie wynagrodzona. Z prawej strony; w poprzek niżej położonej części bagna biegła błotnista ścieżka. Gdyśmy się do niej zbliżyli, Holmes wydał okrzyk radości. Środkiem jej biegł ślad przypominający wiązkę drutów telegraficznych. Były to opony „Palmera”.

— To z całą pewnością Herr Heidegger! — zawołał Holmes triumfująco. — Watsonie! Moje rozumowanie było całkowicie trafne.

— Gratuluję!

— O! Ale mamy jeszcze długą drogę przed sobą. Bądź tak dobry i wejdź na ścieżkę. Teraz możemy iść tym tropem. Obawiam się jednak, iż nie zaprowadzi on nas zbyt daleko.

Postępując dalej przekonaliśmy się, iż ta część wrzosowiska była gęsto poprzecinana połaciami grząskiej ziemi. Choć więc często traciliśmy z oczu ślad, to jednak zawsze udawało się nam odnaleźć go na nowo.

— Czy nie zauważyłeś — powiedział Holmes — iż rowerzysta z pewnością zwiększył szybkość? Co do tego nie może być najmniejszej wątpliwości. Spójrz na ślad tam, gdzie odciskają się wyraźnie obie opony. Obydwa ślady są jednakowo głębokie. Co to może znaczyć? Rowerzysta przerzucał ciężar ciała na kierownicę, podobnie jak człowiek ruszający do szybkiego biegu. Na Jowisza! Wywrócił się!

Widniała tu szeroka, o nieregularnych zarysach plama. Rozciągała się na kilka jardów. Następnie znać było kilka śladów stóp i ślad opon pojawił się na nowo.

— Upadek na bok — zasugerował.

Holmes podniósł zgniecioną gałązkę kwitnącego janowca. Ku memu przerażeniu dostrzegłem, że żółte kwiatki są wszystkie jakby skropione szkarłatną farbą. Także na ścieżce i wśród wrzosów widniały ciemne plamy zakrzepłej krwi.

— Oj, niedobrze! — rzekł Holmes. — Zupełnie źle! Stój spokojnie, Watsonie! Ani jednego niepotrzebnego kroku! Cóż mogę z tego wywnioskować? Rowerzysta padł zraniony, podniósł się, z powrotem wsiadł na rower i pojechał dalej. Nie widać tu jednak żadnego innego śladu z wyjątkiem odcisków racic bydlę. Z pewnością byk nie wziął go na rogi?! Chociaż nie, nie widzę poza tym żadnych innych śladów. Musimy pójść dalej, Watsonie. Na pewno nie ujdzie nam teraz, gdy prowadzą nas krwawe plamy i ten trop.

Poszukiwania nasze nie trwały zbyt długo. Ślad opon na lśniącej od wilgoci ścieżce począł przybierać najfantastyczniejsze, poskręcane spiralnie kształty. Nagle wpadł mi w oko błysk metalu wśród gęstych zarośli janowca. Wyciągnęliśmy z nich rower. Miał on opony „Palmera” i jeden pedał zgięty. Cały przód był okropnie umazany i zboczony krwią. Po drugiej stronie, wśród krzaków sterczał but. Obiegnęliśmy je dookoła i znaleźliśmy tam nieszczęsnego rowerzystę.

Był to brodacz wysokiego wzrostu. Na nosie miał okulary z jednym szkłem zmiądzonym. Zadano mu okropny cios w głowę, który częściowo zdruzgotał czaszkę. To stało się przyczyną jego śmierci. Natomiast fakt, iż po otrzymaniu takiego ciosu potrafił jeszcze jechać, świadczy bardzo dodatnio o żywotności i odwadze tego człowieka. Miał buty, ale bez skarpetek. Spod rozpiętej zaś marynarki wycierała nocna koszula. Był to niewątpliwie nauczyciel niemieckiego. Holmes ostrożnie obracał ciało i poddawał dokładnemu badaniu. W końcu usiadł i zamyślił się głęboko. Trwało to dosyć długo. Jego zmarszczone brwi świadczyły, iż to ponure odkrycie niewiele posunęło naprzód nasze dochodzenie.

— Trochę trudno zorientować się, Watsonie, co robić? — powiedział wreszcie. — No, prowadźmy dalej dochodzenie, gdyż dotychczas straciliśmy tyle czasu, iż nie możemy sobie pozwolić na opóźnienie choćby godzinne. Z drugiej strony jesteśmy zobowiązani zawiadomić policję o naszym odkryciu i dopilnować, by ciało tego nieszczęśnika zostało zabezpieczone.

— Ja mogę zanieść pismo z zawiadomieniem.

— Ależ ja potrzebuję twojego towarzystwa i pomocy.

Poczekaj chwilę! Tam jest człowiek tnący torf. Sprowadź go tutaj, a ja tymczasem napiszę zawiadomienie do policji.

Przyprowadziłem przerażonego chłopca, a Holmes wysłał go z pismem do dra Huxtable'a.

— No, Watsonie! — powiedział. — Dziś rano wpadliśmy na dwa tropy. Jednym są ślady roweru z oponami „Palmera”. Wiemy też, dokąd one nas zaprowadziły. Drugi trop stanowią ślady roweru o oponach „Dunlop”. Zanim rozpoczniemy ich badanie, musimy sobie uświadomić, co my właściwie wiemy. Chodzi bowiem o to, by jak najlepiej wykorzystać nasze wiadomości i oddzielić istotne elementy od przypadkowych.

Przede wszystkim pragnę cię przekonać, iż chłopiec na pewno uciekł z własnej woli. Wyszedł przez okno i opuścił się w dół. Potem powędrował albo sam, albo w czymś towarzystwie. To jest pewne! Przytaknąłem.

— Dobrze. Zajmijmy się teraz tym nieszczęśliwym nauczycielem niemieckiego. Chłopiec, uciekając, był całkowicie ubrany. Czyli że wiedział już przedtem, co robi. Niemiec natomiast pojechał bez skarpetek. Z całą pewnością działał w wielkim pośpiechu.

— Niewątpliwie.

— A dlaczego w ogóle pojechał? Ponieważ z okna swej sypialni dojrzał ucieczkę chłopca. Chciał go dogonić i przyprowadzić z powrotem. Wsiadł na rower i ścigał chłopca. W trakcie pogoni spotkała go śmierć.

— Tak by się zdawało.

— Teraz przystępuję do krytycznej części mego wyводу. Jak winien, postąpić mężczyzna pragnący dogonić chłopca? Pobiec prosto za nim. Ale Niemiec tak nie robi, lecz bierze rower. Dowiedziałem się, iż był on znakomitym kolarzem. Nie zrobiłby tego, gdyby nie wiedział, że chłopiec dysponuje jakimś szybkim środkiem lokomocji.

— Drugim rowerem.

— Spróbuję prowadzić dalej rekonstrukcję zdarzeń. Nauczyciela spotyka śmierć o pięć mil od szkoły i to nie od kuli, którą nawet chłopiec mógłby celnie wystrzelić, lecz od potężnego ciosu. Takie uderzenie mógł zadać jedynie silny mężczyzna. Chłopiec musiał więc mieć towarzysza ucieczki. Sama zaś ucieczka odbywała się w szybkim tempie, skoro doskonały rowerzysta potrzebował aż pięciu mil, aby ich dogonić. Przypatrzmy się jednak terenowi otaczającemu miejsce nieszczęśliwego wypadku. Cóż tam znajdujemy? Trochę śladów bydła. I nic więcej. Obszedłem to miejsce dookoła i nigdzie nie spotkałem ścieżki w promieniu pięciu jardów. Drugi rowerzysta nie mógł mieć nic wspólnego z mordercą. Nigdzie też nie było śladów ludzkich stóp.

— Holmesie — zawołałem — to niemożliwe!

— Cudownie! — powiedział. — Niezwykle trafna uwaga! W moim ujęciu cały tok wydarzeń jest niemożliwy. A więc pod jakimś względem musiałem go źle przedstawić. Jak natomiast ty to obie wyobrażasz? Czy możesz; wskazać jakiś błąd?

— Czy nie mógł on zdruzgotać czaszki podczas upadku?

— Na bagnie, Watsonie?

— No, teraz znalazłem się w ciężkim kłopotcie, — Zaraz, zaraz! Rozwiązaliśmy już inne, gorsze zagadki. Ostatecznie mamy mnóstwo materiału. Musimy tylko postarać się go dobrze wykorzystać. Chodźmy więc. Wyczerpaliśmy już sprawę śladów roweru o oponach „Palmera”. Teraz zajmijmy się śladami, pozostawionymi przez rower z połatanymi oponami „Dunlop”.

Odszukaliśmy ślady i posuwaliśmy się za nimi przez pewien czas. Wkrótce wyrósł przed nami pagórek porośnięty wrzosem. Weszliśmy na wzgórze, pozostawiając daleko poza sobą strumyk. Teraz już nie mogliśmy spodziewać się, aby ślady były nadal pomocne. Z miejsca, gdzie po raz ostatni widzieliśmy odcisnięte opony „Dunlopa”, ślady mogły równie dobrze prowadzić do Holderness Hall, którego wyniosłe baszty wznosiły się o kilka mil w lewo, jak i do cichej, szarej wioski, leżącej wprost przed nami, przez którą przechodziła szosa chesterfieldzka.

Gdy dochodziliśmy do niegościny i brudnej gospody, ozdobionej wizerunkiem koguta nad drzwiami, Holmes jęknął nagle i chwycił mnie za ramiona, aby nie upaść. Skręcił sobie silnie nogę w kostce. W takich wypadkach człowiek staje się zupełnie bezradny. Z trudnością dobrnął do drzwi, przy których ciemny, starszy mężczyzna palił czarną, glinianą fajkę.

— Jak pan się ma, Mr Eeuben Hayes? — zagadnął Holmes.

— A kim pan jest? I jakim sposobem tak od razu zna pan moje nazwisko? — spytał chłop z błyskiem podejrzenia w chytrych oczach.

— Przecież ono jest wryte na desce nad pańską głową. Łatwo zaś można poznać człowieka, który jest panem we własnym domu. Przypuszczam, iż w swojej stajni nie posiada pan takiej rzeczy jak powóz?

— Nie! Nie mam.

— Z trudnością mogę stawiać stopę na ziemi.

— Nie trzeba więc jej stawiać!

— Ależ nie mogę chodzić!

— No to skacz; pan!

Sposób zachowania Mr Reuben Hayesa daleki był od współczucia. Holmes jednak przyjął to z godną wprost podziwu pogodą ducha.

— Spójrzcie tu, mój człowieku! — powiedział. — Rzeczywiście mam wielki kłopot. Nie wyobrażam sobie, jak będę szedł.

— Ja też nie — odburknął zgryźliwy gospodarz.

— Sprawa jest bardzo poważna. Dam panu funta szterlinga za pożyczanie mi roweru.

Gospodarz nastawił uszu.

— Dokąd pan chce jechać?

— Do Holderness Hall.

— Po prośbie do księcia, przypuszczam? — rzekł gospodarz, mierząc ironicznym spojrzeniem Hasze zabłocone ubrania.

Holmes zaśmiał się dobrodusznie.

— W każdym razie rad nas będzie widzieć.

— Dlaczego?

— Ponieważ przynosimy mu wiadomość o jego zaginionym synu.

Gospodarz zupełnie wyraźnie zmieszał się.

— Co? Jesteście na jego tropie?

— Widziano go w Liverpoolu. Spodziewają się odnaleźć go lada chwila.

Ponura, nie ogolona twarz gospodarza znowu drgnęła. Nagle ożywił się.

— Mam powód, by księciu źle życzyć! — powiedział. — Niegdyś byłem jego pierwszym stangretem, ale obszedł się ze mną niegodziwie. Wyrzucił mnie ze służby, nie mając żadnego konkretnego powodu. Uwierzył na słowo kłamliwemu handlarzowi. Cieszę się jednak, że w Liverpoolu widziano młodego lorda i pomogę panu w dostarczeniu wiadomości do Hall.

— Dziękuję panu — odrzekł Holmes: — Najpierw chcielibyśmy coś zjeść, potem zaś może pan przyprowadzić rower.

— Nie mam roweru.

Holmes podniósł do góry funta szterlinga.

— Człowieku. Mówię przecież panu, iż nie mam żadnego roweru. Mogę panu wynająć dwa konie do Hall.

— Dobrze, dobrze! — powiedział Holmes, — Porozmawiamy o tym, gdy coś zjemy.

Gdy pozostawił nas samych w obszernej kuchni o kamiennej posadzce, zwichnięta kostka Holmesa natychmiast wyzdrowiała. Zmierzch już prawie zapadał, my zaś od wczesnego rana nie mieliśmy niczego w ustach. Toteż posiłek zajął nam nieco czasu. Potem Holmes zamyślił się. Wreszcie raz, czy dwa podszedł do okna, które wychodziło na brudne podwórze i wyjrzał przez nie. W odległym rogu znajdowała się kuźnia, gdzie pracował jakiś umorusany młodzieniec. Z drugiej strony stały stajnie. Holmes po jednym z takich wypadów do okna znowu usiadł. Nagle z głośnym okrzykiem zerwał się z krzesła.

— Watsonie! Mam rozwiązanie! — zawołał. — Tak, tak! Nie może być inaczej! Widziałeś dzisiaj ślady krów? Watsonie, przypomnij sobie!

— Tak, nawet sporo śladów!

— Gdzie?

— No... w różnych miejscach. Na bagnach, potem na ścieżce, a wreszcie w pobliżu miejsca śmierci biednego Heideggera.

— Doskonale! A teraz powiedz Watsonie, ileś krów widział na wrzosowisku?

— Nie mogę sobie przypomnieć, żebym w ogóle jakąś tam widział.

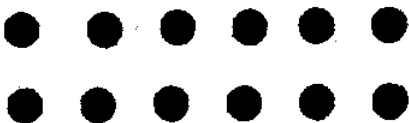
— Czy to nie dziwne, Watsonie? Wzdłuż całej naszej drogi wszędzie widzieliśmy ślady krów. Natomiast nigdzie, na całym wrzosowisku, nie było żadnej krowy. To bardzo dziwne, Watsonie, prawda?

— Tak! To rzeczywiście zastanawiające.

— A teraz, Watsonie, dokonaj takiego wysiłku. Cofnij się myślą wstecz i przypomnij sobie, jak wyglądały ślady na ścieżce?

— Tak, pamiętam.

— Czy przypominasz sobie, że ślady te wyglądały czasami ot tak? — począł układać pewną ilość okruszyn w jakieś wzory.



— W innym miejscu tak:



— A niekiedy znów tak:



— Czy zauważyłeś to?

— Nie, nie zauważyłem.

— Ja zaś spostrzegłem to. Mogę na to przysiąc. Gdy odpoczniemy, trzeba będzie tam jednak wrócić i sprawdzić jeszcze raz. Cóż ze mnie za ślepiec, że od razu nie wyciągnąłem nasuwającego mi się wniosku.

— A jakiż był ten twój wniosek?

— Bardzo prosty. Osobliwa to musi być krowa, która chodzi, kłusuje i galopuje. Na świętego Jerzego! Tego rodzaju fortelu, Watsonie, nie wymyśliła głowa wiejskiego karczmarza. No, sytuację mniej więcej zbadaliśmy. Pozostaje jeszcze młodzieniec pracujący w kuźni. Wsłiznijmy się do zagrody i zobaczymy, co tam ciekawego można znaleźć.

W walącej się stajni znajdowały się dwa zaniedbane konie o szorstkiej, źle utrzymanej sierści. Holmes uniósł jednemu z nich tylną nogę i głośno gwizdnął.

— Stare podkowy, ale świeżo założone! Stare podkowy, lecz nowe hufnale. Tę całą sprawę można nazwać klasyczną. Chodźmy wprost do kuźni.

Chłopak kontynuował pracę, nie zwracając na nas uwagi. Holmes rozglądał się uważnie na wszystkie strony, lustrował baczным spojrzeniem rozrzucone żelastwo i kawałki drzewa, zaśmiecające podłogę. Wtem za nami dały się słyszeć kroki. Był to karczmarz. Spod szerokich, zmarszczonych brwi spoglądały dzikie oczy. Śniadą twarz wykrzywił grymas wściekłości.

W rękę trzymał krótki, okuty kij i siedł na nas tak groźnie, iż byłem rad, czując rewolwer w kieszeni.

— Ach, wy przekłete szpiegi! — krzyknął. — Co tu robicie?

— Ależ, Mr Reuben Hayes — powiedział chłodno Holmes — mógłby ktoś pomyśleć, iż obawia się pan, abyśmy tu czegoś nie znaleźli.

Karczmarz opanował się z wielkim wysiłkiem i zacięte wargi rozchyliły się w nieszczerym uśmiechu, który jednak był jeszcze groźniejszy niż poprzedni wybuch wściekłości.

— Proszę bardzo, możecie panowie wszystko obejrzeć w mojej kuźni — rzekł wreszcie. — Ale niech pan weźmie pod uwagę, proszę pana, iż nie mam powodu do radości, gdy obcy kręcą się bez pozwolenia po moim terenie. Dlatego też im szybciej uzyska pan to, czego pragnie i stąd sobie pójdzie, tym lepiej.

— Wszystko w porządku, Mr Hayes. Nic złego się nie stało — odpowiedział Holmes. — Obejrzeliśmy wasze konie i zdecydowaliśmy się jednak iść piechotą. To chyba niedaleko.

— Tą szosą w lewo będzie najwyżej 2 mile do samych bram Hallu.

Wiódł za nami posępnym wzrokiem, dopóki nie opuściliśmy jego terenu.

Drogą nie uszliśmy jednak zbyt daleko: Skoro bowiem tylko zakręcił zasłonił nas przed oczyma karczmarza, Holmes natychmiast zatrzymał się.

— Byliśmy już bardzo blisko „ciepła”, jak mówią dzieci — powiedział. — Tymczasem z każdym krokiem, który nas oddala od gospody, robi się coraz „zimniej”. Nie, nie! Chyba nie potrafię jej opuścić.

Reuben Hayes zna całą sprawę — wtrąciłem. — Jestem tego pewien. W życiu nie widziałem bardziej typowego łajdaka.

— Oho? Rzeczywiście takie wywarł na tobie wrażenie? Tam są konie, jest kuźnia. Tak! Ten „Walczący Kogut” to bardzo interesujące miejsce. Powinniśmy jeszcze raz dyskretnie je obejrzeć.

Za nami rozpościerał się długi, pochyły stok wzgórza. Tu i ówdzie, jakby porzrucane, szarzały na nim wapienne głązy. Gdy zawróciliśmy i szliśmy stokiem wzgórza, dostrzegłem nagle cyklistę, jadącego z dużą szybkością od strony Holderness Hall.

— Schowaj się, Watsonie! — krzyknął Holmes, pociągając mnie za sobą. Ledwo zdążyliśmy się ukryć, gdy rowerzysta przemknął obok nas szosą. W tumanach pyłu mignęła mi przelotnie błada, przerażona twarz o napiętych rysach, szeroko otwartych ustach i dziko patrzących, wybałuszonych oczach. Była to jakaś dziwna karykatura twarzy Jamesa Wildera, którego poznałem wczoraj wieczorem.

— Ależ to sekretarz księcia! — krzyknął Holmes. — Chodź, Watsonie. Zobaczmy, czego on tam szuka?

Skradając się od skały do skały dotarliśmy po paru minutach do punktu, z którego można było obserwować drzwi gospody. Obok nich stał oparty o ścianę rower Wildera. Koło domu nie zobaczyliśmy nikogo. Również w oknach nie mogliśmy dostrzec nawet przelotnie żadnej twarzy.

W miarę, jak słońce chyliło się za wysokie wieże Holderness Hall, powoli zapadał zmrok. Przed stajnią na podwórzu gospody zajaśniały w mroku światła bocznych latarni jakiegoś pojazdu. Wkrótce po tym usłyszeliśmy stukot kopyt i turkot kół, gdy wtoczył się on na szosę i ruszył szalonym pędem w kierunku Chesterfield.

— Co ty o tym myślisz, Watsonie? — spytał szeptem Holmes.

— To mi wygląda na ucieczkę!

— W powoziku, o ile mogłem dojrzeć, odjechał tylko jeden człowiek. Z całą pewnością nie był to jednak Mr James Wilder, ponieważ stoi on tam we drzwiach.

W ciemności zamajaczył czerwony prostokąt światła. Na jego tle rysowała się czarna sylwetka sekretarza. Z głową poddaną do przodu wpatrywał się w mrok. Widocznie kogoś oczekiwał. Wreszcie od strony szosy dały się słyszeć kroki i w zasięgu światła mignęła druga sylwetka. Następnie drzwi zamknięto i znów zapanowały ciemności. W pięć minut później zapłonęła lampa w pokoju na pierwszym piętrze.

— Jakież dziwne obyczaje panują w „Walczącym Kogucie” — rzekł Holmes.

— Bar znajduje się po drugiej stronie budynku.

— Tak, a ci przybysze są prywatnymi gośćmi. Ale cóż u licha porabia nocą w takiej speluncie Mr James Wilder? I kim jest jego towarzysz, który przybył na spotkanie z nim? Chodź, Watsonie! Musimy zaryzykować. Spróbujemy dokładniej zbadać całą sprawę.

Przekradliśmy się razem do szosy i podpełzaliśmy pod same drzwi gospody. Rower nadal stał oparty o ścianę. Holmes zapalił zapałkę i oświetlił nią tylne koło. Gdy światło padło na połataną oponę typu „Dunlop”, Sherlock zaśmiał się cicho. W górze ponad nami znajdowało się oświetlone okno.

— Muszę tam zaglądnąć, Watsonie! Mógłbym to zrobić, gdybyś oparł się o ścianę i nieco nachylił.

W chwilę później jego stopy znalazły się na moich barkach. Z trudem dosięgnął okna. Po chwili zeszedł na dół.

— Chodź, mój przyjacielu! — powiedział. — Aż nadto długo pracowaliśmy tego dnia. Wiemy już chyba wszystko, czego mogliśmy się dowiedzieć. Do szkoły daleka droga. Im szybciej wyruszymy, tym lepiej.

Podczas męczącej wędrówki przez wrzosowiska nie odzywał się wiele. Gdy zaś dotarliśmy do szkoły, nie chciał wejść do środka, lecz udał się najpierw na stację Mackleton, aby nadać depezę.

Słyszałem, jak późno w nocy pocieszał dr Huxtable'a, zmartwionego śmiercią nauczyciela. Wreszcie przyszedł do mojego pokoju tak rześki i pełen sił, jakby to był ranek.

— Wszystko idzie dobrze, mój drogi! — powiedział. — Obiecuję ci, iż do jutrzejszego wieczora rozwiążemy tajemnicę.

Nazajutrz około godziny jedenastej kroczyłem wraz z przyjacielem piękną, cisową aleją Holderness Hall. Przez wspaniałe wejście w stylu elżbietańskim wprowadzono nas do gabinetu Jego Wysokości. Zastaliśmy tam Mr Jamesa Wildera. Chociaż obejście jego było chłodne i uprzejme, to jednak jakiś cień przerażenia z poprzedniej nocy czaił się w jego niespokojnych oczach, a twarz wykrzywił niekiedy nerwowy skurcz.

— Panowie przyszli zobaczyć się z Jego Wysokością? Bardzo mi przykro, ale książę czuje się bardzo niedobrze. Ogromnie się przejął smutną nowiną. Wczoraj wieczorem otrzymaliśmy telegram od dr Huxtable'a, donoszący nam o pańskich odkryciach!

— Muszę widzieć się z księciem, Mr Wilder!

— Ależ on jest w swoim pokoju.

— Wobec tego pójdę do jego pokoju.

— Prawdopodobnie leży w łóżku.

— A więc w sypialni się z nim zobaczę.

Chłodny i nieubłagany sposób zachowania się Holmesa przekonał sekretarza, iż spór z nim byłby bezcelowy.

— Bardzo dobrze, Mr Holmes. Zawiadomię go o przybyciu panów.

Książę zjawił się po półgodzinnym oczekiwaniu. Twarz miał jeszcze bledszą niż zazwyczaj, plecy zgarbione. Wydało mi się, iż postarzał się w ciągu wczorajszego dnia. Powitał nas z wyniosłą uprzejmością i usiadł.

— A więc słucham, Mr Holmes? — rzekł książę. Lecz mój przyjaciel wpatrywał się w sekretarza, który stał przy krześle swego pana.

— Wasza Wysokość! Z pewnością będę mógł mówić swobodniej w nieobecności Mr Wildera. Sekretarz uchylił kotarę, rzucając Holmesowi nienawistne spojrzenie.

— Jeśli Wasza Wysokość sobie życzy...?

— Tak! Tak! Lepiej pan zrobi odchodząc. A teraz, Mr Holmes, co mi pan ma do powiedzenia?

Przyjaciel mój odczekał, aż zamknęły się drzwi za wycofującym się sekretarzem.

— Wasza Wysokość! Dr Huxtable zapewnił nas o nagrodzie za rozwiązanie tej sprawy. Pragnąłbym uzyskać potwierdzenie tego z pańskich ust.

— Oczywiście, Mr Holmes.

— Jeśli mnie dobrze poinformowano, wynosi ona pięć tysięcy funtów szterlingów dla tego, kto wskaże panu miejsce pobytu jego syna?

— Tak jest!

— I dalszy tysiąc osobie, która poda nazwiska tych, którzy go uwięzili?

— Dokładnie tak.

— To ostatnie zdanie obejmuje niewątpliwie nie tylko tych, którzy go porwali, lecz również i tych, którzy starają się utrzymać go w zamknięciu?

— Tak! tak — zawołał ksiązę niecierpliwie. — Jeśli pan dobrze wykona swoją pracę, Mr Holmes, to na pewno nie będzie pan narzekał na zapłatę.

Przyjaciel mój zatarł chude dłonie, z objawem chciwości, która zdziwiła mnie niepomiernie. Znałem bowiem jego skromne wymagania.

— Na biurku leży, zdaje się, książeczka czekowa Waszej Wysokości? — powiedział. — Byłoby mi bardzo miło, gdyby pan zechciał mi wypisać czek na sześć tysięcy funtów szterlingów. Przymuszczalnie nie zrobi to panu różnicy. Moim bankiem jest Capital and Counties Bank, oddział na Oxford Street.

Książę siedział w swym fotelu wyprostowany, z surowym wyrazem twarzy, spoglądając kamiennym wzrokiem na mego przyjaciela.

— Czy to kpiny, Mr Holmes? Z tej sprawy nie wypada żartować.

— Ależ nie podobnego, Wasza Wysokość, Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej serio.

— Cóż więc pan myśli?

— Myślę, że zdobyłem pańską nagrodę. Wiem, gdzie jest pański syn i znam kilka osób, którego więżą.

Książę zbladł jak ściana, a jego broda przez kontrast wydała się jeszcze czerwiejsza.

— Ależ gdzie on jest? — wykrztusił.

— On jest, albo też był ubiegłej nocy w gospodzie „Pod Walczącym Kogutem”. Leży ona około dwóch mil od bram pańskiego parku.

Książę opadł na fotel.

— A kogo pan oskarża?

Odpowiedź Holmesa była wprost zdumiewająca. Podszedł bliżej i dotknął dłonią ramienia księcia.

— Oskarżam p a n a ! — powiedział. — A teraz, Wasza Wysokość, proszę o czek.

Nigdy nie zapomnę tej sceny. Książę zerwał się z fotela i zatrzepotał rękoma, jak człowiek spadający w przepaść. Dopiero po chwili opanował się z nadzwyczajnym wysiłkiem i ukrył twarz w dłoniach. Upłynęło kilka minut, zanim się odezwał.

— Co pan wie? — spytał wreszcie, nie podnosząc głowy.

— Widziałem pana ostatniej nocy razem z nim.

— Czy nikt poza pańskim przyjacielem nie wie o tym?

— Nikomu nie mówiłem ani słowa!

Książę drżącą ręką ujął pióro i otworzył książeczką czekową.

— Oczywiście dotrzymałem słowa, Mr Holmes, Wypiszę panu czek bez względu na to, jak niepomyślne mogą być dla mnie informacje, które pan zdobył, Gdy ogłaszałem nagrodę, nie miałem pojęcia, jaki obrót mogą przyjąć wypadki, Jednakże pan i pański przyjaciel jesteście chyba ludźmi dyskretnymi?

— Nie bardzo rozumiem Waszą Wysokość.

— Mr Holmes! Muszę postawić sprawę jasno. Jeśli tylko wy dwaj znacie całą tajemnicę, to nie widzę powodu, aby miała się ona rozprzestrzenić, Zdaje się, iż właściwie jestem panu winien 12 tysięcy funtów szterlingów. Czy nie tak?

Holmes, uśmiechając się, potrząsnął przecząco głową.

— Obawiam się, Wasza Wysokość, iż tych spraw nie da się załatwić w tak prosty sposób. Tu wchodzi w grę śmierć nauczyciela.

— Ale James nic o tym nie wiedział. Pan nie może przecież obarczać go odpowiedzialnością za tę zbrodnię. Dokonał jej ten brutalny łotr, którego miał nieszczęście wynająć.

— Jeśli człowiek popełnia zbrodnię, to ponosi moralną odpowiedzialność za każdą inną zbrodnię, jaka może z niej wyniknąć. Oto mój punkt widzenia, Wasza Wysokość!

— Moralnie, Mr Holmes. Ma pan niewątpliwie słuszość. Ale na pewno prawo ma inny punkt widzenia. Nie można skazać człowieka za morderstwo, przy którym wcale nie był obecny i któremu jest przeciwny, do którego wreszcie ma taki sam wstręt jak pan. Skoro tylko się o tym dowiedział, od razu mi wszystko wyznał, tak przepelniały go żal i zgroza. Och, Mr Holmes! Niech go pan ocali! Pan musi go jakoś ratować! Mówię panu, pan musi go ocalić!

Książę do reszty stracił panowanie nad sobą. Biegał po pokoju. Twarz mu się wykrzywiła, wymachiwał zaciśniętymi pięściami. Wreszcie opanował się i znów usiadł przy biurku.

— W pełni doceniam pańskie postępowanie! — rzekł wreszcie. — Dobrze, iż przyszedł pan najpierw do mnie i nikomu o tym nie wspominał. Przynajmniej mamy czas do zastanowienia się, w jakim stopniu można zatuszować ten okropny skandal.

— Doskonale! — odpowiedział Holmes. — Moim zdaniem, Wasza Wysokość, można to będzie osiągnąć jedynie drogą absolutnej szczerości. Pragnę pomóc Waszej Wysokości z całego serca. Jednak aby to uczynić, muszę poznać sprawę w najdrobniejszych szczegółach. Orientuję się, iż słowa Waszej Wysokości odnosiły się do Mr Jamesa Wildera i że nie jest on mordercą.

— Nie! Morderca zbiegł!

Sherlock Holmes uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Wasza Wysokość nie miała widocznie okazji dowiedzieć się o rozgłosie, jakim się cieszę. W przeciwnym bowiem razie nie przypuszczałby pan, iż tak łatwo można mi się wymknąć. Mr Reubena Hayesa zaarrestowano w Chessterfield o jedenastej w nocy na podstawie mojej informacji. Dziś rano przed wyjściem ze szkoły otrzymałem telegram z miejscowej komendy policji.

Książę opadł na fotel i z podziwem patrzył na mego przyjaciela.

— Pan chyba posiada jakieś nadludzkie siły! — powiedział. — A więc Reubena Hayesa uwięziono? Mam powód, by się z tego cieszyć, jeśli nie odbije się to na losach Jamesa.

— Pańskiego sekretarza?

— Nie, sir! Mojego syna!

Teraz Holmes popatrzył nań kompletnie zdumiony.

— A to nowina! Przyznaję, Wasza Wysokość, iż tego się nawet nie spodziewałem. Czy mógłbym jednak prosić pana o bliższe wyjaśnienia?

— Nie mam zamiaru niczego przed panem ukrywać! Całkowicie się też z panem zgadzam co do tego, że tylko zupełna szczerłość jest najlepszym sposobem postępowania w tej sytuacji, do której doprowadziły zazdrość i szaleństwo Jamesa. A prawda może być bardzo bolesna. Gdy byłem jeszcze bardzo młody, Mr Holmes, pokochałem taką miłością, jaka przychodzi tylko raz w życiu. Zaofiarowałem mojej ukochanej małżeństwo. Ona jednak odmówiła. Obawiała się bowiem, iż taki krok mógłby zniszczyć moją karierę. Gdyby ona żyła, na pewno nie poślubiłbym nikogo innego. Niestety, umarła i osierociła jedyne dziecko. Przez wzgląd na nią opiekowałem się nim i dałem mu utrzymanie, lecz nie mogłem go oficjalnie usynowić. Zapewniłem mu jednak najlepsze wychowanie i wykształcenie. Skoro zaś doszedł do pełnoletności, trzymałem go blisko siebie. Wkrótce poznał on moją tajemnicę i odtąd pozwalał sobie na różne żądania wobec mnie. Posuwał się nawet do gróźb wywołania skandalu, którego się bardzo obawiałem. Wreszcie jego obecność stała się w pewnym stopniu powodem niesnasek małżeńskich i separacji z obecną moją żoną... Przede wszystkim jednak nienawidził on mojego małego synka, prawem uznanego spadkobiercy. Od samego początku żywił doń zawziętą nienawiść. Może pan mnie zapytać, dlaczego w takiej sytuacji nadal trzymałem Jamesa pod moim dachem. I słusznie. Ale niech pan tylko pomyśli. Jego twarz przypominała mi rysy zmarłej matki, której pamięć była mi zawsze tak droga. I właśnie ze względu na to nie miały końca moje cierpienia. Odziedziczył po matce cały jej urok i czarujący sposób bycia. Każdym więc ruchem żywo mi ją przypominał. Nie mogłem go

odesłać! Obawiałem się jednak bardzo, aby Arturowi, to jest lordowi Saltire, nie wyrządził krzywdy. Dlatego też wysłałem chłopca do szkoły dra Huxtable'a.

James jako mój przedstawiciel zapoznał się z Hayesem, który był jednym z dzierżawców. To skończony łotr. James zawsze miał skłonność do zawierania takich gminnych znajomości, a więc i tym razem w jakiś niezrozumiały sposób nawiązał z nim bliższe stosunki.

Gdy postanowił porwać lorda Saltire'a, to zapewnił sobie pomoc tego człowieka. Pan przypomina sobie, iż w przeddzień wypadku napisałem do Artura. Otóż James otworzył kopertę i włożył inny list. Prosił w nim Artura o spotkanie w małym lasku zwanym „Ragged Shaw”, który znajduje się w pobliżu szkoły. Pisał rzekomo z polecenia księżnej i w ten sposób skłonił chłopca do przybycia. Wspominałem już panu, iż James wszystko mi wyznał. Otóż owego wieczoru pojechał rowerem i powiedział Arturowi, gdy się spotkali w lesie, iż matka pragnie się z nim zobaczyć i w tym celu oczekuje go na wrzosowisku. Jeśli uda się o północy do lasku, to spotka człowieka z koniem, który go do niej zawiezie. Biedny Artur wpadł w zasadzkę. Przybył bowiem na umówione spotkanie i zastał tam Hayesa. Artur dosiadł konia i razem odjechali. Potem okazało się jednak, choć James dowiedział się o tym dopiero wczoraj, że ścigano ich. Gdy nauczyciel już ich doganiał, Hayes zadał mu cios swym okutym kijem, tak że człowiek ten zmarł wskutek odniesionej rany. Hayes zawiózł Artura do swojej gospody „Pod Walczącym Kogutem”. Tu uwięził go w pokoju na pierwszym piętrze, oddając pod opiekę pani Hayesowej, dobrej zresztą kobieciny, lecz znajdującej się pod całkowitym wpływem swego brutalnego męża.

Oto tak przedstawiały się sprawy dwa dni temu, gdy pana po raz pierwszy ujrzałem. Wówczas, podobnie jak pan, nie miałem pojęcia, jak naprawdę sprawa wyglądała. Może pan mnie oczywiście spytać, jakie motywy skłoniły Jamesa do popełnienia tego czynu? Cóż mam na to odpowiedzieć? Dużo w tym było bezsensownej i fanatycznej nienawiści do mojego spadkobiercy Artura. James wyobrażał sobie, iż on sam powinien być dziedzicem całego mojego majątku i czuł głęboką nienawiść do praw społecznych, które mu to uniemożliwiały. Jednocześnie miał on określony motyw działania. Pragnął, bym złamał ustawowy porządek dziedziczenia. Był głęboko przekonany, iż leży to w mojej mocy. Zamierzał zrobić ze mną taką zamianę: on zwróci mi Artura, o ile zmienię zasady dziedziczenia i przekażę mu cały majątek w testamencie. Zdawał sobie doskonale sprawę, iż dobrowolnie nigdy w życiu nie odwołam się do pomocy policji przeciwko niemu. Chciał mi zaproponować taką zamianę, ale w rzeczywistości nie zdążył już tego uczynić, gdyż wypadki potoczyły się zbyt szybko. Nie miał więc czasu na realizację swoich planów.

Znalezienie przez pana zwłok nauczyciela Heideggera sparaliżowało jego nikczemny plan. Na wiadomość o tym Jamesa opanowało przerażenie. Stało się to wczoraj, gdy siedzieliśmy razem tu, w gabinecie. Nadszedł właśnie telegram od dra Huxtable'a. James był tak wstrząśnięty i przygnębiony, iż podejrzenia, które podświadomie zawsze mnie nurtowały, przekształciły się w niezbitą pewność. Zarzuciłem mu porwanie chłopca. On wyznał wszystko dobrowolnie, a potem, błagał, bym dochował mu tajemnicy przez trzy dni. Chciał swojemu niecnemu współnikowi dać okazję do ocalenia życia. Uległem jego prośbom. Zawsze mu ulegałem. James tymczasem pospieszył natychmiast do gospody „Pod Walczącym Kogutem”, aby ostrzec Hayesa i dać mu pieniądze na ucieczkę. Nie mogłem udać się tam za dnia, bez zwrócenia niczyjej uwagi. Skoro jednak tylko zapadł zmrok, podążyłem zobaczyć mojego drogiego Artura. Zastałem go całego i zdrowego. Był jednak okropnie przejęty straszną zbrodnią, której był świadkiem. Ulegając przyrzeczeniu, zgodziłem się, chociaż bardzo niechętnie, pozostawić go tam trzy dni pod opieką Mrs Hayesowej. Nie można było bowiem poinformować policji, gdzie on przebywał, nie ujawniając jednocześnie, kto był mordercą. To nie ulega wątpliwości. Ponadto nie mogłem sobie wyobrazić, jak morderca może ponieść karę bez zguby mego nieszczęsnego Jamesa. Prosił mnie

pan o bezwzględną szczerłość. I tak też uczyniłem. Powiedziałem panu całą prawdę, wszystko, bez żadnych niedomówień i przemilczeń. Teraz niech pan odplaci mi się taką samą szczerością.

— Oczywiście, Wasza Wysokość! — odpowiedział Holmes. — Przede wszystkim muszę panu wyjaśnić, iż pan sam popadł w bardzo poważny konflikt z przepisami prawnymi. Uczestniczył pan w zbrodni i pomógł pan w ucieczce mordercy. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż pieniądze, które wziął James Wilder dla swojego wspólnika na pomoc w ucieczce, pochodziły z portfela Waszej Wysokości.

Księżę skinął potakująco głową.

— To rzeczywiście bardzo poważna sprawa. Moim zdaniem, Wasza Wysokość, jeszcze bardziej karygodne jest pańskie stanowisko wobec młodszego syna. Pan go zostawił przecież na dalsze trzy dni w tej speluncie.

— Ale uzyskałem uroczyście przyrzeczenie...

— Cóż znaczą przyrzeczenia dla takich ludzi? Nie ma pan żadnej pewności, iż nie zniknie on ponownie. Dla zachcianki pańskiego złego, starszego syna, naraził pan niepotrzebnie na poważne niebezpieczeństwo swoje niewinne, młodsze dziecko. To naprawdę bardzo niesprawiedliwie.

Dumny lord na Holdernessie nie był przyzwyczajony słuchać tak ostrych wyrzutów w swojej własnej, księżęcej rezydencji. Gorąca fala krwi napłynęła mu do głowy, barwiąc purpurowym rumieńcem wysokie czoło. Jednak sumienie nakazywało mu milczenie.

— Pomogę panu, ale pod jednym tylko warunkiem: Zadzwoń pan na lokaja i pozwól mi wydawać polecenia, jakie uznam za stosowne.

Księżę bez słowa nacisnął taster elektrycznego dzwonka. Zjawił się służący.

— Ucieszy was zapewne wiadomość — rzekł Holmes — o znalezieniu panicza. Na specjalne życzenie księcia proszę natychmiast wysłać powóz do gospody „Pod Walczącym Kogutem” i przywieźć do domu lorda Saltire’a.

— A teraz — ciągnął dalej Holmes, gdy uradowany lokaj się oddalił — skoro zabezpieczyliśmy przyszłość, możemy z większą wyrozumiałością odnieść się do przeszłości. Nie jestem tu urzędowo. Dlatego też, dopóki czynię zadość zasadom sprawiedliwości, nie widzę powodu do wyjawiania wszystkiego, co mi jest wiadome. Nie mówię oczywiście o Hayesie. Czekają go szubienice! Ja zaś nie ruszę nawet palcem, aby go uratować! Nie mam pojęcia, co on zezna. Niewątpliwie jednak Wasza Wysokość może mu dać do zrozumienia, iż milczenie leży w jego własnym interesie. Z punktu widzenia policji porwał on chłopca w celu uzyskania okupu. Jeśli oni sami nie dojdą do sedna sprawy, to nie widzę powodu, dlaczego miałbym sugerować im szerszy punkt widzenia. Muszę jednak ostrzec Waszą Wysokość, iż dalszy pobyt Mr Jamesa Wildera w pańskim domu może jedynie spowodować nieszczęście.

— Zrozumiałem to sam, Mr Holmes, i już załatwiłem tę sprawę. Opuści mnie on na zawsze. Pojedzie mianowicie szukać szczęścia do Australii.

— Wobec tego, Wasza Wysokość, ponieważ wszelkie niesnaski w pańskim pożyciu małżeńskim, jak pan sam stwierdził, powodowała obecność Jamesa, pragnę podsunąć panu pewną myśl. Czy nie zechciałby pan naprawić krzywdy wyrządzonej księżnej i na nowo podjąć stosunki, które w tak przykry sposób zostały zerwane?

— I to również uczyniłem, Mr Holmes. Dziś rano napisałem do księżnej.

— W takim razie — powiedział Holmes wstając — zarówno mój przyjaciel, jak i ja, możemy sobie chyba pogratulować kilku pomyślnych wyników w ciągu naszej krótkiej wycieczki na północ. Pozostaje jednak jeszcze jeden drobiazg do wyjaśnienia. Ten łotr, Hayes, obuł konie w specjalne buty, które imitowały ślady krów. Czy to Mr Wilder nauczył go tej niecodziennej sztuczki?

Zdumienie księcia nie miało granic. Stał chwilę zamyślony. Wreszcie otworzył drzwi i wprowadził nas do wielkiej komnaty przekształconej na muzeum. Powiódł nas do szklanej gabloty, stojącej w kącie, i pokazał napis, który głosił:

Te buty wykopano w fosie zamku Holderness Hall. Przeznaczone są dla koni. Jednak pod spodem uformowano je w kształcie żelaznych, rozszczepionych racic krów, aby ścigającym zmylić trop. Prawdopodobnie należały one do któregoś ze średniowiecznych baronów–rabusiów, panów na Holderness.

Holmes otworzył gablotę i powiódł zwilżonym palcem wzdłuż buta. Cienka warstwa świeżego pyłu i brudu pozostała na skórze,

— Dziękuję panu! — powiedział zamykając gablotę. — Oto drugi z najciekawszych przedmiotów, jakie widziałem na północy.

— A pierwszy?

Holmes wziął do ręki czek, złożył go i troskliwie umieścił w notesie.

— Jestem ubogim człowiekiem — rzekł gładząc z upodobaniem notes, który następnie schował do wewnętrznej kieszeni.

*Przeł. Jan Skalny i Jerzy Regawski
The Adventure of the Priory School*

HARPUN CZARNEGO PIOTRA

Ze wspomnień Doktora Watsona

Nie przypominam sobie, aby mój przyjaciel znajdował się kiedykolwiek w lepszej formie tak pod względem umysłowym, jak i fizycznym niż w 1895 roku. Rosnącej jego sławie towarzyszyła ogromna praktyka. Meraz różne znakomitości przekraczały skromne progi naszego domu przy Baker Street. Niestety, nie mogą wymienić ich nazwisk. Dyskrecja przede wszystkim...

Holmes jednak postępował jak wszyscy wielcy artyści. Żył dla sztuki. Nigdy nie żądał wysokiego honorarium za swe bezcenne usługi. Jedyne wyjątki, jakie znam, stanowiła sprawa księcia Holderness. Wydaje mi się, że Sherlock był pod tym względem nieobliczalny, lub też trochę kapryśny. Nieraz odmawiał pomocy bogatym i wpływowym osobistościom, o ile sprawa nie budziła w nim zainteresowania. Potrafił natomiast zajmować się sprawami ludzi biednych, jeśli tylko posiadały one posmak niecodzienności i obfitowały w spięcia dramatyczne. Takie wypadki pobudzały dopiero jego wyobraźnię, i prowokowały do działania.

A właśnie rok 1895 obfitował w dziwne i zawikłane wypadki, które oczywiście zainteresowały Holmesa. Cała seria, wydarzeń! Zaczęło się od dochodzenia w głośnej sprawie nagłego zgonu kardynała Tosea. Holmes prowadził je na specjalne życzenie papieża. Przyniosło mu to wielki rozgłos i sławę. Pasma ciekawych wypadków zamykało aresztowanie Wilsona, znanego hodowcy kanarków. Uwolniło ono mieszkańców londyńskiej dzielnicy East End od wielkiej plagi. Oprócz tych dwu głośnych spraw na szczególną uwagę zasługuje tragedia w Woodman's Lee i śmierć kapitana Piotra Careya, która nastąpiła w okolicznościach pełnych tajemniczości i grozy. Listy sukcesów Sherlocka nie można by uważać za zamkniętą bez uwzględnienia szczegółów tego tak niezwykłego wypadku.

W pierwszych dniach lipca mój przyjaciel bardzo często i na długo opuszczał nasze mieszkanie. Wiedziałem już co to oznacza. Oczywiście pochłonęła go jakaś nowa sprawa. Wielu ludzi o bardzo podejrzanym wyglądzie poczęło rozpytywać i szukać kapitana Basila. Holmes działał pod jednym ze swych licznych przybranych nazwisk, przebrany za kapitana. Pod tą postacią mógł zatracić swój groźny wygląd i zmylić przeciwnika. Dysponował on co najmniej pięciu małymi schowkami w różnych dzielnicach Londynu. Dzięki temu zmiana wyglądu nie nastroczała żadnych trudności.

Nic mi nie mówił o tej sprawie, a ja nie mam zwyczaju wdzierać się w cudze tajemnice. Za to pierwsza informacja, jakiej mi udzielił o prowadzonym dochodzeniu, była niezwykła. Przyszedł z miasta przed śniadaniem. Byłem u siebie. Wszedł do pokoju w kapeluszu na głowie i z ogromną, dzidą pod pachą.

— No wiesz, Holmesie...! — zawołałem. — Chyba nie chodziłeś z tym oszczepem po Londynie?!

— Owszem! Pojechałem do rzeźnika i z powrotem.

— Do rzeźnika?

— Mam wspaniały apetyt. Mój drogi Watsonie, trochę gimnastyki przed śniadaniem każdemu bardzo dobrze zrobi!. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jednak trzymam zakład, że nie zgadniesz, co to były za ćwiczenia.

— Nawet nie będę próbował. Wypił kawę i odchrząknął.

— Gdybyś zajrzał do tylnych pomieszczeń w sklepie Allardyce'a, to byś zobaczył jak pewien dżentelmen, podwiązawszy rękawy koszuli, dźgał z furią tym oto „narzędziem” zabita świnia, zawieszoną, na haku pod sufitem. To ja byłem tym energicznym osobnikiem. Z zadowoleniem

stwierdziłem, że bez większego wysiłku potrafię jednym pchnięciem przesyć świnie na wylot. A może i ty chciałbyś spróbować?

— W żadnym wypadku. Ale dlaczego ty to robiłeś?

— Ponieważ, zdaje mi się, miało to pośrednie znaczenie dla tajemniczej sprawy Woodman's Lee. Ale oto Hopkins. Tej nocy otrzymałem pański telegram. Właśnie czekam na pana. Prosimy do nas. Niech pan siada!

Gościem naszym był bardzo ruchliwy, mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Miał na sobie garnitur samodziąłowy w spokojnym kolorze. Trzymał się bardzo prosto. Świadczyło to, iż przywykł do munduru. Od razu zorientowałem się. Przecież to Stanley Hopkins, młody inspektor policji. Holmes przepowiadał mu wielką przyszłość. On zaś uwielbiał doskonałego detektywa i żywił wielki szacunek dla jego słynnej metody naukowej.

Inspektor wyglądał na zmartwionego i przygnębionego. Usiadł ciężko i westchnął.

— Nie, dziękuję panu, sir, jadłem już śniadanie, zanim tu przybyłem. Noc spędziłem w mieście. Przyjechałem wczoraj złożyć raport.

— No i jak wypadł ten raport?

— Fiasko, sir! Całkowite fiasko!

— Nie posunął pan sprawy naprzód?

— Ani trochę.

— Mój drogi, muszę się przyjrzeć tej historii.

— Bardzo byłbym wdzięczny, gdyby pan zechciał, Mr Holmes. Przecież to moja pierwsza wielka szansa życiowa. A niestety, grozi mi porażka. Dla dobra sprawy niech pan mi pomoże!

— Dobrze, dobrze. Tak się właśnie szczęśliwie składa, że zdążyłem się już przedtem zapoznać dokładnie z aktami sprawy łącznie z protokołem śledztwa. Co pan na przykład myśli o znalezionym na miejscu zbrodni kapciuchu z tytoniem? Czy przypadkiem nie stanowi on klucza do rozwiązania zagadki?

W spojrzeniu Hopkinsa malowało się zdumienie.

— Ale to był przecież jego własny kapciuch. Wewnątrz znajdują się nawet inicjały, wyciśnięte na focznej skórze, z której go wykonano. Właściciel tajemniczego kapciucha był bowiem doświadczonym łowcą fok.

— A jednak nie posiadał on fajki.

— Rzeczywiście, sir. Nie możemy jej znaleźć. Palił on bardzo mało. Mógł jednak mieć u siebie tytoń dla przyjaciół.

— Oczywiście. Wspomniałem o tym z innego zresztą powodu. Jeślibym miał zająć się tą sprawą, to — moim zdaniem — należałoby rozpocząć dochodzenia właśnie od tego punktu. Ale mój przyjaciel, dr Watson, nie ma najmniejszego pojęcia o całej tej historii, a ja również nic nie stracę, skoro ponownie ją usłyszę. Niech więc nam pan opowie pokrótce przebieg wypadków.

— Najpierw kilka danych personalnych, dotyczących kapitana Piotra Careya. Urodził się w roku 1845; miał więc 50 lat. Cieszył się opinią śmiałego marynarza i wielorybnika. Sprzyjało mu przy tym szczęście. W roku 1883 został kapitanem statku „Sea Unicorn”, parowca z Dundee. Odbył na nim wówczas kilka bardzo pomyślnych rejsów, lecz już w następnym roku, 1884, porzucił tę służbę! Następnie podróżował jeszcze przez kilka lat, aż wreszcie kupił niewielką posiadłość zwaną Woodman's Lee, w pobliżu Forest Row w hrabstwie Sussex. Osiedlił się tu przed sześciu laty i zamieszkiwał aż do śmierci, która zabrała go tydzień temu.

Warto zwrócić uwagę na pewne cechy charakteru tego człowieka. Są to interesujące i znamienne szczegóły. Carey był w codziennym życiu surowym purytaninem, człowiekiem milczącym i ponurym. Razem z nim mieszkała żona, dwudziestoletnia córka i dwie służące. Życie nie było tam wesołe a czasami nawet pobyt w tym domu stawał się wprost nie do

zniesienia. Dlatego też służba wciąż się zmieniała.

Od czasu do czasu pił na umór. Wówczas stawał się wprost wcielonym diabłem. Potrafił na przykład bez najmniejszego powodu, wśród nocy, wyrwać żonę i córkę ze snu i wypędzić na dwór. Gonił je następnie po całym parku, chłoscząc niemiłosiernie, dopóki nie przybiegli ludzie z sąsiedniej wsi zbudzeni ich krzykami.

Tego było już za wiele. Stary proboszcz wezwał go wreszcie i surowo zabronił takich dzikich wybryków. Krótko mówiąc, Mr Holmes, musiałby pan długo szukać, zanim by pan znalazł niebezpieczniejszego człowieka od Piotra Careya. A słyszałem nawet, że w podobnym stanie dowodził również statkiem. Wśród marynarzy znany był jako „Czarny Piotr”. Wyróżniał się śniadą, ogorzałą cerą i wielką brodą, czarną jak smoła. Nie tylko jednak wygląd zjednał mu to przyzwisko. Właściwą przyczyną było raczej usposobienie Careya, który stwarzał dokoła atmosferę strachu i grozy. Dlatego też wszyscy sąsiedzi nienawidzili go i unikali. A nawet, gdy spotkała go tak okropna śmierć, nie usłyszałem od nikogo jednego słowa żalu.

Czytał pan akta śledztwa, Mr Holmes. Wie pan zatem o tzw. „kajucie”. Być może jednak, pański przyjaciel nie słyszał o niej. Kapitan wybudował sobie małą drewnianą chatkę o kilkaset jardów od domu. Odtąd tam zawsze tylko sypiał. Było to niewielkie, jednoizbowe pomieszczenie o rozmiarach 16 na 10 stóp. Nazywał je „kajutą”. Klucz do niego nosił Carey zawsze przy sobie i nie dopuszczał tam nikogo. Sam nawet sprzątał i słał łóżko. Małych okienek, zasłoniętych firankami nigdy nie otwierano. Jedno z nich wychodziło na szosę. Kiedy więc w „kajucie” płonęło światło, nie uchodziło to uwadze ludzkiej. Nieraz mówiono na ten temat w okolicy i zastanawiano się, co właściwie „Czarny Piotr” może tam robić całymi nocami. Właśnie to okno dostarczyło nam jednego z niewielu dowodów istotnych dla śledztwa. Otóż kamieniarz nazwiskiem Slater — jak pan; sobie przypomina — dwa dni przed morderstwem przechodził tamtędy koło pierwszej w nocy, idąc z Fores Row. Mijając posiadłość Careya zatrzymał się. Wzrok jego przyciągnęła bowiem jasna plama światła migająca pomiędzy drzewami. Kamieniarz ten zaklina się, iż dokładnie widział na firance cień głowy człowieka z profilu. Nie był to jednak z całą pewnością cień Piotra Careya, którego dobrze znał. Cień przedstawiał człowieka z krótką brodą, sterczącą ku przodowi, zupełnie inną niż broda kapitana. Tak zeznał świadek. Ale przedtem spędził dwie godziny w karczmie, a ponadto od drogi do okienka „kajuty” jest dosyć daleko. Wreszcie relacja jego dotyczy poniedziałku, gdy tymczasem zbrodni dokonano we środę.

We wtorek Piotr Carey był w okropnym stanie. Pił na umór. Włóczył się wokół domu niczym groźna, dzika bestia. Kobiety uciekały w popłochu, słysząc jego kroki. Wieczorem udał się do swej chatki. Koło godziny drugiej w nocy rozdzierający krzyk od strony „kajuty” zbudził córkę kapitana, która spała przy otwartym oknie. Nie zwróciła jednak na to większej uwagi. Ojciec po pijanemu bardzo często przecież krzyczał i hałasował. Dopiero o siódmej nad ranem jedna ze służących zauważyła ze zdumieniem, iż drzwi chatki są otwarte. Carey jednak budził taki postrach, że dopiero koło południa odważyła się tam zaglądnąć. Zerknęła nieśmiało przez uchylone drzwi, lecz natychmiast cofnęła się przerażona i uciekła w popłochu do wioski. W ciągu godziny byłem na miejscu i rozpocząłem dochodzenie. Wie pan, Mr Holmes, że mam mocne nerwy. Ale daję słowo — w pierwszej chwili, gdy zjrzałem do małego domku, doznałem po prostu wstrząsu. Wewnątrz krążyły roje wielkich niebieskich much, które napępniały pawilon natrętnym brzęczeniem. Podłoga i ściany były zbryzgane krwią. Po prostu... rzeźnia.

Carey nazwał tę chatkę „kajutą”, i słusznie, gdyż miała ona wygląd kajuty okrętowej. Znajdowały się tam: koja, skrzynia marynarska, mapy i plany, obraz „Sea Unicorn” oraz rząd dzienników okrętowych na półce. Słowem wszystko, co można zazwyczaj spotkać w pomieszczeniu kapitana statku. Wewnątrz ujrzałem Careya. Twarz wykrzywił mu straszliwy grymas, a wielka potargana broda sterczała w górę, podniesiona widocznie w trakcie agonii.

Harpun przebił go na wylot. Ostrze przeszło z prawej strony przez szeroką klatkę piersiową i utkwilo głęboko w drewnianej ścianie. Był już martwy. Rozdzierający krzyk, jaki wydał w agonii, był jego ostatnim tchnieniem. Z tą chwilą zakończył życie.

Znam pańskie metody, sir, i oczywiście zastosowałem je. Nie pozwoliłem niczego ruszać. Zbadałem piędź po piędzi ziemię dokoła „kajuty” a następnie podłogę domku. Nie było żadnych śladów.

— ...Powiedzmy raczej, żadnych pan nie zauważył?

— Ależ zapewniam pana, iż nie było żadnych!

— Mój drogi panie Hopkins! Miałem do czynienia z niejedną już zbrodnią. Nigdy jednak nie słyszałem o morderstwie dokonanym przez unoszącego się powietrzu ducha. Skoro więc zbrodniarz chodzi po ziemi, to musi pozostawiać po sobie jakieś odciski i ślady. Czasami zdraśnie nieznacznie jakiś przedmiot lub przesunie go. Wszystko to może odkryć zdolny detektyw. Trudno wprost uwierzyć, aby bryzgi krwi na ścianach i podłodze nie zawierały niczego, co mogłoby stać się dla nas wskazówką. Widzę z przebiegu śledztwa, iż przeoczył pan kilka szczegółów.

Młody inspektor milczał chwilę po ironicznych uwagach mego przyjaciela.

— Źle postąpiłem, Mr Holmes, że od razu pana nie poprosiłem. Czynię to więc teraz. Rozwój wypadków dowiódł, iż nie poradzimy sobie bez pana pomocy. Otóż w „kajucie” kilka przedmiotów specjalnie mnie zainteresowało. Jednym z nich był harpun, którym dokonano zbrodni. Morderca zerwał go widać ze ściany. Dwa inne harpuny bowiem wiszą nadal, natomiast miejsce na trzeci świeci pustką. Na trzonku jest wyryty napis: *S. S. Sea Unicorn, Dundee*. Czego to wszystko dowodzi? Chyba tego, iż morderca zabił Careya pod wpływem ataku furii. Chwytał bowiem pierwszą lepszą broń, jaką znalazł pod ręką. Kapitan prawdopodobnie umówił się z nim w nocy na spotkanie. Świadczyć o tym może fakt, iż Piotr Carey był całkowicie ubrany, mimo że zbrodni dokonano o godzinie drugiej w nocy. Ponadto na stole stała butelka rumu i dwie szklanki.

— Tak — odparł Holmes. — Sądzę, że oba wnioski przypuszczalnie są trafne. Czy w pokoju znajdował się oprócz rumu jeszcze inny trunek?

— Owszem. Zauważyłem nadto brandy i whisky, stojące na marynarskiej skrzyni. Nie posiada to jednak dla nas większego znaczenia. Karafki były przecież pełne, a więc nie użyto ich.

— Mimo to — zwrócił uwagę Holmes — obecność ich ma pewne znaczenie. Słuchamy jednak dalej... zwłaszcza o tych przedmiotach, które, zdaniem pana, mają jakiś związek z wypadkiem.

— Na stole znalazłem ten właśnie kapciuch.

— Gdzie leżał?

— Na samym środku stołu. Zrobiono go z nie wyprawionej skóry foki o krótkim włosiu. Do zawiązywania woreczka służy skórzany rzemień, a na wewnętrznej stronie klapki kapciucha widnieją litery P.C. Woreczek zawierał pół uncji mocnego, marynarskiego tytoniu,

— Wspaniale! I cóż więcej?

Stanley Hopkins wyciągnął z kieszeni zniszczone, spłowiały notes. Na pierwszej stronie widać było inicjały *J.H.N.* i datę *1883 r.* Holmes położył go na stole i dokładnie obejrzał, jak to zawsze zwykł czynić. My zaś Obaj z Hopkinsem patrzeliśmy spoza jego ramion. Drugą stronę pokrywało kilka zespołów cyfr. U góry natomiast odcinały się Wyraźnie litery *C.P.R.* Na przrzuconych kartkach migwały od czasu do czasu napisy, jak *Argentyna, Costa Rica, San Paulo*. Po każdym z nich następowały całe strony pełne znaków i liczb.

— Co pan o tym sądzi? — zapytał Holmes.

— Myślę, że są to wykazy giełdowych papierów Wartościowych. Prawdopodobnie *J.H.N.*

stanowią inicjały maklera, a *C.P.R.* jego klienta...

— Na przykład *Canadian Pacific Railway* — wtrącił Holmes.

Stanley Hopkins stłumił przekleństwo i trzepnął się pięścią w udo,

— Cóż za dureń ze mnie! — zawołał. — Naturalnie, ma pan rację! Teraz tylko pozostają do rozszyfrowania inicjały *J.H.N.* Dawne ceduły giełdowe już sprawdziłem. Niestety, za 1883 rok nigdzie nie figuruje nazwisko zaczynające się od tych liter. Ani na giełdzie londyńskiej, ani u innych maklerów. Niemniej jednak uważam to za najważniejszy ślad, jaki posiadam. Inicjały te mogą przecież należeć do tej drugiej osoby, która odwiedzała Wówczas kajutę. Innymi słowy — do mordercy. Zgodzi się pan chyba, Mr Holmes, iż wygląda to na całkiem prawdopodobne. Również włączenie do danych o przestępstwie dokumentu, informującego o znacznej ilości papierów wartościowych, ukazuje nam pierwsze wskazówki dotyczące motywu zbrodni. I przy tym będę obstawać.

Nowy obrót sprawy zaskoczył trochę Sherlocka Holmesa. Widać to było po jego minie.

— Muszę przyjąć oba pana dowodzenia powiedział. — Dotychczas przecież śledztwo nie obejmowało notesu. Przyznaję, zmieni to nieco poglądy, jakie sobie na sprawę wyrobiłem. Doszedłem bowiem do takiego wytłumaczenia zbrodni, w którym na notes nie ma miejsca. A czy próbował pan wyjaśnić zanotowane w nim papiery wartościowe?

— Tak. Prowadzimy poszukiwania w różnych urzędach. Obawiam się jednak, iż kompletne wykazy akcjonariuszy wymienionych koncernów południowoamerykańskich znajdują się jedynie na drugiej półkuli. I z pewnością potrwa kilka tygodni, nim zdobędziemy wyczerpujące informacje o tych akcjach.

Holmes tymczasem przyglądał się uważnie przez szkło powiększające oprawce notesu.. — Niech pan spojrzy na tę plamę — powiedział wreszcie.

— Tak, sir, to od krwi. Jak już panu wspominałem, notes ten podniosłem z podłogi.

— Czy krew była na wierzchu, czy pod spodem?

— Na tej stronie, która przylegała do desek podłogi.

— Wynika z tego, iż notes spadł na ziemię dopiero po dokonaniu zbrodni.

— Tak, Mr Holmes. Jestem tego samego zdania Morderca strącił go z pewnością w trakcie ucieczki. Notes leżał blisko drzwi.

— Przypuszczalnie żadnej z akcji koncernów amerykańskich nie znaleziono wśród dobytku zamordowanego kapitana?

— Nie, sir.

— Czy są jakieś poszlaki wskazujące rabunek?

— Nie, sir. Wydaje się, iż niczego tam nie ruszano.

— Mój drogi! To z całą pewnością bardzo interesujący wypadek. A czy nie spostrzegł pan tam noża?

— Owszem, widziałem nóż, ale nie wyciągnięty z pochwy. Leżał u stóp zabitego. Pani Carey rozpoznała go jako własność jej męża.

Holmes zamyślił się.

— No, dobrze — powiedział w końcu. — Pójdę tam i obejrzę wszystko.

Stanley Hopkins krzyknął radośnie:

— Dziękuję, sir! Spadł mi ciężar z serca.

Holmes pogroził palcem inspektorowi.

— Tydzień temu zadanie to było niewątpliwie łatwiejsze do rozwiązania — powiedział. — Ale i teraz moja wizyta może dać jeszcze jakieś wyniki. Watsonie, jeśli pozwoli ci czas, bardzo będę rad z twojego towarzystwa. Skoro sprowadzi pan dorożkę, Mr Hopkins, to w ciągu kwadransa powinniśmy być gotowi do wyjazdu do Forest Row.

Wysiedliśmy przy niewielkich zabudowaniach położonych tuż przy drodze. Następnie posuwaliśmy się kilka mil mocno przeredzonym lasem. Były to szczątki ogromnej puszczy, która niegdyś od strony zatoki przez długi czas powstrzymywała pochód najeźdźców saskich w głąb kraju. Zagradzając przejście, stanowiła przez 60 lat przedmurze Brytanii. Niestety, olbrzymie jej połacie wycięto w okresie, gdy na jej obszarze zaczęto uruchamiać pierwsze w kraju huty żelaza. Potrzeba było wtedy dużo drzewa do wytopu rudy. Obecnie terenem działalności hutnictwa są bogate złoża na północy. Tutaj natomiast, jedyną pozostałością z tego okresu są przetrzebione lasy i ogromne doły. Otóż w tych stronach, na ogołoconym z drzew, zielonym stoku pagórka stał długi a niski, zbudowany z kamienia dom. Prowadziła ku niemu wijąca się wśród pól ścieżka. Bliżej drogi, ukryty wśród zarośli, stał drugi mniejszy domek. Z miejsca, na którym staliśmy, widać było jego drzwi i jedno okno. Oto właśnie scena, na której dokonano zbrodni.

Stanley Hopkins prowadził. Weszliśmy z nim do domu. Tam przedstawił nas siwej, wynędzniałej kobiecie, wdowie po zamordowanym. Mizerna jej twarz i błyski przerażenia, zapalające się chwilami w głębi zaczerwienionych oczu, mówiły dobitnie o latach udręki, jakiej doświadczała. Zastaliśmy również córkę, bladą, jasnowłosą pannę. Cieszyła się ze śmierci ojca. Błogosławiła nawet rękę, która go zabiła. Gdy to mówiła, oczy jej płonęły. W tym zuchwałym spojrzeniu było coś tragicznego, co przejmowało do głębi. Cała atmosfera, jaką wytworzył Czarny Piotr Carey w swym otoczeniu i domu, wywoływała przynębiający nastrój. Odetchnęliśmy z ulgą dopiero wówczas, gdy znaleźliśmy się na dworze. Słońce oślepiało, topiąc wszystko w blasku swych promieni. Droga nasza wiodła teraz poprzez pole ścieżką wydeptaną przez zabitego.

Chatka stanowiła mieszkanie bardzo prostej konstrukcji. Drewniane ściany, pojedynczy pułap oraz dwa okna: przy drzwiach i na bocznej ścianie.

Stanley Hopkins wyjął klucz z kieszeni i włożył do zamka. W tej samej jednak chwili znieruchomiał. Uważnie spojrzął na drzwi, przy czym twarz jego zdradzała wyraźne zaskoczenie.

— Oho! Ktoś tu manipulował przy zamku — powiedział.

Nie mogło tu być żadnej wątpliwości. Drzewo było pocięte, a głębokie rysy przeświecały bielą poprzez farbę. Wyglądały na zupełnie świeże, jakby dopiero przed chwilą je zrobiono. Holmes dokładnie obejrzał okno.

— Również i okno chciał ktoś siłą otworzyć. Jednak mu się nie udało. Widocznie lichy włamywacz.

— To nadzwyczajne! — zawołał inspektor. — Wczoraj wieczorem nie było żadnych śladów. Mógłbym przysiąc!

— Może był to jakiś ciekawski ze wsi? — podsunąłem.

— Ech! Bardzo wątpliwe! Niewielu z nich odważyłoby się wejść w obręb posiadłości, a cóż dopiero włamywać się do „kajuty”. Co pan o tym sądzi, Mr Holmes?

— Myślę, iż los jest dla nas bardzo łaskawy.

— Spodziewa się pan jego powrotu?

— To bardzo prawdopodobne. Przyszedł, spodziewając się zastać drzwi otwarte. Spróbował otworzyć drzwi ostrzem małego scyzoryka. Nie udało się! Cóż więc ma dalej zrobić?

— Przyjdzie ponownie z lepszym już narzędziem.

— I ja tak myślę. Byłoby błędem nie do darowania z naszej strony, gdybyśmy go nie ujeli. Teraz jednak chciałbym szczegółowo obejrzyć wnętrze „kajuty”.

Usunięto już ślady tragicznego morderstwa, ale urządzenia i umeblowania małej izdebki nie ruszono od chwili dokonania zbrodni. Holmes oglądał z wielką uwagą po kolei każdy przedmiot. Twarz jego nie wskazywała jednak na to, by poszukiwania mogły dać jakikolwiek wynik.

Systematycznie i drobiazgowo szperał po wszystkich zakątkach, tak że nie chyba nie mogło ujść jego uwadze.

— Czy brał pan coś z tej półki, Mr Hopkins?

— Nie, niczego nie ruszałem.

— Coś jednak zniknęło. W jednym rogu półki jest mniej kurzu niż gdzie indziej. Mogła to być książka, mogło być również jakieś pudło. No, tak! Moja praca już skończona. Chodźmy, Watsonie, odpocząć w cieniu drzew; Poświęćmy kilka godzin ptakom i kwiatom. Później spotkamy się znowu, Mr Hopkins. Wtedy zobaczymy, czy uda nam się zawrzeć bliższą znajomość z dżentelmenem, który składał tu nocną wizytę.

Wybiła już godzina jedenasta w nocy, kiedy przygotowywaliśmy zasadzkę. Hopkins chciał zostawić drzwi chatki otwarte, Holmes jednak był zdania, iż mogłoby to wzbudzić podejrzenie przybysza. Każdy bez trudu otworzy przecież ten nieskomplikowany zamek. Wystarczy mocne ostrze. Holmes ponadto doradzał czekać nie wewnątrz domku, lecz w pobliżu, wśród krzaków, które rosły za oknem wychodzącym na szosę.

Przypuścimy, że przyjdzie ów tajemniczy, nocny gość. Otworzy drzwi, zapali światło i... Wówczas będziemy mogli śledzić każdy jego ruch. W rezultacie zaś przekonamy się o celu jego nocnej „wizyty”. Nieznośnie długie godziny przeciągały się w nieskończoność. Wyczekiwanie, to piekielnie nudne zajęcie. Tym razem miało ono jednak posmak polowania. A wiadomo, że myśliwemu czyhającemu u wodopoju na dzikiego zwierza raczej się nie nudzi. Ciekawe, któż to wyłoni się z ciemności... Tygrys czy szakal zbrodni? Trudno ująć zwinnego i szybkiego jak błyskawica tygrysa o ostrych kłach i pazurach. Tchórzliwy szakal natomiast może przestraszyć jedynie bezbronnych słabych... Kto zjawi się lada chwila?

Siedzieliśmy przyczajeni wśród krzaków, milczący i nieruchomi. Czekaliśmy na nieznajomego przybysza. Początkowo oczekiwanie to urozmaicały kroki spóźnionych przechodniów lub odgłosy dochodzące ze wsi. Stopniowo jednak i one zamierały. Wreszcie zapanowała całkowita cisza. Od czasu do czasu przerywał ją tylko kurant z odległego kościoła. Nad nami szeleściły krople deszczu wśród listowia drzew.

Zegar wybił pół do trzeciej. Nadeszła najciemniejsza godzina przed świtem. Nagle poderwał nas zupełnie wyraźny chrzęst dochodzący od bramy. Ktoś zbliżał się drogą prowadzącą ku domowi. Po chwili znów wszystko umilkło. Trwało to dosyć długo. Poczuliśmy obawiać się, iż był to fałszywy alarm. Wtem usłyszeliśmy podejrzany szelest. Ktoś skradał się bardzo ostrożnie z drugiej strony „kajuty”. Po chwili zachrobotało, zachrzęściło, jakby ktoś skrobał metalem o metal. To nieznajomy przybysz próbował otworzyć drzwi. Tym razem robił to znacznie wprawniej, miał lepsze narzędzia. Wtem ciszę rozdarł nagły trzask i skrzypienie zawiasów otwieranych drzwi. Błysnęła zapałka. Po chwili światło kaganka wypełniło wnętrze domku. Poprzez przejrzystą firankę z gazy obserwowaliśmy rozgrywającą się wewnątrz scenę.

Nocnym gościem okazał się młody mężczyzna, szczupły i wątłej budowy. Czarny wąs ostro się odcinał od trupiobladej twarzy. Miał co najwyżej dwadzieścia lat. Nigdy nie trafiło mi się widzieć człowieka, który by okazywał tak godny politowania strach. Głowa mu się trzęsła, a ręce i nogi drżały.

Ubrany był jak dżentelmen. Żakiet norfolcki, wąskie spodnie, czapka z sukna. Wodził po izbie przerażonym wzrokiem. W końcu postawił kaganek na stole i zniknął nam z oczu w jakimś kącie. Wkrótce ukazał się znowu z wielką księgą pod pachą. Z pewnością to jeden z dzienników okrętowych, stojących rzędem na półce. Pochylił się nad stołem i jał szybko przerzucać strony dziennika. Wreszcie znalazł miejsce, którego szukał, i zatrzymał się. Wtedy ze złością machnął ręką i zamknął księgę. Położył na dawnym miejscu i zgasił światło. Ledwo skierował się ku drzwiom domku, a już Hopkins chwycił go za kołnierz. Słyszałem wszystko dokładnie. Jeniec

dyszał głośno ze strachu i zaskoczenia, drżał i kulił się w rękach inspektora. Zorientował się, iż wpadł w pułapkę. Wreszcie opadł bezwładnie na skrzynię marynarską. Wodził po nas bezradnym wzrokiem.

— A teraz, mój drogi — powiedział Stanley Hopkins — mów, kim pan właściwie jesteś? Czego szukasz?

Przybysz usiłował opanować się i skupić. Wreszcie spojrzął na nas nieco spokojniej.

— Panowie jesteście, zdaje się, z policji — wykrztusił w końcu — i przypuszczacie prawdopodobnie, iż moja osoba ma jakiś związek ze śmiercią kapitana Piotra Careya? Jestem niewinny. Zapewniam panów.

— To się jeszcze sprawdzi — odparł Hopkins. — Zaczniemy jednak od początku. Nazwisko pana?

— John Hopley Neligan.

W tym momencie zauważyłem, jak Holmes i Hopkins wymienili ze sobą szybkie spojrzenie.

— Co pan tu robił?

— Czy mogę nie odpowiedzieć na to pytanie?

— Nie! Stanowczo nie!

— Dlaczego mam panu odpowiedzieć?

— Jeżeli pan nie odpowie, to dochodzenie i rozprawa może przybrać niekorzystny dla pana obrót.

Młody człowiek wahał się przez chwilę.

— Dobrze, powiem panu — rzekł w końcu. — Dlaczego by nie? Wzdrygam się jednak na samą myśl o tym przestępstwie. Brr... Wywlekać to na nowo... Czy słyszał pan o firmie „Dawson and Neligan”?

Po minie Hopkinsa poznałem, że nigdy nie słyszał. Natomiast Holmes okazał żywe zainteresowanie tematem.

— Pan ma na myśli bankierów z West Country? — podchwycił. — Zbankrutowali. Straty wyniosły 1 000 000 funtów szterlingów. Zrujnowali połowę zamożnych rodzin Kornwalii. A Neligan zniknął.

— Tak. Neligan był moim ojcem.

Wreszcie jakaś konkretna wiadomość. To nawet mogło stanowić punkt oparcia. Zbiegły bankier i kapitan Carey przybity do ściany jednym ze swych harpunów — to ludzie dwu zupełnie odrębnych światów. Dziеляca ich przepaść rzucała się w oczy. Wszyscy czekaliśmy w napięciu na dalsze słowa młodego człowieka.

— To właśnie chodziło o mojego ojca. Dawson wycofał się. Miałem wtedy dopiero dziesięć lat, lecz rozwinięty byłem nad wiek i orientowałem się w sytuacji. Byłem do głębi wstrząśnięty i palił mnie okropny wstyd. Zewsząd słyszałem, iż ojciec ukradł wszystkie papiery wartościowe, i uciekł. To nieprawda! Gdyby tylko miał czas na upłynnienie swych aktywów, wtedy wszystko ułożyłoby się dobrze! Spłaciłby wszystkich wierzycieli co do grosza. Och! Ojciec był o tym głęboko przekonany.

Wyjechał w podróż do Norwegii na pokładzie swego niewielkiego jachtu, jeszcze zanim wydano nakaz aresztowania. Ta ostatnia, pożegnalna noc przed wyjazdem dokładnie wryła mi się w pamięci. Zostawił nam szczegółowy spis papierów wartościowych, które zabierał ze sobą. Przysiągł wtedy uroczyście, iż powróci skoro tylko odzyska dobre imię i nikt z tych, co mu zawierzili, nie dozna żadnej straty. Gdy jednak wyjechał, wszelki ślad po nim zaginął. Zniknął i ojciec, i jacht. A my z matką byliśmy przekonani, iż spoczywa on na dnie morza wraz ze statkiem i papierami wartościowymi, jakie zabrał ze sobą. Aż tu nagle nasz oddany przyjaciel — człowiek interesu — przyniósł nam niedawno ciekawą wiadomość. Podobno na rynku

londyńskim pojawiły się znów pewne serie akcji, które miał przy sobie mój ojciec. Może pan sobie wyobrazić nasze zdumienie. Począłem pilnie śledzić te akcje. Zajęło mi to kilka miesięcy. Lecz w końcu ustaliłem niezbicie, kto pierwszy puścił je w obieg. Kosztowało to wiele trudu i mozół. Otóż osobą tą okazał się kapitan Piotr Carey, właściciel tego domku.

Przeprowadziłem oczywiście mały wywiad dotyczący tego człowieka. I cóż się okazało? Dowodził on statkiem wielorybniczym, który powracał z Oceanu Arktycznego właśnie w tym czasie, kiedy mój ojciec płynął do Norwegii. Jesień tego roku była burzliwa. Dęły silne wiatry południowe, co trwało dłuższy czas. Mogły one zepchnąć na północ żaglowy jacht mego ojca. A tam prawdopodobnie napotkał on statek kapitana Piotra Careya. Jeśli rzeczywiście tak potoczyły się wypadki, to cóż stało się z moim ojcem? W każdym razie warto było wykazać, w jaki sposób papiery te trafiły na giełdę, zaś udowodnić to mogłem tylko na podstawie oświadczenia Careya. Wówczas bowiem okazałoby się, iż mój ojciec nie sprzedał tych akcji i że zabierając je z sobą, nie miał na celu żadnych osobistych korzyści materialnych.

Przybyłem do Sussex z zamiarem porozmawiania z kapitanem. W międzyczasie jednak spotkała go śmierć. W sprawozdaniu z dochodzenia policyjnego przeczytałem opis jego „kajuty”. Wspomniano też o przechowywanych tam starych dziennikach okrętowych statku, na którym pływał. Wpadłem wówczas na pewien pomysł. A jeśli by tak sprawdzić, co zaszło w sierpniu 1883 r. na pokładzie „Sea Unicorn”?! Prawdopodobnie mógłbym wówczas rozwikłać zagadkę tajemniczego zniknięcia mego ojca. Spróbowałem ubiegłej nocy dostać się do tych dzienników. Niestety, nie zdołałem otworzyć drzwi. Tej nocy ponowiłem próbę i udało się. Jednak strony dziennika, dotyczące tego miesiąca, ktoś już wydarł. W trakcie poszukiwań wpadłem w wasze ręce.

— To wszystko? — zapytał Hopkins.

— Tak, wszystko — odrzekł, unikając naszego wzroku.

— I nie ma pan nic więcej do powiedzenia?

Zawahał się...

— Nie!

— Nie był pan tu wcześniej niż onegdaj?

— Nie!

— A co to znaczy?! — krzyknął nagle Hopkins, pokazując nieszczęsny notes z inicjałami naszego więźnia, widocznymi, na pierwszej kartce, i z plamą krwi na okładce.

Biedny człowiek! Załamał, się zupełnie. Ukrył twarz w dłoniach i drżał na całym ciele.

— Skąd pan to ma? — jęknął wreszcie. — Ja nic nie wiem... Chyba zgubiłem go w hotelu.

— To wystarczy! — przerwał twardo Hopkins. — Cokolwiek więcej ma pan do zakomunikowania, powie pan już w sądzie. A teraz pójdzie pan ze mną na posterunek policji. Mr Holmes, jestem panu bardzo zobowiązany za pomoc, jak również i pańskiemu przyjacielowi. Co prawda wasza obecność, jak się okazuje, nie była konieczna. Rozwiązałbym sprawę bez pana pomocy. Niemniej jednak jestem za nią bardzo wdzięczny. W hotelu „Brambletye” zarezerwowano pokoje dla panów. Możecie więc udać się tam razem.

— No cóż, Watsonie? Co myślisz o tym? — spytał Holmes, gdy nazajutrz wracaliśmy.

— Nie jesteś, zdaje się, zadowolony?!

— Ależ nie, mój drogi Watsonie! Jestem zupełnie zadowolony. Nie pochwalam tylko metod Stanleya Hopkinsa. Zawiódł mnie. Spodziewałem się po nim czegoś więcej. Trzeba przecież zawsze jeszcze szukać innych możliwości rozwiązania sprawy oprócz tej, która nam się wydaje słuszna! To naczelną zasadą dochodzeń kryminalnych.

— A czy jest jakaś inna możliwość w naszym przypadku?

— Kierunek dochodzenia, który realizuję. Może on nam nic nie da. Trudno przewidzieć. Tym

niemniej trzeba jednak iść nim do końca.

Na Holmesa czekało przy Baker Street kilka listów. Chwycił jeden z nich i otworzył. Wybuchnął triumfującym śmiechem.

— Wspaniale, Watsonie! Moja alternatywa rozwija się!

Czy masz blankiety telegraficzne? Napisz za mnie dwa zawiadomienia. Pierwsze do agenta okrętowego:

*Sumner Shipping Agent, Ratcliff Highway
Przyślij trzech ludzi jutro godzina 10 rano — BASIL.*

— W tych kołach używam tego nazwiska. Drugi telegram brzmi:

*Inspektor Stanley Hopkins, 46, Lord Street, Brixton.
Przyjdź na śniadanie jutro o godz. 9.30. Ważne.
Zadepesuj, jeśliśbyś nie mógł — SHERLOCK HOLMES.*

— Ta piekielna sprawa pochłonęła mi dziesięć dni. Zatraciłem się w niej bez reszty. Jutro, mam nadzieję, usłyszymy o niej po raz ostatni.

Inspektor Stanley Hopkins stawił się punktualnie o oznaczonej godzinie. Zasiadliśmy razem do wyborowego śniadania, przygotowanego przez panią Hudson. Młody detektyw był we wspaniałym humorze. Przeżywał swój sukces.

— Czy pan istotnie sądzi, iż pańskie rozwiązanie jest poprawne? — zagadnął Holmes.

— Trudno sobie wyobrazić bardziej prawidłowy przypadek.

— Nie jestem tego pewien.

— Pan mnie zdumiewa, Mr Holmes. Cóż jeszcze miałbym zbadać?

— Czy pańskie tłumaczenie wyjaśnia wszystkie okoliczności zbrodni?

— Ustaliłem, iż młody Neligan przybył do hotelu „Brambleyte” w dniu dokonania zbrodni. Przybył tam pod pretekstem gry w golfa. Pokój otrzymał na parterze. Mógł więc wyjść nie zauważony, kiedy miał ochotę. Krytycznej nocy udał się do Woodman’s Lee. Spotkał się z Piotrem Careym w „kajucie”. Wdał się z nim w kłótnię i zabił harpunem. Wówczas przeraził się swego czynu i uciekł z domku, gubiąc notes, który uprzednio przyniósł ze sobą, aby zapytać Piotra Careya o różne papiery wartościowe. Niektóre z nich jak pan pewnie spostrzegł, były poznaczone spinaczami; było ich mniej niż innych. Akcje wyróżnione — były to wysłedzone na giełdzie londyńskiej. Pozostałe natomiast znajdowały się prawdopodobnie nadal w posiadaniu Careya. Młodemu Neliganowi chodziło o odzyskanie ich ze względu na wierzycieli ojca; chciał im je zwrócić. To jego własne zeznania. Uciekłszy, nie miał śmiałości powrócić ponownie do „kajuty”. Wreszcie jednak przemógł się, pchany nieprzepartą chęcią zdobycia potrzebnych mu informacji. Czyż nie jest to proste i oczywiste?

Holmes uśmiechnął się tylko i potrząsnął przecząco głową.

— To zupełnie niemożliwe! Oto przykład mylnego rozumowania. Tak mnie się przynajmniej wydaje, Mr Hopkins! Czy próbował pan przebić ciało harpunem? Nie? No, no, mój drogi, musi pan zwracać więcej uwagi na tego rodzaju szczegóły. Mój przyjaciel Watson może panu powiedzieć, jak to cały ranek spędzałem na takich ćwiczeniach. To wcale niełatwa sprawa! Trzeba do tego mocnej i wyćwiczonej ręki. A w dodatku ten cios zadano z wielką siłą i gwałtownością. Ostrze zaś wbiło się głęboko w ścianę. Czy pan może sobie wyobrazić tego anemicznego młodzieńca zadającego cios o tak potwornej sile? Czy to on był tym, który chłnął rum z wodą razem z Czarnym Piotrem w noc śmierci? Czy to jego profil zauważono na tle firanki

dwie noce przed wypadkiem? Nie, Mr Hopkins! Nie! Musimy poszukać innego, roślejszego i silniejszego mężczyzny.

W miarę przemowy Holmesa oblicze detektywa coraz bardziej się wydłużało. Jego nadzieje i ambicje rozpadły się jak domek z kart. Nie chciał jednak ustąpić bez walki.

— Ależ nie może pan zaprzeczyć, Mr Holmes, iż Neligan był tej nocy u Czarnego Piotra. Zapomniał pan o notesie! To dowód rzeczowy! Sądzę zresztą, że posiadam wystarczającą ilość argumentów, aby sprawę przekazać sądowi przysięgłych i to nawet wtedy, jeśli potrafi pan znaleźć w nich jakąś lukę. Poza tym ja ująłem tego, kogo podejrzewam, a gdzie jest pański morderca?

— Zdaje się, że w tej chwili idzie po schodach — odparł pogodnie Holmes. — Tobie zaś, Watsonie, radzę trzymać rewolwer w pogotowiu, byś mógł go szybko użyć.

Rzekłszy to Holmes wstał, podszedł do stolika i położył na nim zapisaną kartkę papieru.

— No, teraz jesteśmy gotowi — rzekł.

W chwilę później usłyszeliśmy z głębi domu jakieś tubalne głosy. Drzwi się otwały i weszła pani Hudson, oświadczając, że jakichś trzech mężczyzn chce się widzieć z kapitanem Basilem.

— Proszę wpuszczać ich pojedynczo — polecił Holmes.

Pierwszym, który wszedł, był mężczyzna niewielkiego wzrostu o czerstwym wyglądzie i siwych bokobrodach. Holmes wyjął z kieszeni list i spytał:

— Nazwisko?

— James Laneaster.

— Bardzo mi przykro, Laneaster, ale mam już komplet. Macie tu za fatygę pół funta, a teraz idźcie do tego pokoju obok i poczekajcie tam kilka minut.

Następnym był osobnik wysoki i chudy o bladej twarzy i długich włosach. Nazwisko jego brzmiało Hugh Pattins. On również otrzymał odprawę: pół funta i polecenie, by zaczekał. Trzeci kandydat zwrócił od razu moją uwagę swoim nieprzeciętnym wyglądem. Groźna twarz, przypominająca buldoga, czarne śmiało patrzące oczy, szerokie krzaczaste brwi i gęsta broda były cechami charakterystycznymi tego potężnie zbudowanego osobnika. Wszedł kołysząc się krokiem marynarza, zasalutował, zdjął czapkę i mnąc ją w rękach czekał.

— Wasze nazwisko? — spytał Holmes.

— Patrick Cairns.

— Harpunnik?

— Tak sir. 28 rejsów.

— Z Dundee, przypuszczam?

— Tak, sir.

— Gotowi jesteście do wyjazdu na morze z wyprawą badawczą?

— Tak, sir.

— Jaka płaca?

— 8 funtów miesięcznie.

— Możecie natychmiast, wyruszyć?

— Tak, jak tylko otrzymam ekwipunek.

— Czy macie przy sobie papiery?

— Tak sir — odrzekł, po czym wyjął z kieszeni plik mocno zatłuszczonych i zniszczonych papierów!

Holmes wziął je, pobieżnie przejrzał i zwracając je harpunnikowi rzekł:

— Jesteście tym, którego potrzebuję. Tam na stole leży umowa. Podpiszcie ją i sprawa będzie załatwiona.

Marynarz przeszedł przez pokój i wziął pióro do ręki.

— Czy tu mam podpisać sir? — zapytał pochylając się nad stołem. Holmes schylił się nad nim i przerzucił ręce po obu stronach jego szyi.

— W porządku — powiedział.

Niemal jednocześnie usłyszałem szcęk stali i okrzyk wściekłości podobny do ryku rozjuszonego byka. Był to jeden moment, a już Holmes wraz z marynarzem kotłowali się po podłodze w morderczym uścisku. Marynarz okazał się nie lada siłaczem. Nawet z kajdankami, które Holmes zręcznie założył mu na przeguby dłoni, szybko by pokonał mojego przyjaciela, gdybyśmy wraz z Hopkinsem nie pospieszyli mu na ratunek. Przyłożyłem siłaczowi zimną lufę rewolweru do skroni. Dopiero wtedy zrozumiał, iż dalszy opór jest bezcelowy. Wówczas skrępowaliśmy mu sznurem nogi w kostkach. Gdy wreszcie podnieśliśmy się po stoczonyj walce, długo jeszcze brakło nam tchu:

— Bardzo przepraszam, Mr Hopkins — rzekł Holmes — ale... obawiam się, iż jajecznicca zupełnie już wystygła. Niemniej reszta śniadania będzie panu lepiej smakowała. Zakończenie bowiem sprawy sukcesem znakomicie poprawia apetyt.

Stanley Hopkins milczał. Wzrokiem pełnym podziwu wpatrywał się w Holmesa.

— Doprawdy brak mi słów, Mr Holmes — wyjąkał wreszcie, oszołomiony i czerwony jak burak. — Widzę, iż od samego początku obrałem zły kierunek, mylny trop. Pan pokazał się mistrzem w tych sprawach, ja zaś nie mam takiego doświadczenia. Nadal nie rozumiem, co to wszystko znaczy? Co prawda widziałem finał, nie wiem jednak, jak pan do tego doszedł?

— Nic to, nic — śmiał się Holmes. — Wszyscy ostatecznie uczymy się na doświadczeniach. Z tego zaś przypadku wypływa dla pana słuszny wniosek: nigdy nie można tracić z oczu drugiej możliwości w toku śledztwa. Pan zajął się bez reszty młodym Neliganem. Ta sprawa pana całkowicie pochłonęła i zaślepiła do tego stopnia, że przysłoniła niejako Patricka Cairnsa, rzeczywistego mordercę Piotra Careya.

W tym momencie skrępowany marynarz wtrącił się do naszej rozmowy:

— Nie skarżę się na sposób, w jaki zostałem potraktowany. Sam pan widzi. Ale domagam się, aby ujmował pan sprawę z właściwego punktu widzenia. Podkreślam, iż nie zamordowałem Piotra Careya. Ja go tylko unieszkodliwiłem. Otóż i cała różnica. Być może, nie wierzy pan moim słowom? Prawdopodobnie myśli pan, iż go próbuję oszukać?

— Nic podobnego! — odrzekł Holmes. — Przeciwnie, bardzo chętnie posłuchamy. Co więc macie do powiedzenia?

— Jak już wspomniałem, wszystko to szczerą prawdą. Przysięgam! Och, znałem ja dobrze Czarnego Piotra! Kiedy chwycił za nóż, wiedziałem, iż nie mam żadnego wyboru. Stawką było życie: jego lub moje. Wówczas cisnąłem węń harpunem. Tak zginął. Może pan to nazwać morderstwem. W każdym razie wolę umierać z powrozem na szyi, niż z nożem Czarnego Piotra w sercu.

— A dlaczego tam w ogóle poszliście? — spytał Holmes.

— Zacznę od początku. Wpierw jednak, panowie, pomóżcie mi usiąść, bym mógł łatwiej mówić. Stało się to w sierpniu 1883 roku. Piotr Carey był kapitanem „Sea Unicorn”, ja zaś rezerwowym harpunnikiem. Wracaliśmy właśnie do domu po trudnym przedarciu się poprzez pola lodowe, gdy natrafiliśmy na przeciwny wiatr południowy. Dął przez cały tydzień. Prawdopodobnie zepchnął on ku północy mały żaglowiec, który wtedy spotkaliśmy. Na jego pokładzie, znajdował się jeden jedyny człowiek, szczur lądowy. Załoga, obawiając się rozbicia statku, uciekła na szalupie ku brzegom Norwegii. Chyba wszyscy utonęli! Wzięliśmy tego człowieka na pokład. Rozmawiał on długo z szyprem w kapitańskiej kajucie. Przenieśliśmy także jego bagaż. Było tego niewiele: jedno płaskie pudło. O ile dobrze pamiętam, nigdy nie podano nazwiska tego człowieka. Następnej jednak nocy wszelki ślad po nim zginął. Snuto na ten temat

różne przypuszczenia: może wyskoczył za burtę, a może fala zmyła go z pokładu? Bo rzeczywiście mieliśmy wówczas fatalną, sztormową pogodę. Tylko jedna osoba z załogi wiedziała, co się stało z tym człowiekiem, a tą osobą byłem ja. Widziałem wszystko na własne oczy. Szyper wyrzucił go po prostu do morza podczas drugiej wachty. Noc była ciemna. Stało się to dwa dni przed tym, zanim ujrzelśmy światła Szetlandii.

No tak. Nie dałem po sobie poznać, że coś wiem o losie rozbitka. Czekałem cierpliwie, jaki obrót wezmą sprawy. Niebawem zawinęliśmy do jednego z portów Szkocji. Tam wszystko zatuszowano. Nikt się nie interesował nieznanym, który przypadkowo zginął. Cóż to mogło kogo obchodzić! Krótco po tym Piotr Carey pożegnał morze i więcej doń nie wrócił. Przez długie lata nie mogłem go odnaleźć. Cóż mogło być w tajemniczym pudle rozbitka? Chyba jakieś skarby. Aby je zdobyć, Carey popełnił morderstwo. Mógł mi więc teraz sownie zapłacić za milczenie.

Pewnego razu spotkałem w Londynie kolegę, marynarza. On to pomógł mi odszukać Czarnego Piotra. Odwiedziłem go nocą. Chciałem wymusić na nim większą sumę. Za pierwszym razem okazał rozsądek; zdecydował się dać mi tyle, abym mógł rzucić morze i urządzić się na lądzie. Wszystko ustaliliśmy. Należność miałem otrzymać za dwa dni, oczywiście nocą. Stawilem się na spotkanie w „kajucie”. Był już prawie pijany. Wściekłość w nim wzbierała. Zasiadliśmy do picia. Z tęsknotą wspominaliśmy dawne czasy. Im więcej jednak pił, tym mniej mi się podobał wyraz jego twarzy. W pewnej chwili zdjąłem ze ściany harpun. Myślałem, że będzie mi potrzebny do obrony. Wówczas rzucił się na mnie z krzykiem i przekleństwem. Mord czał się w jego oczach. Już wyciągał nóż z pochwy. Nie zdążył jednak. Przebiłem go harpunem. Wydał wówczas nieludzki ryk. Jego wykrzywiona twarz wciąż mi jeszcze stoi przed oczami. Znieruchomiałem na chwilę, zaś krew bluzgała wokół mnie. W okolicy panowała, niezmacona cisza. Wreszcie ocknąłem się. Nabrałem odwagi i rozejrzałem się po izdebce. Na półce spoczywało spokojnie płaskie pudło. Ostatecznie miałem do niego takie samo prawo, jak Piotr Carey! Zabrałem je i wyszedłem. W pośpiechu jednak zapomniałem zabrać mój kapciuch z tytoniem, który leżał na stole.

A teraz nastąpi najdziwniejsza część tej historii. Ledwo bowiem zdążyłem zamknąć drzwi, gdy usłyszałem czyjeś kroki. Ukryłem się wśród zarośli i obserwowałem. Jakiś człowiek skradał się w stronę domku. Wszedł do środka, lecz już w następnej chwili z krzykiem wypadł z powrotem i rzucił się do ucieczki. Nie zobaczyłem go więcej. Kto to był i czego chciał — nie potrafię powiedzieć. Ja zaś opuściłem czym prędzej to miejsce i udałem się w stronę stacji Tunbridge Wells, robiąc pieszo 10 mil drogi. Zdążyłem na pociąg i niebawem wysiadłem w Londynie. W ten sposób nikt nic o wypadku nie wiedział.

— Tak! Zbadałem zawartość pudła. Nie było w nim jednak pieniędzy, a jedynie akcje. Papierów wartościowych nie miałem odwagi sprzedawać. Tymczasem chodziłem po Londynie bez grosza. Wszystkie bowiem pieniądze straciłem na poszukiwanie Czarnego Piotra. Wtedy to dowiedziałem się, iż ktoś potrzebuje harpunników i proponuje dobrą płacę. Zgłosiłem się do agencji okrętowej i skierowano mnie tutaj. To już wszystko. I jeszcze raz powtarzam: sąd powinien mi być wdzięczny za zgładzenie Czarnego Piotra. Zaoszczędziłem mu kosztów konopnego postronka.

— Jasne i wyraźne oświadczenie — odrzekł Holmes. Wstał i zapalił fajkę. — Cóż robić, Mr Hopkins! Chyba odstawi go pan, nie tracąc czasu, tam gdzie będzie bezpieczny. Ten pokój nie nadaje się na celę więzienną. Poza tym Mr Patrick Cairns zajmuje zbyt wiele miejsca na naszym dywanie.

— Mr Holmes — rzekł Hopkins — doprawdy nie wiem, jak mam panu dziękować. Dotychczas też nie mam pojęcia, w jaki sposób osiągnął pan taki rezultat?

— Po prostu łut szczęścia. Od początku wszedłem na właściwy trop. Ba! Gdybym od początku wiedział o notesie, to być może, obrałbym tą samą drogę co pan. Tymczasem wszystko, co widziałem, kierowało moje myśli tylko na jedną drogę. I trudno było się temu oprzeć. Zadziwiająca umiejętność posługiwania się harpunem, rum z wodą, fokowy kapciuch, zawierający grubo cięty tytoń, wszystko wskazywało na marynarza wielorybnika. Byłem przekonany, iż inicjały *P.C.* wygrawerowane na woreczku z tytoniem, pomimo pozornej zbieżności nie mają nic wspólnego z Piotrem Careyem. Przecież palił on bardzo rzadko. A w jego „kajucie” nie znaleziono nawet fajki.

— Pytałem, czy w „kajucie” były whisky i brandy. Pan powiedział, że były. Któż z nieobytych z morzem ludzi będzie pił rum, mając do wyboru inną wódkę? Czyli, że musiał to być marynarz.

— Ale jak pan go znalazł?

— To bardzo proste, mój drogi panie. Poszukiwanym mógł być tylko ktoś, kto pływał razem z Careyem na statku „*Sea Unicorn*”. Sprawdziłem, że Czarny Piotr nie pływał na żadnym innym statku. Depeszowałem do Dundee. Straciłem na to 3 dni czasu, lecz ustaliłem wszystkie nazwiska załogi „*Sea Unicorn*” z 1883 roku. Gdy między harpunnikami znalazłem nazwisko Patricka Cairnsa, byłem już bliski końca poszukiwań. Przypuszczałem, iż człowiek ten przebywa w Londynie i niebawem spróbuje wyjechać z kraju. W związku z tym spędziłem kilka dni w dzielnicy East End. Dałem ogłoszenie o wyprawie arktycznej i wielkim polowaniu na wieloryby. Postawiłem świetne warunki dla harpunników, którzy zaciągną się pod dowództwo kapitana Basila. No i Otrzymałem wynik.

— Ależ to wspaniałe! —krzyknął entuzjastycznie Hopkins. — Wprost fenomenalne!

— Musi pan zatem jak najprędzej spowodować zwolnienie z aresztu młodego Neligana — rzekł Holmes. — Moim zdaniem, powinien go pan chyba przeprosić. Ponadto trzeba mu zwrócić płaskie pudło. Choć naturalnie akcje, sprzedane przez Careya, przepadły bezpowrotnie. Ale oto przyjechała dorożka, Mr Hopkins. Może już pan odstawić więźnia, Gdyby pan jeszcze mnie potrzebował w jakiejś sprawie, to obaj z Watsonem będziemy w Norwegii. Adres i bliższe szczegóły podam później.

Przeł. Jan Skalny I Jerzy Regawski
The Adventure of Black Peter

PSY SIĘ NIE MYLĄ

Sherlock Holmes długo siedział schylony nad mikroskopem. Wreszcie wyprostował się i spojrzał triumfalnie dokoła.

— To klej — rzekł — na pewno klej. Rzuć, proszę, okiem na te rozproszone drobiny na szkle podstawowym.

Pochyliłem się nad okulem i dostosowałem obiektyw do mego wzroku.

— Te włoski to nitki z wełnianej ręcznie wyrabianej tkaniny. Ta szara masa o nieregularnych konturach to kurz. Po lewej stronie widać nabłonkowe łuski. A te brązowe grudki w środku to niewątpliwie klej.

— Wierzę ci na słowo — odpowiedziałem z uśmiechem, — Czy cokolwiek od tego zależy?

— To bardzo udane doświadczenie. Pamiętasz może to zajście w St Pancras? Obok zabitego policjanta znaleziono czapkę. Oskarżony twierdzi, że to nie jest jego czapka, ale on jest z zawodu ramiarzem, wobec czego ma często do czynienia z klejem.

— Czy podjąłeś się tego śledztwa?

— Nie, natomiast mój przyjaciel Merrivale ze Scotland Yardu zasięgnął mojej rady w tej sprawie. Od czasu gdy nakryłem fałszerza monet, znalazłszy w szwach jego rękawów drobniutkie opiłki miedzi i cynku, zaczęli rozumieć znaczenie mikroskopu. — Holmes spojrzał z niecierpliwością na zegarek, — Miał się do mnie zgłosić nowy klient, ale się spóźnia. A propos, czy znasz się nieco na wyścigach?

— I jak jeszcze! Ta znajomość kosztuje mnie około połowy mojej inwalidzkiej renty.

— W takim razie spełnisz dla mnie rolę „Podręcznego przewodnika po torach wyścigowych”. Co wiesz o sir Robercie Norbertonie? Czy znasz to nazwisko?

— Oczywiście. Mieszka w Shoscombe Old Place, a znam dobrze tę miejscowość, gdyż w okresie mojej służby wojskowej mieliśmy tam nasze letnie kwatery. Raz nawet niewiele brakowało, a Norberton znalazłby się w zasięgu twoich kompetencji.

— Jak się to stało?

— Na torze wyścigowym w Newmarket rzucił się z pejczem na Sama Brewera, znanego lichwiarza z Curzon Street, i o mało go nie zabił.

— Ha, to brzmi interesująco. Czy często sobie pozwala na takie wybryki?

— Cieszy się reputacją niebezpiecznego człowieka. On jest chyba najśmielszym, zawsze lecącym na złamanie karku jeźdźcem w Anglii. Parę lat temu był drugi w Grand National. Należy do ludzi, którzy urodzili się o jedno lub dwa pokolenia za późno. Czuli by się doskonale w epoce Regenta. Bokser, atleta, namiętny jeździec i gracz na wyścigach, amator płci pięknej, a w ogóle osobnik o tak nieokiełznanym usposobieniu, że wątpię czy można go będzie jeszcze kiedykolwiek zaliczyć do zupełnie normalnych ludzi.

— Brawo, mój drogi, kapitalny szkic, już mi się zdaje, że go znam. A teraz co możesz mi powiedzieć o Shoscombe Old Place?

— Tyle tylko, że leży w środku parku o tej samej nazwie i że słynna stajnia wyścigowa Shoscombe i ośrodek trenowania koni tam właśnie się znajdują.

— Naczelnym trenerem jest John Mason. Nie powinno cię dziwić, że wiem o tym, gdyż oto jest list od niego.

Ale chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć o Shoscombe. Trafiłem na bogate źródło informacji.

— Są jeszcze tak zwane spaniele z Shoscombe. Słyszysz się o nich na każdej psiej wystawie. To

najbardziej arystokratyczna rasa w Anglii i przedmiot szczególnej dumy miejscowej dziedziczki.

— Masz na myśli żonę sir Roberta Norbertona?

— Sir Robert nigdy nie miał żony. Tym lepiej, sądząc po jego opinii i charakterze. On mieszka ze swą siostrą, wdową, lady Beatrice Faldera.

— To znaczy, że sir Robert utrzymuje swą siostrę?

— Nie, nie. Posiadłość należała do jej zmarłego męża, sir Jamesa Faldera. Nic tam nie jest własnością Norbertona. Majątek jest zapisany wdowie w, dożywocie, a po jej śmierci przejdzie do brata jej męża. Zanim to nastąpi, ona pobiera czynsze.

— A braciszek Robert je wydaje?

— Wszystko zdaje się na to wskazywać. To nie lada gagatek i musi jej sprawiać niemało przykrości i kłopotów. Słyszałem jednak, że siostra jest do niego bardzo przywiązana. Ale co się stało w Shoscombe?

— To właśnie chciałbym wiedzieć. A oto jest ktoś, kto potrafi nam to zapewne wyjaśnić.

Drzwi się otwały i nasz goniec wprowadził wysokiego, gładko wygolonego mężczyznę o stanowczym, surowym wyrazie twarzy, jaki spotykamy wśród sprawujących władzę nad chłopcami lub końmi. Pan John Mason miał w swej pieczy niemało i jednych, i drugich i wyglądał na człowieka nie obawiającego się tego zadania. Złożył nam chłodny, opanowany ukłon i zasiadł we wskazanym mu przez Holmesa fotelu.

— Otrzymał pan mój list, panie Holmes?

— Tak, ale nic nie wynika z jego treści.

— Sprawa jest zbyt delikatnej natury, aby można ją było szczegółowo ująć na piśmie. A ponadto jest zbyt zawiła. Mogę to wyjaśnić tylko w bezpośredniej rozmowie.

— Jesteśmy do pańskiej dyspozycji.

— A więc, po pierwsze, mój pracodawca, sir Robert, zwariował.

Holmes podniósł brwi.

— Jestem detektywem — rzekł — a nie lekarzem. Ale dlaczego tak pan sądzi?

— Jeśli mężczyzna raz i drugi postępuje tak, jakby mu brakowało piątej klepki, to można to jakoś uzasadnić, ale jak wszystko, co robi, zakrawa na szaleństwo, to człowiek zaczyna się zastanawiać. Moim zdaniem Shoscombe Prince i najbliższe derby doprowadziły go do obłądu.

— Tak się nazywa koń, którego wystawiacie do tego wyścigu?

— Tak i jest to najlepszy koń w Anglii. Nikt tego nie może wiedzieć lepiej ode mnie. Będę całkiem szczery, gdyż wiem, że pan Sherlock Holmes jest dżentelmenem, na którego honorze mogę polegać, a więc nic z tego, co powiem, nie wyjdzie poza obręb tego pokoju. Sir Robert musi wygrać te derby. Siedzi w długach po uszy i to jest jego ostatnia szansa. Wszystko co mógł upłynnić lub pożyczyć, postawił na tego konia, i to na doskonałych warunkach. Bookmacherzy przyjmują, teraz zakłady czterdzieści do jednego przeciwko Shoscombe Prince, ale stosunek zakładów był sto do jednego, gdy sir Robert zaczął na niego stawiać.

— Jakże to jest możliwe, skoro to jest taki znakomity koń?

— Publiczność nie wie o tym. Sir Robert jest sprytniejszy od bookmacherów oraz ich zawodowych informatorów, a raczej szpiegów. Na próbnych biegach występuje inny koń, po tym samym ogierze, co Shoscombe Prince. Prawie nie można ich odróżnić. Ale w pełnym galopie Shoscombe Prince pozostawia tamtego w tyle co najmniej o kilkadziesiąt długości. Sir Robert o niczym innym nie myśli, jak tylko o tym koniu i o derby. Całe jego życie od tego zależy. Aż do tego czasu uda mu się utrzymać lichwiarzy z daleka. Ale jeśli Shoscombe Prince zawiedzie... sir Robert jest ostatecznie wykończony.

— To jest gra o rozpaczliwie wysoką stawkę, ale nie widzę w tym nic, co by zasługiwało na miano obłądu.

— A jednak, po pierwsze: wystarczy na niego popatrzeć. On chyba nie sypia w nocy. Można go zastać w stajni o każdej porze. Oczy ma nieprzytomne. A do tego jeszcze dochodzi sposób traktowania swej siostry, lady Beatrice.

— A mianowicie?

— Zawsze byli w jak najlepszych ze sobą stosunkach. Oboje mają te same upodobania, a ona kochała konie nie mniej od niego. Codziennie o tej samej godzinie zwykła wyjeżdżać do nich w odwiedzinę, a nade wszystko kochała Shoscombe Prince'a. Strzygł uszami na dźwięk kół na żwirze i co rano biegł kłusem do powozu po swój kawałek cukru. Ale teraz wszystko się zmieniło.

— Dlaczego?

— Lady Beatrice jakby przestała interesować się końmi. Od tygodnia przejeżdża koło stajni i nawet nie wstąpi na dzień dobry.

— Pan sądzi, że się pokłócili?

— I jak jeszcze! Okropnie się pokłócili. Przecież inaczej nie oddałby ulubionego jej spaniela, którego kochała, jakby to było jej własne dziecko. Oddał go parę dni temu staremu Barnesowi, temu, co ma oberżę „Pod Zielonym Smokiem” o trzy mile dalej, w Crendall.

— To istotnie dziwne.

— Oczywiście z jej słabym sercem i wodną puchliną nie mogła prowadzić podobnego trybu życia jak sir Robert, ale co wieczór spędzał dwie godziny w jej pokoju. I słusznie, bo była dla niego przyjacielem jakich mało. Ale i to się zmieniło. Nawet już do niej nie podchodzi, A ona bardzo to bierze do serca, martwi się i... pije, panie Holmes, pije jak ryba!

— Czy piła przed poróżnieniem się z bratem?

— Owszem lubiła od czasu do czasu zaglądnąć do kieliszka, ale teraz, zdarzą się, że w ciągu jednego wieczora wypróżni całą butelkę. Wiem o tym, od Stephensa, starszego lokaja. Wszystko się zmieniło, panie, Holmes, i jest w tym coś bardzo paskudnego. Bo na przykład, co robi sir Robert w krypcie pod starym kościołem? I kto jest ten mężczyzna, z którym tam się spotyka?

Holmes zatarł dłoń.

— Słucham dalej z coraz większym zainteresowaniem.

— Starszy lokaj go widział idącego tam. O północy i w rzęsim deszczu. Więc następnej nocy zasiadłem w pobliżu domu i patrzę, aż tu sir Robert znowu wychodzi. Stephens i ja poszliśmy za nim z niemałym strachem, bo źle by się to dla nas skończyło, gdyby nas przyłapał. Straszny to człowiek, gdy puści w ruch pięści, i nikogo nie uszanuje. Więc baliśmy się podejść za blisko, ale wypatrywaliśmy dobrze, dokąd on idzie. Do krypty, gdzie jak wiadomo, straszy. I czekał tam na niego jakiś mężczyzna.

— Co to jest za krypta, w której straszy?

— W parku stoi stara, zrujnowana kaplica, tak stara, że nikt nie wie, kiedy ją zbudowano. A pod nią jest krypta i źle o niej mówią w naszej okolicy. W dzień jest to wilgotne, ponure, trudno dostępne miejsce, a mało jest w naszym hrabstwie takich, co by się odważyli podejść tam bliżej w nocy. Ale sir Robert się nie bał. Nigdy w życiu niczego się nie bał. Ale co tam robił w nocy?

— Chwileczka! — rzekł Holmes. — Pan powiada, że był tam jakiś inny mężczyzna. Musiał to być któryś ze stajennych albo ktoś z domowników. Wystarczyłoby przecież go rozpoznać, a potem zapytać, po co tam chodzi.

— To nie jest nikt od nas. — Skąd pan wie o tym?

— Bo go widziałem. To było w drugą noc. Sir Robert przeszedł tuż koło nas, to jest Stephensa i mnie, a trzęśliśmy się ze strachu w krzakach jak króliki, bo tej nocy księżyc nieco przyświecał. Ale dosłyszeliśmy, jak ten drugi idzie za nim. Więc jak sir Robert poszedł dalej, wyleźliśmy z krzaków i niby to przechadzamy się w świetle księżyca. I tak natknęliśmy się jak gdyby nigdy

nic, z niewinną miną, prosto na niego. „Dobry wieczór — powiadam — a wy kto jesteście?” Musiał nas nie słyszeć nadchodzących, bo spojrział przez ramię z taką twarzą, jakby zobaczył samego diabła. I jak nie wrzaśnie, a potem jak nie ruszy z kopyta, tak szybko jak tylko mógł, w ciemności. A biegać to on umiał, znam się na tym. Natychmiast zniknął nam z oczu i nie słyszeliśmy więcej jego kroków, a kim lub czym był dotychczas, nie zdołaliśmy odkryć.

— Ale widział go pan wyraźnie w świetle księżyca?

— Tak i pod przysięgą poznam jego żółtą twarz, moim zdaniem, twarz nie byle rzezimieszka. Co on mógł mieć wspólnego z sir Robertem?

Holmes siedział czas jakiś zamyślony.

— Kto dotrzymuje towarzystwa lady Beatrice? — zapytał wreszcie.

— Panna służąca. Carrie Evans. Służy u niej od pięciu lat.

— I oczywiście jest jej bardzo oddana?

Pan Mason poruszył się niespokojnie w fotelu, wyraźnie zakłopotany.

— Oddana to ona jest — rzekł po dłuższej chwili — ale komu, wołę nie mówić.

— Ach tak! — rzekł Holmes.

— Nie mogę rozpuszczać plotek.

— Rozumiem doskonale, panie Mason. Sytuacja jest najzupełniej jasna. Z tego, co doktor Watson mówił mi o sir Robercie, żadna kobieta nie czuje się przy nim bezpieczna. Czy nie sądzi pan, że to właśnie doprowadziło do kłótni pomiędzy rodzeństwem?

— Ten skandal trwa już od dosyć dawna.

— Ale lady Falder mogła sobie z tego nie zdawać sprawy. Załóżmy, że ciągle odkryła prawdę i postanowiła się pozbyć tej służącej. Braciszek się na to nie zgadza. Schorowana kobieta, nie mogąca się samodzielnie poruszać, nie jest w stanie narzucić swej woli. Znienawidzona służąca jest wciąż przy niej. Stara lady przestaje rozmawiać z bratem i ze zgrzyoty zaczyna zbyt często szukać pociechy w butelce. Sir Robert, chcąc jej dokuczyć, zabiera jej ulubionego psa. Czy to wszystko nie układa się w logiczną całość?

— Może i tak, ale niezupełnie.

— Właśnie! Układa się, ale niezupełnie. Czy może to mieć jakiś związek z nocną wizytą w starej krypcie? Nie widzę, jak by to mogło się łączyć.

— Ja też nie widzę. Ale jest jeszcze coś, co się także z tym nie łączy. Otóż sir Robert wykopał jakieś zwłoki.

Holmes wyprostował się gwałtownie w fotelu.

— Odkryliśmy to dopiero wczoraj, po moim liście do pana. Sir Robert pojechał wczoraj do Londynu, więc Stephens i ja zeszliśmy do krypty. Wszystko tam było w porządku z wyjątkiem tego, że w kącie leżały szczątki ludzkie.

— Zawiadomiliście policję?

Nasz gość uśmiechnął się ponuro.

— Nie sądzę, aby to mogło interesować policję. Tam była tylko zasuszona stara czaszka i parę kości sprzed może i tysiąca lat. Ale przedtem tam tego nie było, Mogę przysiąc, jak również. Stephens. Schowane to było w kącie i przykryte deską, a ten róg był zawsze przedtem pusty.

— Co z tym zrobiliście?

— Pozostawiliśmy na miejscu.

— Bardzo rozsądnie. Pan powiada, że sir Robert wyjechał wczoraj do Londynu. Czy powrócił?

— Spodziewamy się go z powrotem dzisiaj wieczorem.

— Kiedy sir Robert wydał psa swej siostry?

— Równo tydzień temu. Zwierzę ujadło przy ceglanym domku mieszczącym starą studnię, a

tego rana sir Robert cierpiał na jeden ze swych napadów złego humoru. Pochwycił psa i myślałem, że go zabije. Ale potem oddał go Sandy Bainowi, dżokejowi, i kazał mu odprowadzić do starego Barnes'a, „Pod Zielonym Smokiem”. Powiedział, że już nigdy więcej nie chce u nas widzieć tego psa.

Holmes zapalił najstarszą i najbrzydliwszą ze swych fajek i długo milczał zamyślony głęboko.

— Nie bardzo rozumiem rzekł wreszcie — co pan chce, abym uczynił w tej sprawie, panie Mason. Czy nie mógłby pan tego dokładniej określić?

— Może pan to uzna za coś bardziej określonego, panie Holmes — odpowiedział nasz gość i wyciągnąwszy z kieszeni kawałek papieru, rozwinął go ostrożnie i pokazał nam fragment zwęglonej kości.

Holmes zbadał ją starannie.

— Gdzie pan to znalazł?

— W piwnicy pod pokojem lady Beatrice znajduje się kocioł centralnego ogrzewania. Był nieczynny od pewnego czasu, ale sir Robert zaczął narzekać na zimno i kazał pod, nim napalić. To należy do obowiązków Harveya, jednego z moich chłopców stajennych. Przyszedł do mnie dziś rano, przyniósł tę kość i powiedział mi, że znalazł ją w palenisku pod kotłem w czasie wygrzebywania popiołu. Bardzo był tym przejęty.

— Ja również — rzekł Holmes i zwrócił się do mnie. — Co możesz nam o tej kości powiedzieć?

Kość była spalona na węgiel, ale jej anatomiczna przynależność nie mogła budzić wątpliwości.

— To jest fragment górnej części ludzkiej kości goleniowej.

— Właśnie! — Holmes przybrał bardzo poważny wyraz twarzy. — Kiedy ten chłopak pali pod kotłem?

— Rozpala na wieczór i pozostawia w tym stanie.

— A zatem każdy może mieć tam dostęp w nocy?

— Tak.

— Czy można tam wejść z zewnątrz domu?

— Jedne drzwi prowadzą na zewnątrz, a drugie na schody wychodzące na korytarz, przy którym znajduje się pokój lady Beatrice.

— Jesteśmy na głębokiej wodzie, panie Mason, głębokiej i mętnej. Pan powiada, że sir Roberta nie było w domu wczoraj wieczorem?

— Nie, nie było.

— A zatem ktokolwiek spalił tę kość, to nie mógł być on.

— To prawda.

— Jak się nazywa ta oberża, o której pan wspominał?

— „Pod Zielonym Smokiem”.

— Czy w tej części hrabstwa Berkshire jest jakieś dobre łowisko ryb?

Twarz zacnego trenera dobitnie wyraziła przekonanie, że jeszcze jeden wariat wtargnął w jego i tak już niełatwe życie.

— Słyszałem — bąknął — że w potoku, nad którym stoi młyn, są pstrągi, a w jeziorze Hall są jakoby szczupaki.

— To wystarczy. Doktor Watson i ja zaliczamy się do zamiłowanych wędkarzy. Może pan utrzymać z nami łączność w oberży „Pod Zielonym Smokiem”. Powinniśmy tam być dzisiaj wieczorem. Nie potrzebuję chyba dodawać, że nie chcemy się z panem widywać, ale może nam pan zostawić wiadomość na piśmie, a w razie czego potrafię pana odnaleźć. Gdy będziemy

wiedzieć coś więcej o tej sprawie, dam panu znać.

I tak w pogodny majowy wieczór Sherlock Holmes i ja zasiadliśmy w przedziale pierwszej klasy pociągu zdążającego ku małej („przystanek na żądanie”) stacji Shoscombe. W siatce bagażowej nad naszymi głowami leżał ogromny pęk wędek, nakrętek i koszyków. Po przybyciu na miejsce i krótkiej podróży wynajętym wózkiem dotarliśmy do staroświeckiej oberży, której właściciel Josiah Barnes doceniający, jak się okazało, należycie urok wędkarskiego sportu, chętnie się zainteresował naszymi planami oczyszczenia z ryb wszystkich okolicznych wód.

— Czy to prawda, że w jeziorze Hall jest sporo szczupaków? — pytał Holmes.

Twarz oberżysty spochmurniała.

— Nic z tego — odrzekł — może pan sam łatwo znaleźć się w wodzie.

— A to dlaczego?

— Sir Robert okropnie się boi szpiegów nasyłanych przez inne stajnie wyścigowe oraz przez bookmacherów. Jeśli panowie, dwie obce osoby, zjawią się tak blisko pola, na którym on trenuje swoje konie, sir Robert rzuci się na panów niechybnie, a rękę ma ciężką.

— Słyszałem, że jego koń staje do tegorocznego derby?

— Tak, doskonały trzylatek, wszyscy tutaj gramy na niego, a do tego dochodzi ciężka forsa, jaką sir Robert na niego postawił. Ale, ale... — i spojrzął na nas przenikliwie — czy panowie nie są od wyścigów?

— Nie, nie, po prostu dwaj Londyńczycy spragnieni dobrego wiejskiego powietrza.

— Tego tu panom nie zabraknie. Ale proszę pamiętać o tym, co mówiłem o sir Robercie. On należy do takich, co najpierw walą w łeb, a potem dopiero pytają, o co chodzi. Trzymajcie się panowie, z dala od parku.

— Na pewno zastosujemy się do pańskich wskazówek. Ale z innej beczki, ma pan wyjątkowo pięknego spaniela, widzieliśmy go skomlącego w sieni.

— To prawda, wspaniałe psisko. Prawdziwy Shoscombe, czystej rasy. Nie ma lepszej w Anglii.

— Sam należę do miłośników psów — mówił Holmes — jeśli wolno zapytać, co by kosztował taki pies, z rodowodem?

— Więcej, niż mógłbym zapłacić. Ofiarował mi go sam sir Robert. Dlatego muszę go trzymać uwięzowanego. Poleciałby zaraz do domu, gdybym go puścił wolno.

— Rozdają nam już jakie takie karty — rzekł Holmes, gdy pozostaliśmy sami. — Niełatwo się zapowiada ta rozgrywka, ale za dzień lub dwa powinniśmy osiągnąć pewne rezultaty. Sir Robert jest jeszcze w Londynie. Moglibyśmy więc dziś wieczorem odwiedzić jego sanktuarium bez narażania się na rękoczyny. Chciałbym uzyskać potwierdzenie paru elementów.

— Czy masz już jakąś hipotezę?

— Tyle tylko, że mniej więcej tydzień temu stało się coś, co bardzo zasadniczo wpłynęło na tok życia mieszkańców Shoscombe. Co to może być? Możemy tylko się domyślać, sądząc po skutkach. Te ostatnie wydają się być bardzo złożone i różnorodne, ale to powinno działać na naszą korzyść. Do beznadziejnie trudnych należą tylko sprawy banalne.

— Rozpatrzmy ustalone już przez nas dane. Brat przestaje odwiedzać ciężko chorą siostrę, do której był nie bez powodów bardzo przywiązany. Oddaje jej ulubionego psa. Jej psa! Czy ci to nic nie sugeruje?

— Nic poza tym, że brat ma bardzo podły charakter.

— Hm... możliwe, ale istnieje inna możliwość. A teraz przejdźmy do dalszej analizy sytuacji od czasu kłótni, o ile kłótnia nastąpiła pomiędzy rodzeństwem. Stara lady Beatrice nie opuszcza swego pokoju, zmienia swe od dawna ustalone obyczaje, nikt jej nie widuje, z wyjątkiem gdy wyjeżdża powozem na spacer ze swoją panną służącą. Nie zatrzymuje się przy stajniach, gdzie

zwykła odwiedzać swego ulubionego konia, i jakoby zaczyna zaglądać na wielką skalę do kieliszka. To wszystko stanowi jedną całość.

— Z wyjątkiem tego, co się działo w krypcie.

— To jest inny tok rozumowania. Są bowiem dwa i nie należy ich łączyć ze sobą. Pierwszy tok dotyczy lady Beatrice i ma cokolwiek złowieszczy posmak.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Rozpatrzmy drugi tok rozumowania, dotyczący sir Roberta. Zależy mu w najwyższym stopniu na wygraniu derby. Lichwiarze trzymają go za gardło. Jego stajnia wyścigowa może lada chwila stać się łupem wierzycieli. Sir Robert jest człowiekiem śmiałym, znajdującym się w rozpaczliwym położeniu. Wszystkie jego, dochody pochodzą z majątku siostry. Służąca tej siostry jest posłusznym narzędziem w jego rękę. Jak dotychczas jesteśmy na mocnym gruncie. Zgadzasz się?

— A krypta?

— Otóż właśnie!. Ta krypta! Przypuśćmy, jest to tylko makabryczna hipoteza wysunięta dla sprawdzenia wartości tego toku rozumowania, że sir Robert jest zabójcą swej siostry.

— To wykluczone!

— Być może. Sir Robert pochodzi z dobrej rodziny. Ale wśród orłów zdarza się wrona żyjąca padliną. Zastanówmy się więc nad tą hipotezą. Sir Robert nie może uciec z kraju przed zrealizowaniem swej fortuny, co nastąpi tylko w wypadku wygrania derby przez jego konia, Shoscombe Prince'a. A zatem sir Robert musi utrzymać pozory, że nic się nie zmieniło. W tym celu winien ukryć ciało swej ofiary oraz znaleźć osobę, która by ją zastąpiła, grała jej rolę, przybierając jej postać. Mając współnika w osobie służącej, sir Robert mógłby pokusić się o to. Zwłoki lady Beatrice mogłyby być przeniesione do krypty, miejsca bardzo rzadko odwiedzanego, a następnie po kryjomu spalone w palenisku pod kotłem centralnego ogrzewania, przy czym pozostał ślad tej czynności, Co powiesz na to?

— To wszystko jest możliwe, o ile przyjmiemy twoje pierwotne monstrialne założenie.

— Chciałbym spróbować jutro przeprowadzić małe doświadczenie, które mogłoby rzucić nieco światła na tę sprawę. Tymczasem, jeśli chcemy się utrzymać w naszej roli, należałoby zaprosić naszego gospodarza na szklanekę jego własnego wina, pogadać z nim o węgorzach i jelcach i w ten sposób pozyskać jego zaufanie i sympatię. A przy tej sposobności może się nam uda zebrać nieco lokalnych plotek.

Nazajutrz rano Holmes odkrył, że przyjechaliśmy bez przynęt, co zwolniło nas od połowu ryb w tym dniu. Około jedenastej wyszliśmy na przechadzkę i mój przyjaciel uzyskał zgodę naszego gospodarza na zabranie z nami czarnego spaniela.

— To tutaj — rzekł Holmes, gdy doszliśmy do wysokiej bramy parku, wspartej o dwie kolumny ozdobione heraldycznymi gryfami. — Barnes powiada, że około południa stara lady wyjeżdża tędy na spacer i że powóz musi zwolnić na czas potrzebny do otwarcia bramy. Oto twoje zadanie: w chwili, gdy powóz znajdzie się w bramie i zanim zwiększy szybkość, masz zadać stangretowi jakiegokolwiek pytanie i w ten sposób go na chwilę zatrzymać. Na mnie nie zwracaj uwagi. Stanę za tą kępą drzew i postaram się zobaczyć, co jest do zobaczenia.

Nie czekaliśmy długo. Po kwadransie mniej więcej nadjechał aleją wielki, otwarty, żółty wolant zaprzężony w dwa wspaniałe siwe konie. Holmes wraz z psem przyczaili się w krzakach. Ja zaś stanąłem, wymachując beztrosko laseczką, pośrodku drogi. Z domku przy bramie wybiegł odźwierny i otworzył wrota. Konie przeszły w stępa i mogłem się dobrze przypatrzeć osobom w powozie. Po lewej stronie siedziała bardzo rumiana, młoda kobieta o jasnoblond włosach i beczelnością nacechowanych oczach. Na prawo od niej znajdowała się osoba w starszym wieku, o przygarbionych plecach. Luźny zwój szalów otaczał jej twarz i ramiona, jak przystało na

inwalidkę. Gdy konie ruszyły szosą, podniosłem ręką rozkazującym gestem. Stangret wstrzymał konie. Zapytałem go, czy sir Robert jest w Shoscombe. W tej samej chwili Holmes wyszedł spomiędzy krzaków i puścił spaniela. Z radosnym szczekaniem podbiegł do powozu i skoczył na stopień, lecz zaraz potem jego powitalny nastrój zmienił się we wściekłość i pochwycił zębami zwisającą nad nim czarną spódnicę.

— Jedź dalej! Jedź dalej! — rozległ się chrapliwy głos.

Stangret zaciął konie i pozostawił nas stojących na drodze.

— O to właśnie mi chodziło — rzekł Holmes, zakładając smyczę na kark podnieconego spaniela. — On myślał, że to jego pani, ale znalazł w powozie obcą osobę. Psy się nie mylą.

— Ależ to był głos męski! — wykrzyknąłem.

— Właśnie! Wyciągnęliśmy szczęśliwie następną kartę, lecz musimy nadal grać bardzo ostrożnie.

Mój towarzysz zdawał się nie mieć żadnych dalszych planów na ten dzień, więc wykorzystaliśmy nasz sprzęt rybacki nad ruczajem, opodał młyną, gdzie udało nam się złowić parę pstrągów, co podniosło walor kolacji. Dopiero po tym posiłku Holmes nabrał ochoty do dalszego działania i znaleźliśmy się ponownie na drodze wiodącej do bramy parku. Czekala nas tam wysoka, ciemna postać. Okazał się nią nasz londyński znajomy, trener Mason.

— Dobry wieczór, panie Holmes — rzekł. — Otrzymałem pańską kartkę. Sir Robert jeszcze nie powrócił, ale słyszałem, że się go spodziewają dzisiaj późnym wieczorem.

— Jak daleko jest ta krypta?

— Przeszło ćwierć mili.

— Możemy więc chyba zignorować sir Roberta.

— Ja nie mogę sobie na to pozwolić. Natychmiast po powrocie wezwie mnie, aby się dowiedzieć jak się miewa Shoscombe Prince.

— Rozumiem. W takim razie musimy się obejść bez pana. Proszę nam tylko wskazać, gdzie jest krypta, a potem nas tam pozostawić.

Noc była bardzo ciemna, lecz Mason prowadził nas śmiało przez łąki, aż zarysowały się przed nami czarne kontury jakiegoś budynku. Była to owa stara kaplica.

Weszliśmy do środka przez ruinę dawnej kruchty i nasz przewodnik potykając się wśród gruzów, dotarł do rogu budynku, skąd strome schody prowadziły w dół do krypty. Mason potarł zapałkę o mur i oświetlił to posępne, tchnące smrodliwą stęchlizną pomieszczenie o zrytych zębem czasu ścianach z grubo ciosanego kamienia, wzdłuż których piętrzyły się ołowiane i kamienne trumny. Przy jednej ze ścian stos trumien sięgał ginącego w mroku ponad naszymi głowami sklepienia. Holmes zapalił swoją latarkę i tunel ostrego, złotego światła przebił przejmujące grozą ciemności. Padający z latarki promień wywoływał odbłysek przytwierdzonych do trumien metalowych tabliczek, z których niejedną zdobił uwieńczony koroną gryf, klejnot starej rodziny, dbałej o ziemski splendor nawet u wrót śmierci.

— Wspomniał pan o jakichś kościach, panie Mason — rzekł Holmes — mógłby mi je pan pokazać przed odejściem?

— Są tam w rogu. — Trener przeszedł na drugą stronę kaplicy i w chwili gdy Holmes skierował tam światło latarki, stanął jak wryty ze zdumienia. — Nie ma ich — rzekł.

— Wcale to mnie nie dziwi — odpowiedział z cichym chichotem Holmes. — Wydaje mi się, że ich popioły można by znaleźć w tym samym palenisku pod kotłem, gdzie ich część już przedtem została spalona.

— Ależ po co ktokolwiek miałby palić kości osoby zmarłej tysiąc lat temu?

— To właśnie chcemy wyjaśnić. Może to wymagać dłuższych poszukiwań, więc nie będę pana dłużej zatrzymywać. Powinniśmy rozwiązać tę zagadkę przed świtem.

Po odejściu trenera Holmes zabrał się do bardzo starannego oglądania grobów, zaczynając od najstarszego, na środku, pochodzącego prawdopodobnie z epoki saksońskiej, poprzez długi szereg normandzkich aż do sir Williama i sir Denisa Falderów zmarłych w osiemnastym wieku. Po przeszło godzinie Holmes dotarł do ołowianej trumny stojącej w pozycji odwróconej przy wejściu do krypty. Nagle usłyszałem jego charakterystyczny cichy okrzyk zadowolenia i widząc jego szybkie i zdecydowane ruchy zdałem sobie sprawę, że znalazł właśnie to, czego szukał. Holmes zbadał uważnie, posługując się szkłem powiększającym, krawędzie ciężkiej pokrywy, po czym wydobył z kieszeni dłuto, wbił je w szparę i podważył wieko, które zdawało się być przytwierdzone tylko za pomocą kilku metalowych klamer. Wieko ustąpiło z głuchym trzaskiem, lecz zaledwie zdołaliśmy je podnieść i rzucić okiem na zawartość trumny, zaszła nieprzewidziana przeszkoda.

Ktoś chodził po kaplicy nad nami. Sądząc po szybkich, stanowczych krokach, ten ktoś przybył w określonym celu i dobrze znał miejsce, po którym się poruszał. Na schodach zabłysło światło i po chwili niosący je mężczyzna stanął w gotyckim obramowaniu portalu wiodącego do krypty. Przerazająca to była postać, zarówno pod względem rozmiarów, jak każdym innym. Wielka latarnia stajenna, którą trzymał przed sobą, oświetlała groźną twarz o olbrzymich węsach i nabrzmiałych wściekłością oczach, które przebiegłszy badawczo po wszystkich zakątkach krypty, zatrzymały się złowrogo na moim towarzyszu i na mnie.

— Do wszystkich diabłów! — wrzasnął, — A wy kto jesteście? I co tu u mnie robicie? — a na brak odpowiedzi ze strony Holmesa postąpił o parę kroków naprzód i podniósł trzymaną w rękę ciężką, sękatą laskę, — Kto wy? — ryknął ponownie i wykonał znaczący ruch laską.

Holmes zamiast się cofnąć, wyszedł mu naprzeciw.

— Sir Robercie, ja pana z kolei o coś zapytam. Co to jest? I dlaczego się tutaj znajduje?

Co mówiąc odwrócił się i oderwał pokrywę znajdującą się za nim trumny. W blasku latarni ujrzałem owinięte w prześcieradło od stóp do głowy zwłoki o okropnych, godnych czarownicy rysach — podbródek i nos schodziły się prawie — i przyćmionych, szklistych oczach wyglądających ze zbielejącej, rozkładającej się już twarzy.

Baronet zachwiał się, cofnął o parę kroków i oparł o kamienny sarkofag.

— Jak to odkryliście? — zawołał i po chwili powrócił do poprzedniego agresywnego tonu: — Co was to obchodzi?

— Nazywam się Sherlock Holmes — odrzekł mój towarzysz. — Słyszał pan, już być może, to nazwisko. W każdym bądź razie obchodzi to mnie tyle samo co każdego dobrego obywatela, to znaczy żyjącego w zgodzie z prawem. Zdaje mi się, że winien pan z niejednego zdać sprawę.

Sir Robert spojrział drapieźnie raz jeszcze, lecz zimny, opanowany głos i spokojna postawa Holmesa zrobiły swoje.

— Na Boga, panie Holmes, nie zrobiłem nic złego. Przyznaję, że pozory przemawiają przeciwko mnie, ale nie mogłem postąpić inaczej.

— Chętnie bym podzielił tę pańską opinię, lecz wyjaśnienia należy złożyć policji.

Sir Robert wzruszył szerokimi ramionami.

— Niech i tak będzie. Proszę pójść ze mną do domu, a sam pan osądzi, jak sprawa stoi.

Po piętnastu minutach znaleźliśmy się w pokoju, który sądząc po rzędach lśniących luf ustawionych w oszklonych szafach, uznałem za pokój myśliwski. Umeblowanie było dostatnie i sir Robert pozostawił nas tam jakiś czas samych. Powrócił w towarzystwie dwóch osób: rumianej młodej kobiety, którą widzieliśmy w powozie, i małego wzrostu raczej odrażającego, przypominającego szczura, mężczyzny. Oboje zdradzali najgłębsze zdumienie, co wskazywało, że sir Robert nie zdążył jeszcze opowiedzieć im, co zaszło.

— To są — sir Robert wskazał ich niedbałym ruchem ręki — pan i pani Norlett. Pani Norlett

była przez parę lat, pod swym panięńskim nazwiskiem Evans, służącą i powiernicą mojej siostry. Przyproceedziłem ich tutaj, gdyż sądzę, że najlepszym dla mnie wyjściem jest wyjaśnić panu bez ogródek sytuację, a tylko tych dwoje na tym świecie może potwierdzić moją prawdomówność.

— Czy to potrzebne? — zawołała kobieta. — Czy pan sobie zdaje sprawę z tego, co pan robi?

— Co do mnie, nie przyjmuję żadnej odpowiedzialności — powiedział jej mąż...

Sir Robert spojrział na niego z pogardą.

— Pełną odpowiedzialność biorę na siebie — rzekł — a teraz, panie Holmes, proszę wysłuchać suchego zestawienia faktów.

— Orientuje się pan już nieźle w moich sprawach, bo inaczej nie znalazłbym pana tam, gdzie się spotkaliśmy. Wie, pan zatem, nie wątpię, że wystawiam fuksa na derby i że wszystko zależy od jego sukcesu. Jeśli wygram, wszystko jest, proste, jeśli przegram... wolę nie myśleć, co się stanie.

— Rozumiem — odpowiedział Holmes.

— Pod względem finansowym jestem całkowicie zależny od lady Beatrice, mojej siostry. Lecz jest rzeczą powszechnie wiadomą, że przysługuje jej tylko dożywocie na tym majątku. Co do mnie, jestem bez reszty w rękach lichwiarzy. Wiedziałem zawsze, że w wypadku śmierci mojej siostry moi wierzyciele rzucą się jak sępy na wszystko, co posiadam. Wszystko by poszło na licytację, moje stajnie, moje konie... Wszystko! Otóż, panie Holmes, moja siostra zmarła tydzień temu.

— I nikomu pan o tym nie wspominał?

— Jakże mogłem coś podobnego uczynić? Równałoby się to dla mnie absolutnej ruinie. Gdybym natomiast zdołał zataić ten fakt przez trzy tygodnie, wszystko mogłoby się dobrze zakończyć. Mąż służącej mojej siostry jest aktorem. Wpadliśmy więc na pomysł, to jest ja wpadłem na pomysł, że mógłby on przez ten krótki okres czasu występować w roli mojej zmarłej siostry. Wystarczyłoby w związku z tym pokazywać się raz dziennie w powozie, gdyż nikt poza służbą nie wchodził do pokoju mojej siostry. Nie było to więc trudne przedsięwzięcie. Moja siostra zmarła na wodną puchlinę, która trapiła ją od dawna.

— O tym wypowiedzą się władze sądowe.

— Jej lekarz może poświadczyć, że od paru miesięcy wszystkie symptomy wskazywały na zbliżający się koniec.

— Cóż więc pan uczynił?

— Ciało nie mogło pozostać na miejscu. Pierwszej nocy Norlett i ja zanieśliśmy je do małego murowanego budynku, w którym mieści się stara studnia, obecnie nigdy nie używana. Pobiegł jednak za nami ulubiony spaniel mojej siostry i skowyczał nieustannie pod drzwiami, więc musiałem znaleźć lepszą kryjówkę. Pozbyłem się psa, po czym zanieśliśmy ciało do krypty pod kaplicą. W moim przekonaniu, panie Holmes, nie naruszyłem w niczym należnego zmarłemu szacunku.

— Moim zdaniem, nic nie może usprawiedliwić pańskiego postępowania.

Baronet potrząsnął niecierpliwie głową.

— Łatwo jest prawić morały. Może pan byłby innego zdania, gdyby się pan znalazł w moim położeniu. Nie można biernie się pogodzić, bez szukania jakiegoś ratunku, z przekreśleniem wszystkich naszych planów i nadziei. Za godne mojej siostry chwilowe miejsce spoczynku uznałem trumnę jednego z przodków jej męża leżącego tam w krypcie, a więc w poświęconej ziemi. Otworzyliśmy trumnę, wyjęliśmy jej zawartość i włożyliśmy ciało mojej siostry, tak jak pan je sam widział. Wydobytych z trumny szczątków nie mogliśmy pozostawić na posadzce w krypcie, więc zabraliśmy je stamtąd i Norlett spalił je w nocy w palenisku pod kotłem centralnego ogrzewania. To wszystko, co mam do powiedzenia, panie Holmes, ale nie wiem

doprawdy, jak pan potrafił mnie do tego wyznania skłonić.

Holmes siedział jakiś czas pogrążony w myślach.

— W pańskiej relacji — rzekł wreszcie — jest jedna niekonsekwencja. Pańskie zakłady w tym wyścigu, a więc pańskie nadzieje na przyszłość, zachowałyby swą wartość nawet po objęciu przez wierzycieli całego pańskiego majątku.

— Shoscombe Prince zostałby uznany za część majątku, a nie by ich nie obchodziło czy i wiele postawiłem na niego u bookmacherów. Najprawdopodobniej wycofali go z listy koni biorących udział w derby. Moim głównym wierzycielem jest, niestety, mój największy wróg, skończony łotr, Sam Brewer, którego, musiałem kiedyś tego poczęstować pejcem na torze w Newmarket. Czy pan sądzi, że on mógłby chcieć mnie ratować?

— Cała ta sprawa — rzekł powstając Holmes — musi być oczywiście przedstawiona policji. Moim obowiązkiem było ujawnić fakty i na tym poprzestaną. Nie do mnie również należy moralna ocena pańskiego postępowania. Dochodzi już północ — Holmes zwrócił się do mnie — i czas już, abyśmy powrócili do naszej skromnej siedziby.

Wiadomo już dzisiaj powszechnie, że to niesamowite wydarzenie zakończyło się dla sir Roberta lepiej, niż na to zasługiwał. Shoscombe Prince wygrał derby, a jego właściciel zgarnął osiemdziesiąt tysięcy funtów wypłaconych mu przez bookmacherów. Wierzyciele zgłosili swe roszczenia dopiero po wyścigu i zostali całkowicie spłaćeni, a sir Robertowi pozostała jeszcze suma wystarczająca na nowy, przyzwoity start życiowy. Zarówno policja, jak i sędzia śledczy, okazali wyrozumiałość i ograniczyli się do wymierzenia drobnej grzywny z tytułu zawinionej przez sir Roberta zwłoki w zgłoszeniu zgonu jego siostry. Szczęśliwy właściciel Shoscombe Prince'a wyszedł więc obronną ręką z opisanego powyżej epizodu i wszystko wydaje się wskazywać, że awanturnicza młodość nie przeszkodzi mu w osiągnięciu sędziwego wieku w spokoju i pomyślności.

*Przeł. Jan Meysztowicz
Shoscombe Old Place*

PRZYGODA W COPPER BEECHES

Człowiek, który kocha sztukę dla sztuki — zauważył Sherlock Holmes, odkładając na bok stronę z ogłoszeniami w „Daily Telegraph” — przeważnie najwięcej radości czerpie z najmniej znaczących i najskromniejszych jej przejawów. Z przyjemnością obserwuję, Watsonie, że i ty uznałeś to za słuszne i w krótkich opisach naszych przygód, które byłeś łaskaw odtworzyć i — czuję się w obowiązku dodać — nieco upiększyć, uwydatniłeś nie te liczne *causes celebres* ani sensacyjne procesy sądowe, w jakich występowałem, lecz raczej przypadki nie posiadające same w sobie wielkiego znaczenia, ale dające pole do wykazania umiejętności dedukcji i logicznej syntezy, którą to dziedzinę uczyniłem: swoją specjalnością.

— A mimo to — odrzekłem uśmiechając się — nie uważam, aby moje zapiski były wolne od ładunku sensacji, która przeważała wbrew mej woli.

— Być może, popełniłeś błąd — zauważył, chwytając szczypcami płonący żużel i odpalając od niego długą fajkę z wiśniowego drzewa, która zazwyczaj zastępowała mu glinianą, gdy bywał bardziej skłonny do dysputy niż do medytacji. — Być może, popełniałeś błąd, usiłując każdemu swemu sprawozdaniu dodać barw i życia, zamiast poprzestać na zaprotokołowaniu ścisłego dedukowania ze skutków o przyczynach, które jest doprawdy jedynym godnym uwagi momentem w tej sprawie.

— Wydaje mi się, że pod tym względem oddałem ci całkowicie sprawiedliwość — zauważyłem dość chłodno, gdyż mierzył mnie ten egzotyzm, będący, jak niejednokrotnie zaobserwowałem, poważnym czynnikiem w osobliwym charakterze mego przyjaciela,

— Nie, to nie jest samolubstwo ani zarozumiałość — rzekł Holmes, odpowiadając swoim zwyczajem raczej na moje myśli niż na słowa. — Jeżeli żądam, aby całkowicie doceniano moją sztukę, to dlatego, że jest ona rzeczą bezosobową, czymś, co działa poza mną. Zbrodnia jest pospolita. Logika jest rzadka. Dlatego też powinieneś kłaść nacisk raczej na przejawy logiki niż na samą zbrodnię. A ty zdegradowałeś temat, z którego mógł powstać cykl wykładów, do serii opowiadań.

Był chłodny poranek wczesnej wiosny, więc po śniadaniu usiedliśmy z obu stron wesołego ognia w naszym starym pokoju przy Baker Street. Gęsta mgła kłębiła się nisko pomiędzy rzędami ciemnobrunatnych domów, a znajdujące się naprzeciwko okna wyglądały z daleka jak ciemne, bezkształtne plamy wynurzające się z ciężkich, żółtych zawojów. Zapalona lampa gazowa jaśniała nad białym obrusem, a jej migotliwe światło odbijało się w porcelanie i metalu sztuczca, albowiem nakrycia nie były jeszcze sprzątnięte. Sherlock Holmes był przez całe rano milczący, pochłonięty kolumnami ogłoszeń różnych dzienników, aż w końcu zrezygnował z poszukiwań i ulegając niezbyt miłemu nastrojowi, zaczął mi robić wykład na temat moich literackich niepowodzeń.

— Poza tym — zauważył po małej przerwie, podczas której siedział pykając ze swojej długiej fajki i patrząc w ogień — nie wydaje mi się, aby cię można było oskarżać o sensację, ponieważ z tych przypadków którymi byłeś łaskaw się zainteresować, znaczna część nie traktowała o przestępstwie w znaczeniu prawnym. Owa błaha sprawa, w której starałem się pomóc królowi Bohemii, niezwykła przygoda panny Mary Sutherland, problem związany z człowiekiem o wykrzywionej wardze, przeżycie szlachetnie urodzonego oblubieńca, to wszystko były sprawy nie podlegające sądownictwu. Obawiam się jednak, że gdybyś się zupełnie wyzbył sensacji, znalazłbyś się na pograniczu trywialności.

— I tak by się w końcu stało — odpowiedziałem. — Ale metody, które opisuję, są nowe, nie znane i interesujące.

— Phi, mój drogi, co mogą obchodzić szerokie masy mało spostrzegawczej publiczności, która nie potrafi rozpoznać tkacza po zębie, a kompozytora po jego lewym kciuku, subtelne odcienie analizy i dedukcji? Ale istotnie, o ile nawet stałeś się trywialny, nie mogę mieć do ciebie o to pretensji, gdyż dzie wielkich wydarzeń przeminęły. Człowiek, a przynajmniej przestępca, stracił wszelką przedsiębiorczość i oryginalność. Jeśli zaś chodzi o moją własną niewielką praktykę, wydaje mi się, iż uległa zwyrodnieniu, stając się agencją do odnajdywania zgubionych ołówków automatycznych i udzielania porad pensjonarkom. Myślę że doszedłem już do kresu mej kariery. Kartka, którą otrzymałem dziś rano, świadczy najlepiej o moim poniżeniu. Przeczytaj ją! — Rzucił mi zmięty list.

Był nadany z placu Montague ubiegłego wieczoru i zawierał co następuje:

Szanowny panie!

Mam zamiar zwrócić się do pana po poradę, czy powinnam przyjąć zaoferowaną mi posadę guwernantki, czy też nie. O ile nie sprawi to panu kłopotu, pozwolę sobie wpaść jutro o godzinie 10. 30.

Z poważaniem — Violetta Hunter

— Znasz tę młodą damę?— spytałem.

— Ja? Nie.

— W tej chwili jest akurat 10.30.

— Tak. I niewątpliwie to ona dzwoni.

— Może się zdarzyć, że sprawa ta okaże się ciekawsza, niż przypuszczasz: Pamiętasz historię błękitnego diamentu, która z początku wyglądała na rzecz błahą, a jednak później wywiązało się z tego poważne dochodzenie. W tym wypadku może być podobnie.

— Cóż, miejmy nadzieję. Wątpliwości nasze niebawem się rozproszą, bowiem, o ile się nie mylę, oto jest osoba, o którą chodzi.

Zaledwie wymówił te słowa, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła młoda dama. Była skromnie, lecz schludnie ubrana, o żywej, ruchliwej twarzyczce, piegowatej jak indyjskie jajo, i energicznym sposobie bycia kobiety, która sama musi sobie torować drogę w życiu.

— Proszę mi wybaczyć kłopot, jaki sprawiam — powiedziała, gdy mój towarzysz powstał, aby ją powitać — ale spotkało mnie bardzo dziwne wydarzenie, a ponieważ nie mam rodziny ani żadnych krewnych, których mogłabym prosić o radę, pomyślałam sobie, że może pan będzie uprzejmy poradzić mi, co mam zrobić.

— Proszę zająć miejsce, panno Hunter. Będę szczęśliwy, jeżeli okażę się pani w czymkolwiek pomocny.

Widziałem, że nowa klientka swoim zachowaniem i słowami wywarła dodatnie wrażenie na Holmesie. Przyjrzał się jej całej uważnie, na swój sposób, po czym spokojnie, z opuszczonymi powiekami i złączonymi czubkami palców przygotował się do wysłuchania jej opowieści.

— Byłam przez 5 lat guwernantką — rozpoczęła panna Hunter — w rodzinie pułkownika Spence Munro, Przed dwoma miesiącami pułkownik otrzymał nominację na stanowisko w Halifax, w Nowej Szkocji i zabrał swoje dzieci ze sobą do Ameryki, w związku z czym zostałam bez posady. Dawałam anonsy do gazet i sama odpowiadałam na ogłoszenia, ale bez powodzenia. W końcu zaoszczędzona przeze mnie suma pieniędzy zaczęła maleć i nie wiedziałam, co począć. W Westend znajduje się znane biuro pośrednictwa pracy dla guwernantek pod nazwą Westaway, tam tedy zgłaszałam się raz w tygodniu, żeby sprawdzić, czy się nie znajdzie coś odpowiedniego

dla mnie. Westaway to nazwisko założyciela instytucji, ale w rzeczywistości kierowniczką jest panna Stoper. Kierowniczka urzęduje w osobnym, małym gabinecie, a panie szukające pracy siedzą w poczekalni, po czym wchodzi kolejno, a panna Stoper przegląda swój rejestr i wyszukuje dla nich odpowiednie zajęcie.

Otóż gdy się tam zgłosiłam w ubiegłym tygodniu, wprowadzono mnie jak zwykle do tego gabinetu, ale okazało się, że panna Stoper nie jest sama. Nadzwyczaj tęgi mężczyzna o uśmiechniętej szeroko twarzy i wielkim, ciężkim podbródku, który kilkoma fałdami opadał mu aż na szyję, siedział obok niej w okularach na nosie, przyglądając się z powagą wchodzącym paniom. Kiedy się ukazałam, aż podskoczył na krześle i zwrócił się z pośpiechem do panny Stoper.

— Ta pani mi odpowiada — powiedział. — Nie mógłbym mieć większych wymagań. Kapitalne! Kapitalne!

Wydawał się pełen entuzjazmu i zacierał ręce z największym ukontentowaniem. Wyglądał przy tym tak pocziwie, że patrzyłam na niego z prawdziwą przyjemnością.

— Pani szuka posady? — zapytał.

— Tak, proszę pana.

— Guwernantki?

— Tak, proszę pana.

— A jakiego wynagrodzenia żąda pani?

— Na ostatniej posadzie u pułkownika Spence Munro otrzymywałam 4 funty miesięcznie.

— Rety! Rety! Co za wyzysk! Co za haniebnny wyzysk! — zawołał, unosząc w górę swe tłuste ramiona jak człowiek nie posiadający się z oburzenia. — Jak można było zaofiarować tak nędzną sumę osobie o podobnych walorach i takim wykształceniu!

— Moje wykształcenie, proszę pana, być może, wcale nie jest takie, jak pan sobie wyobraża — powiedziałam. — Znam trochę francuski, trochę niemiecki, muzykę, rysunki...

— Cicho, sza! — zawołał. — To nie ma najmniejszego znaczenia. Chodzi o to, czy ma pani obejście i ułożenie prawdziwej damy, czy też nie? Jasne jak na dłoni! Jeżeli nie, to znaczy, że nie jest pani odpowiednią wychowawczynią dla dziecka, które być może pewnego dnia odegra poważną rolę w historii kraju. Ale jeśli jest pani damą, jak może szanujący się człowiek wymagać, aby pani przyjęła cokolwiek poniżej setki. U mnie dostanie pani na początek 100 funtów rocznie.

Może pan sobie wyobrazić, panie Holmes, że mnie, pozbawionej wszelkich środków do życia, oferta ta wydała się zbyt piękna, aby mogła być prawdziwa. Jegomość ów jednak, widząc prawdopodobnie niedowierzanie na mojej twarzy, otworzył portfel i wyjął banknot.

— Zgodnie z moim zwyczajem — rzekł, uśmiechając się bardzo mile, podczas gdy oczy mu się zamieniły w dwie wąskie szpareczki, błyszczące wśród białych fałd twarzy — wypłacam młodemu damom połowę uposażenia tytułem zaliczki, aby mogły pokryć wydatki związane z podróżą oraz garderobą.

Pomyślałam sobie, że nigdy jeszcze dotąd nie spotkałam tak czarującego i troskliwego mężczyzny. Byłam zadłużona u mego kupca, toteż taka zaliczka stanowiła dla mnie wielkie udogodnienie. Mimo to wyczuwałam jednakże coś nienaturalnego w tej całej transakcji i pragnęłam przed ostatecznym zaangażowaniem się otrzymać trochę informacji..

— Czy mogę wiedzieć, gdzie pan mieszka?

— W Hampshire. W uroczej wiejskiej posiadłości Copper Beeches, oddalonej o 5 mil od Winchester. To prześliczna okolica, miła panienko, i przemiły stary dwór.

— A moje obowiązki, proszę pana? Chciałabym wiedzieć, na czym będą polegały?

— Mam jedno dziecko, sześciolatniego łobuziaka. Ach, gdyby pani wiedziała, jak on zabija trzewikami karaluchy! Bęc, bęc, bęc! I już trzy sztuki wykończone, zanim się zdąży mrugnąć okiem! — Odchylił się do tyłu na krześle i znów się roześmiał, aż mu oczy zupełnie znikły z twarzy.

Byłam nieco zaskoczona sposobem zabawiania się tego dziecka, ale śmiech ojca wskazywał na to, że to mógł być żart.

— A więc do obowiązków moich — spytałam — należy opieka nad jednym dzieckiem?

— Nie, nie! Nie tylko, miła panieneczko! — wykrzyknął. — Do pani obowiązków będzie również należało, a własny pani rozsądek z pewnością to uzna za słuszne, wykonywanie pewnych drobnych poleceń mojej żony, z tym zastrzeżeniem, że to będą polecenia jak najbardziej stosowne dla młodej damy. Nie przewiduje pani chyba żadnych trudności? Co?

— Będę uszczęśliwiona, mogąc być pożyteczna.

— Doskonale. A więc, na przykład, sprawa ubioru. Jesteśmy dziwakami, wie pani, dziwakami, ale pocziwymi dziwakami. Gdybyśmy poprosili panią, aby pani włożyła tę czy inną suknię przez nas samych dostarczoną, chyba to małe dziwactwo nie może wywołać obiekcji z pani strony? Co?

— Nie — powiedziałam zdumiona jego słowami.

— A jeśli się panią poprosi, aby pani usiadła tam czy gdzie indziej, prośba ta nie będzie pani ubliżała?

— O, nie!

— A gdyby pani obcięła sobie całkiem krótko włosy, zanim pani do nas przyjedzie?

Ledwie mogłam uwierzyć własnym uszom. Może pan zauważył, panie Holmes, że włosy mam dość bujne, o nader rzadko spotykanym kasztanowatym odcieniu. Fryzurę moją uważano za artystyczną. Ani mi się śniło poświęcać ją tak, od ręki.

— Obawiam się, że to niemożliwe — powiedziałam.

Przyglądał mi się bystro swymi małymi oczkami i spostrzegłam, że twarz mu spochmurniała, gdy się odezwałam.

— A ja się obawiam, że to bardzo istotna rzecz — powiedział. — Taki jest bowiem kaprys mojej żony, a kaprysy kobiece, wie pani sama, kaprysy kobiece muszą być brane pod uwagę. Więc nie zetnie pani sobie włosów?

— Nie, proszę pana, naprawdę nie mogę — odrzekłam stanowczo.

— Ach, no to trudno. Odmowa pani, oczywiście rozstrzyga kwestię. Szkoda. Albowiem pod każdym innym względem odpowiadałaby mi pani jak najbardziej. Wobec tego, panno Stoper, może bym obejrzał jeszcze kilka innych młodych dam.

Kierowniczka biura była przez cały czas zajęta swymi papierami i nie odzywała się do nas ani słowem. Teraz jednak spojrzała na mnie z takim wyrazem niechęci na twarzy, że mimo woli nasunęło mi się podejrzenie, iż na skutek mojej odmowy straciła ładną prowizję.

— Czy pani w dalszym ciągu pragnie figurować w naszym rejestrze? — zapytała.

— Bardzo o to proszę, panno Stoper.

— Nie wydaje mi się to, doprawdy, celowe, skoro pani w ten sposób odrzuca tak świetną ofertę — powiedziała ostro. — Proszę się po nas nie spodziewać szczególnych starań w szukaniu innej wolnej posady dla pani. Do widzenia, panno Hunter.

Zadzwoniła w stojący na stole dzwonek i zostałam wyprowadzona przez gońca.

Otóż, panie Holmes, gdy wróciłam do swego mieszkania i nic prawie nie znalazłam w kredensie, a na stole dwa czy trzy rachunki, zaczęłam się zastanawiać, czy nie popełniłam wielkiego głupstwa. Ostatecznie, jeśli ci ludzie mają pewne dziwactwa i chcą, aby ulegano ich niezwykłym żądaniom, przynajmniej są gotowi dobrze zapłacić za swoje fanaberie. Niewiele

guwernantek w Anglii otrzymuje 100 funtów rocznie wynagrodzenia. A zresztą, co mi po włosach? Jest dużo kobiet, które znacznie korzystniej wyglądają z krótkimi włosami. Może ja się również znajdę w ich liczbie? Nazajutrz byłam już skłonna wierzyć, że istotnie popełniłam błąd, a następnego dnia nabrałam przekonania, że tak było. Przewyciężyłam nawet swoją dumę tak dalece, że chciałam znów się udać do biura pośrednictwa pracy, aby zapytać, czy tamta posada jeszcze jest wolna, gdy otrzymałam list od tego jegomościa. Mam go tu przy sobie i przeczytałam panu:

Copper Beeches koło Winchester

Szanowna Pani!

Panna Stoper była tak uprzejma, że dała mi pani adres, więc piszę, żeby się zapytać, czy nie rozpatrzyła pani ponownie swojej decyzji. Moja żona chciałaby bardzo, aby pani przyjechała, gdyż bardzo jej się podoba zrobiony przeze mnie opis pani osoby. Jesteśmy gotowi płacić pani 30 funtów kwartalnie, czyli 120 funtów rocznie, aby wynagrodzić pani te drobne subiekcje, jakie nasze dziwactwa mogą spowodować. Nie będziemy zresztą zbyt wymagający. Moja Żona gustuje w pewnym szczególnym odcieniu jasnego błękitu i życzyłaby sobie, aby pani w domu przed południem nosiła taką suknię. Nie potrzebuje pani zresztą jej kupować i narażać się na wydatki, gdyż mamy tutaj suknię mojej drogiej córki Alicji (przebywającej obecnie w Filadelfii). Moim zdaniem, będzie ona na panią świetnie pasowała. Inne żądania, aby pani siadywała w tym czy innym miejscu i zajmowała się w określony sposób, nie sprawią pani najmniejszego kłopotu. Natomiast jeśli chodzi o włosy, szkoda ich niewątpliwie, tym bardziej, że nie mogłem nie zauważyć w czasie naszego krótkiego spotkania, jakie są piękne. Obawiam się jednakowoż, że na tym punkcie muszę okazać stanowczość, żywiąc jedynie nadzieję, że podwyższona pensja wynagrodzi pani tę stratę. Obowiązki związane z opieką nad dzieckiem będą bardzo lekkie. Proszę, się postarać przyjechać, a ja spotkam panią dogcartem w Winchester. Niech pani mnie zawiadomi, jakim przyjedzie pociągiem.

Z poważaniem — Jephro Rucastle

— Taki oto list otrzymałam, panie Holmes, i zdecydowałam się na przyjęcie tej posady. Pomyślałam sobie jednak, że zanim uczynię ostateczny krok, najchętniej przedstawię panu tę całą sprawę do rozważenia.

— No cóż, panno Hunter, o ile pani się już zdecydowała, kwestia jest rozstrzygnięta — rzekł Holmes z uśmiechem.

— Więc pan nie uważa, że powinnam odmówić?

— Przyznam się, że nie chciałbym, aby moja siostra ubiegała się o tego rodzaju posadę.

— Co to wszystko może znaczyć, panie Holmes?

— Och, nie mam żadnych danych. Nic nie mogę powiedzieć. Może pani sama ma już wyrobione jakieś własne zdanie?

— Wydaje mi się, że jest tylko jedno możliwe wyjaśnienie. Pan Rucastle wygląda na bardzo grzecznego i poczciwego człowieka. Czyż nie jest prawdopodobne, że ma umyślowo chorą żonę, więc pragnąc ukryć ten fakt w obawie, aby jej nie zabrano do zakładu, spełnia jej każdą zachciankę, żeby nie dopuścić do ataku?

— To jest rozwiązanie możliwe, a faktycznie, tak jak sprawy stoją, jedynie prawdopodobne. W każdym bądź razie nie wydaje mi się, aby to mógł być przyjemny dom dla młodej damy.

— Ale pieniądze, panie Holmes, pieniądze?

— Tak, istotnie, wynagrodzenie jest dobre, zbyt dobre. To właśnie mnie niepokoi. Czemu oni dają pani 120 funtów rocznie, gdy mogą zrobić dobry wybór za 40 funtów. Na to muszą być poważne przyczyny.

— Sądziłam, że jeśli opowiem panu wszystkie okoliczności, będzie pan już zorientowany w tej sprawie, gdybym później potrzebowała pańskiej pomocy. Czułabym się znacznie pewniejsza, gdybym wiedziała, że mogę mieć w panu oparcie.

— Och, może pani jechać z tym przekonaniem. Zapewniam panią, że od kilku miesięcy nie miałem problemu, który by się zapowiadał równie interesująco. Niektóre momenty mają najwyraźniej cechy dotychczas nieznanne. Gdyby pani miała jakieś wątpliwości albo znalazła się w niebezpieczeństwie...

— Niebezpieczeństwo? Jakie pan przewiduje niebezpieczeństwo? Holmes z powagą potrząsnął głową.

— Niebezpieczeństwo przestałoby istnieć, gdyby je można było określić — powiedział. — Wysłany przez panią telegram sprowadzi mnie o każdej porze, w dzień lub w nocy, na ratunek.

— To mi wystarczy! — panna Hunter zerwała się z krzesła, a niepokój znikł całkowicie z jej twarzy. — Pojadę teraz do Hampshire zupełnie spokojną. Natychmiast odpiszę panu Rucastle, dziś jeszcze poświęcę moje biedne włosy, a jutro wyruszę do Winchester.

Podziękowała Holmesowi w kilku słowach i życząc nam dobrej nocy, wyszła spiesźnie. — Ta przynajmniej — powiedziałem, słysząc odgłos jej szybkich, stanowczych kroków na schodach — wygląda na młodą osobę, która potrafi świetnie się sama o siebie zatroszczyć.

— Będzie do tego zmuszona — rzekł Holmes poważnie. — I grubo bym się pomylił, gdybyśmy przed upływem kilkunastu dni nie otrzymali od niej wiadomości.

Niewiele czasu upłynęło, a sprawdziła się przepowiednia mego przyjaciela. Minęły dwa tygodnie, w którym to czasie moje myśli często zwracały się ku pannie Hunter i nieraz się zastanawiałem, na jakie manowce ludzkich przeżyć ta samotna kobieta zawędrowała. Niezwykle wysokie wynagrodzenie, dziwne warunki, łatwe obowiązki, wszystko to wskazywało na sytuację anormalną; ale określić, czy były to istotnie dziwactwa, czy jakieś knowania, czy ów człowiek był filantropem, czy łajdakiem — nie leżało w mojej mocy. Co zaś do Holmesa zauważyłem, iż często przesiadywał po pół godziny i dłużej ze ściągniętymi brwiami i nieobecny wyrazem twarzy, ale każdą moją wzmiankę o tej sprawie likwidował machnięciem ręki. — „Dane, dane, dane! — wołał niecierpliwie. — Nie mogę lepić cegieł nie mając gliny!” Mimo to zawsze kończył rozmowę mruczając, że żadna z jego sióstr nie przyjęłaby nigdy podobnej posady.

Telegram, który w końcu otrzymaliśmy, przyniesiono późno pewnego wieczoru, gdy zamierzałem już położyć się spać, a Holmes zabierał się właśnie do jednej ze swych całonocnych prac badawczych, którym się często oddawał. Pozostawiałem go wówczas wieczorem pochylonego nad retortą czy probówką, a gdy schodziłem rano na śniadanie, znajdowałem go wciąż w tej samej pozycji. Holmes otworzył żółtą kopertę i zerknąwszy na depeszę, rzucił mi ją.

— Sprawdź pociągi w rozkładzie jazdy — powiedział i wrócił do swych chemicznych badań.

Wezwanie było krótkie i naglące:

Proszę być w hotelu „Czarny Łabędź” w Winchester jutro w południe — brzmiał tekst. — Proszę przyjechać.

Nie wiem, co począć. Hunter.

— Pojedziesz ze mną? — zapytał Holmes podnosząc wzrok.

— Bardzo chętnie.

— Więc sprawdź pociągi.

— Jest pociąg o 9. 30 — powiedziałem, zaglądając do rozkładu jazdy. — Przychodzi do Winchester o 11. 30.

— Ten nam akurat odpowiada. Wobec tego może lepiej odłożę moją analizę acetonową, ponieważ powinniśmy jutro być w jak najlepszej formie.

Następnego dnia około godz. 11 byliśmy już w drodze do dawnej stolicy Anglii. Holmes w czasie całej podróży był zagłębiony w porannych dziennikach, ale skorośmy minęli granicę Hampshire, odrzucił je i zaczął podziwiać krajobraz. Był wspaniały wiosenny dzień. Jasnobłękitne niebo usiane było plamkami małych, białych jak owcze runo chmur, pędzących z wiatrem z zachodu na wschód. Słońce świeciło promiennie, a mimo to w powietrzu panował lekki chłód, wyzwalający całą energię w człowieku. W całej okolicy aż do falistych pagórków wokół Aldershot widniały małe, czerwone i szare dachy budynków gospodarskich, wyglądające spoza jasnej zieleni młodego listowia.

— Czyż nie są świeże i śliczne? — zawołałem z entuzjazmem człowieka, który dopiero co się wydostał z mgły nad Baker Street.

Ale Holmes z powagą potrząsnął głową.

— Czy ty wiesz, Watsonie — powiedział — że posiadanie takiego umysłu jak mój jest przekleństwem, ponieważ zmuszony jestem patrzeć na wszystko z punktu widzenia mojej specjalności. Ty się przyglądasz tym rozrzuconym domkom i odczuwasz ich piękno. A gdy ja patrzę na nie, jedyne uczucie, jakie mnie ogarnia, to wrażenie wywołane ich odosobnieniem i bezkarnością, z jaką tu może być dokonana zbrodnia.

— Wielkie nieba! — zawołałem. — Jak można kojarzyć zbrodnię z tymi przemiłymi, starymi domkami?

— One mnie zawsze napełniają swego rodzaju przerażeniem. Mam pewność, Watsonie, opartą na doświadczeniu, że najgorsze i najpodlejsze zaułki londyńskie nie posiadają w rejestrze protokołów tak potwornych przestępstw jak ta promienna i piękna okolica wiejska.

— Przerażasz mnie.

— Przyczyna tego jest oczywista. W mieście presja opinii publicznej potrafi zdziałać to, czego nie może dokonać prawo. Nie ma tak upodlanej dzielnicy, w której krzyk torturowanego dziecka lub głuche odgłosy razów pijaka nie wywołałyby odruchu sympatii lub oburzenia wśród sąsiadów. Poza tym cała machina sprawiedliwości znajduje się tak blisko, że jedno słowo skargi może ją uruchomić, a wówczas od zbrodni do ławy oskarżonych jest tylko jeden krok. Ale spójrz na te samotne domki, wznoszące się na prywatnych gruntach, zamieszkałe po większej części przez ludzi ubogich i niewykształconych, którzy o prawie wiedzą bardzo niewiele. Pomyśl o pełnych szatańskiego okrucieństwa czynach, o ukrytych niegodziwościach, popełnianych ustawicznie, przez lata całe, o których nikt nie wie. Gdyby owa pani zwracająca się do nas o pomoc miała zamieszkać w Winchester, nie lękałbym się o nią wcale. Ale ta pięćmiłowa odległość od miasta stwarza niebezpieczeństwo. Choć widać, że jej osobiście nic nie grozi.

— Nie. Jeżeli może przyjechać, aby się z nami spotkać, to znaczy, że jej wolno wychodzić.

— Właśnie. Ma swobodę działania.

— O cóż w takim razie może chodzić? Czy nie nasuwa ci się jakieś wyjaśnienie?

— Wymyśliłem siedem różnych wyjaśnień, a każde pokrywa się z faktami o tyle, o ile są nam znane. Ale które z nich jest właściwe, można będzie stwierdzić dopiero po otrzymaniu świeżych informacji, jakie niewątpliwie na nas czekają. Widać już wieżę katedry, więc niebawem dowiemy się wszystkiego, co panna Hunter ma nam do zakomunikowania.

„Czarny Łabędź”, powszechnie znany hotel, znajduje się przy High Street, niedaleko od stacji i tam zastaliśmy ową młodą damę, która czekała na nas. Zarezerwowała osobny pokój i na stole oczekiwało nas śniadanie.

— Ogromnie się cieszę, żeście przyjechali — powiedziała poważnie. — Bardzo to ładnie z waszej strony, bo też naprawdę nie wiem, co począć. Wasza rada będzie dla mnie wprost bezcenna.

— Proszę nam opowiedzieć, co się pani przydarzyło.

— Zaraz to zrobię i muszę się pośpieszyć, ponieważ obiecałam panu Rucastle, że wrócę przed godziną trzecią. Pozwolił mi wyjść rano do miasta, ale nie wiedział, w jakim celu.

— Więc proszę opowiadać wszystko po kolei, Holmes wyciągnął swoje długie, cienkie nogi w stronę ognia i przygotował się do słuchania.

— Przede wszystkim powinnam zaznaczyć, że w ogólności nie byłam źle traktowana przez pana i panią Rucastle. Uczciwość wymaga, abym to powiedziała. Nie mogę ich jednak zrozumieć i dlatego jestem niespokojna.

— Czego pani nie może zrozumieć?

— Motywów ich zachowania. Ale opowiem dokładnie, co się tam działo. Kiedy przyjechałam, pan Rucastle spotkał mnie na stacji i przywiózł swym dogcartem do Copper Beeches. Dwór jest, tak jak mówił, pięknie położony, ale dom nieładny. Jest to wielki, czworokątny masyw, biało otynkowany, ale brudny, zabłocony i cały w plamach od wilgoci. Otaczające go grunta są z trzech stron zalesione, a z czwartej ciągnie się pole opadające pochyłością w dół ku głównemu traktowi, wiodącemu do Southampton. Droga ta wije się w odległości stu jardów od frontowej bramy. Kawał pola przed domem należy do dworu, ale lasy wokoło są częścią rezerwatu lorda Southertona, Kępie czerwonych buków, znajdujących się na wprost wejścia do hallu, dwór zawdzięcza swą nazwę.

Mój pracodawca, który mnie przywiózł, był równie uprzejmy jak poprzednio, a wieczorem tego samego dnia zostałam przedstawiona jego żonie i dziecku. Otóż nic się nie potwierdziło, panie Holmes, z przypuszczenia, której nam się wydawało prawdopodobne w pańskim mieszkaniu przy Baker Street. Pani Rucastle nie jest wariatką. To milcząca kobieta o bladej twarzy, znacznie młodsza od męża, mającą według mnie niewiele ponad trzydziestkę, podczas gdy on niewątpliwie ma około 45 lat. Z ich rozmów zmiarkowałam, że są po ślubie od lat siedmiu, on natomiast był wdowcem, a jego jedynym dzieckiem z pierwszego małżeństwa jest córka, która wyjechała do Filadelfii. Pan Rucastle powiedział mi w zaufaniu, że przyczyną wyjazdu córki była nieuzasadniona niechęć do macochy. Ponieważ córka nie mogła mieć mniej niż dwadzieścia lat, łatwo mi było sobie wyobrazić, że jej położenie przy boku młodej żony ojca nie było miłe.

Pani Rucastle wydała mi się równie bezbarwna umysłowo, co fizycznie. Nie wywarła na mnie ani dodatniego, ani ujemnego wrażenia. Była osobą zupełnie bez znaczenia. Widać było natomiast wyraźnie, że jest gorąco przywiązana do swego męża i małego syna. Jej jasnoszare oczy ustawicznie błędziły od jednego do drugiego, usiłując odgadnąć ich najmniejsze życzenie i uprzedzić, jeśli to możliwe. Pan Rucastle również był dla niej dobry na swój rubaszny, hałaśliwy sposób i ogólnie biorąc, stanowili szczęśliwe stadło małżeńskie. A jednak ta kobieta miała jakieś ukryte zmartwienie. Nieraz bywała głęboko pogrążona w myślach, a na twarzy miała wyraz smutku. Niejednokrotnie zastawałam ją we łzach. Nieraz myślałam, że to skłonności jej dziecka tak ją przygnębiały, albowiem nie widziałam nigdy stworzenia tak rozpuszczonego i o równie złośliwym usposobieniu. Jest niski na swój wiek, o nieproporcjonalnie wielkiej głowie. Całe jego życie upływa, jak mi się wydaje, na dzikich wybuchach złości na przemian z ponurymi okresami dąsów. Jedyną jego rozrywką jest dręczenie wszystkich stworzeń słabszych od niego. Wykazuje nieprzeciętne zdolności i pomysłowość przy chwytności myszy, małych ptaszków i owadów. Wolę już więcej nie mówić o tej kreaturze; panie Holmes, tym bardziej że niewiele ma wspólnego z moją opowieścią.

— Rad jestem wszelkim szczegółom — zauważył mój przyjaciel — niezależnie od tego, czy według pani mają znaczenie, czy też nie.

— Postaram się nie opuścić niczego ważnego. Bardzo nieprzyjemnym zjawiskiem w tym domu, które od razu zwróciło moją uwagę, były wygląd i zachowanie się służby. Jest ich tam tylko dwoje, służący i jego żona. Toller, gdyż tak się nazywa, jest nieokrzesanym prostakiem, o siwiejących włosach, i bokobrodach, stale cuchnący wódką. W czasie mego pobytu był dwukrotnie całkiem pijany, ale pan Rucastle zdawał się tego nie zauważać. Żona Tollera jest wysoką i silną kobietą o skwaszonej twarzy, równie milcząca, jak pani Rucastle, ale znacznie mniej uprzejma. Małżeństwo to jest bardzo nieprzyjemne, ale na szczęście spędzam cały niemal czas w pokoju dzieciennym lub swoim własnym, które znajdują się obok siebie w jednym z narożników domu.

W ciągu dwóch dni po przyjeździe do Copper Beeches wiodłam bardzo spokojny żywot, ale trzeciego dnia, zaraz po śniadaniu, pani Rucastle zeszła na dół i szepnęła coś do swego męża.

— Ach, tak — powiedział pan Rucastle, zwracając się do mnie — jesteśmy pani bardzo zobowiązani, panno Hunter, że zadośćuczyniła pani tak dalece naszym wymaganiom, obcinając sobie włosy. Zapewniam panią, że to w najmniejszym stopniu nie wpłynęło ujemnie na pani wygląd. Teraz zobaczymy, czy będzie na panią pasowała ta niebieska suknia. Znajdzie ją pani na łóżku w swoim pokoju. O ile zechce ją pani włożyć, będziemy oboje bardzo wdzięczni.

Suknia, która czekała na mnie, miała szczególny odcień błękitu. Była uszyta z bardzo dobrego Wełnianego materiału, ale niewątpliwie była już używana. Leżała na mnie, jak ulał, jak gdyby była robiona na miarę. Państwo Rucastle na mój widok okazali zachwyt, w którym sporo było przesady. Czekali na mnie w salonie, pokoju bardzo obszernym, ciągnącym się wzdłuż całego frontu domu, o trzech olbrzymich oknach do ziemi. Przy środkowym oknie stało krzesło odwrócone tyłem do okna. Poproszono mnie, abym na nim usiadła, a pan Rucastle, przechadzając się po pokoju, tam i z powrotem, zaczął mi opowiadać najzabawniejsze historyjki, jakie kiedykolwiek słyszałam. Nie może pan sobie wyobrazić, jaki on był komiczny, a ja się tak śmiałam, że byłam cała obolała. Natomiast pani Rucastle, która jak widać, nie miała poczucia humoru, nie tylko się ani razu nie uśmiechnęła, ale siedziała ze złożonymi rękoma i smutnym a niespokojnym wyrazem twarzy. Po upływie mniej więcej godziny pan Rucastle zauważył nagle, że już czas zacząć normalne zajęcia i że mogę zdjąć suknię i udać się do małego Edwarda do dzieciennego pokoju.

Dwa dni później rozegrała się ta sama scena w zupełnie podobnych okolicznościach. Znowu zmieniałam suknię, znów siedziałam przy oknie i znowu się serdecznie zaśmiewałam z dykteryjek, których mój pracodawca miał okazały repertuar, a które opowiadał w sposób niezrównany. Następnie podał mi jakąś powieść w żółtej okładce i po odsunięciu krzesła nieco w bok, aby mój cień nie padł na strony książki, poprosił mnie o głośne czytanie. Czytałam około dziesięciu minut tekst wyjęty wprost ze środka rozdziału, a potem nagle w połowie zdania pan Rucastle kazał mi przerwać i pójść się przebrać.

Może pan sobie wyobrazić, panie Holmes, jak bardzo byłam zaintrygowaną tym, jaka mogła być przyczyna tego niezwykłego przedstawienia. Zauważyłam, że państwo Rucastle dokładali wszelkich starań, abym miała twarz stale odwróconą od okna, toteż ogarnęło mnie przemożne pragnienie zobaczenia, co się dzieje za moimi plecami. Z początku sądziłam, że to jest niemożliwe, ale niebawem znalazłam sposób. Stuknęło mi się właśnie kieszonkowe lustro, więc wpadłam na szczęśliwy pomysł i ukryłam kawałek lustra w mojej chustce do nosa. Przy następnej okazji, akurat w chwili gdy się zaśmiewałam, przyłożyłam chustkę do oczu i manipulując ostrożnie, zdołałam zobaczyć całą przestrzeń za moimi plecami. Przyznam się, że się rozczarowałam. Tam nie było nic. A przynajmniej takie odniosłam pierwsze wrażenie. Przy

następnym jednak wejrzeniu zobaczyłam, że na drodze do Southampton stał jakiś człowiek, niski, brodaty mężczyzna w szarym ubraniu, który jak mi się wydało, spoglądał w moim kierunku. Droga ta jest ważną trasą i zazwyczaj kręci się tam sporo ludzi.

Ten człowiek jednakże opierał się o ogrodzenie otaczające nasze pole i patrzył uważnie na dom, Opuściłam chustkę i spojrzałam na panią Rucastle, której badawcze oczy były skierowane na mnie. Nic nie powiedziała, ale byłam przekonana, że się domyśliła, iż miałam w ręku lusterko i widziałam, co się za mną działo. Wstała natychmiast.

— Jephro — powiedziała — tam jakiś impertynent stoi na drodze i przygląda się pannie Hunter.

— To nie pani znajomy, panno Hunter? — spytał pan Rucastle.

— Nie. Ja nie znam nikogo w tych stronach.

— Mój Boże! Co za bezczelność! Niech pani się odwróci z łaski swojej i skinie mu ręką, aby sobie poszedł.

— Z pewnością lepiej nie zwracać nań uwagi.

— Nie, nie, bo stale będzie się tu włóczył. Proszę się łaskawie odwrócić i machnąć ręką, żeby sobie poszedł.

Zrobiłam, jak mi kazano, a pani Rucastle w tej samej chwili opuściła zasłonę. Stało się to przed tygodniem, a od tego czasu ani razu nie siedziałam przy oknie, nie wkładałam błękitnej sukni i nie widziałam owego mężczyzny na drodze.

— Proszę, niech pani mówi dalej — powiedział Holmes — pani opowieść zapowiada się bardzo interesująco.

— Obawiam się, aby się panu nie wydała dnieco pozbawiona związku, i faktycznie owe drobne zdarzenia, o których będę mówiła, mogą nie mieć ze sobą nic wspólnego. Zaraz pierwszego dnia mego pobytu w Copper Beeches pan Rucastle; zabrał mnie do małej przybudówki, znajdującej się w pobliżu kuchennych drzwi. Kiedy zbliżyliśmy się do niej usłyszałam brzęk łańcucha i szmer wskazujący na to, że się tam porusza jakieś wielkie zwierzę.

— Proszę popatrzeć! — powiedział pan Rucastle, pokazując mi szparę pomiędzy dwiema deskami. — Czyż nie jest piękny?

Zajrzałam tam i zobaczyłam dwoje płonących oczu i niewyraźny kształt, skulony w ciemności.

— Niech się pani nie obawia — powiedział mój pracodawca ze śmiechem widząc, że się wzdrygnęłam. — To tylko Carlo, mój brytan. Uważam go za swoją własność, ale właściwie jedyną osobą, która może sobie z nim poradzić, jest mój stary służący Toller. Zwierzę jest karmione tylko raz dziennie, a i to dość skąpo, toteż jest zawsze ostre jak brzytwa. Toller go spuszcza na noc i Boże zmiłuj się nad tym rzezimieszkiem, w którym zatopi swe kły. Na litość Boską, proszę nigdy, pod żadnym pozorem nie wychodzić, w nocy poza próg domu, bo to może kosztować życie.

Owa przestroga nie była gołosłowna. Tak się bowiem złożyło, że dwa dni później, około godziny 2 nad ranem, wyjrzałam przez Okno mojej sypialni. Była piękna, księżycowa noc, murawa gazonu przed domem lśniła srebrzyście, a jasno było jak w dzień. Stałam upojona spokojnym pięknem krajobrazu, gdy nagle zauważyłam, że coś się porusza w cieniu czerwonych buków. Kiedy to coś wyszło na światło księżycowe, zobaczyłam, że był to olbrzymi — pies, wielki jak cielak, ciemnej maści, o czarnym pysku z obwisłymi zuchwami i potężnych, wyraźnie zarysowanych kościach. Pies przeszedł powoli przez gazon i znikł w cieniu po jego drugiej stronie. Ten straszny, milczący strażnik zmroził mi serce, które nie zlekłoby się, jak sądzę, żadnego włamywacza.

A teraz opowiem panu bardzo dziwne zdarzenie. Wie pan o tym, że obcięłam sobie włosy w Londynie, a ścięte sploty włożyłam na dno mego kufra. Pewnego wieczoru, gdy dziecko już było w łóżku, zajęłam się dla rozrywki urządzeniem swego pokoju i porządkowaniem moich osobistych drobiazgów. W pokoju znajdowała się stara komoda; dwie jej górne szuflady były otwarte i puste, dolna zaś zamknięta. Do górnych szuflad włożyłam bieliznę, a ponieważ miałam jeszcze sporo rzeczy do wypakowania, byłam oczywiście niezadowolona, że nie mogę zrobić użytku z tej trzeciej szuflady. Przyszło mi na myśl, że być może, została zamknięta przez przeoczenie, wobec czego wyjęłam z wiązki moich własnych kluczy jeden i spróbowałam tę szufladę otworzyć. Pierwszy lepszy klucz pasował doskonale, więc ją otworzyłam. Znajdował się tam tylko jeden przedmiot, ale jestem przekonana, że pan nigdy nie zgadnie jaki. To były moje włosy.

Wzięłam je do ręki i obejrzałam. Miały ten sam rzadko spotykany odcień i były równie gęste. Jednakże w tej samej chwili zdałam sobie sprawę z niemożliwości tego faktu. W jaki sposób mogły moje włosy znajdować się w tej zamkniętej szufladzie? Drżącymi rękoma otworzyłam swój kufer, przewróciłam całą jego zawartość i wyciągnęłam z dna moje włosy. Położyłam oba warkocze obok siebie i zapewniam pana, że były identyczne. Czyż to nie nadzwyczajne? Znalazłam się wobec jakiejś tajemnicy, nie mając najmniejszego pojęcia, co to wszystko znaczy. Włożyłam cudze włosy z powrotem do szuflady i nic o tym nie powiedziałam państwu Rucastle, gdyż miałam wrażenie, że źle postąpiłam otwierając zamkniętą przez nich szufladę.

Jestem spostrzegawcza z natury, co pan miał możliwość zauważyć, panie Holmes, toteż wkrótce miałam już w głowie plan całego i domu. Otóż znajdowało się tam jedno boczne skrzydło, które sprawiało wrażenie niezamieszkałego. Drzwi znajdujące się naprzeciwko wejścia do mieszkania Tollerów i prowadzące do kilku pokoi, mieszczących się w tym skrzydle, były stale zamknięte. Jednakże pewnego dnia, gdy szłam po schodach, spotkałam pana Rucastle wychodzącego tymi drzwiami z kluczem w ręku. Twarz miał zmienioną i niepodobny był zupełnie do okrągłego, jowialnego człowieka, którego znałam. Jego policzki były mocno zaczerwienione brwi ściągnięte gniewnie, a żyły na skroniach nabrzmiały z irytacji. Zamknął drzwi i przeszedł obok mnie bez jednego słowa czy spojrzenia.

To podnieciło moją ciekawość, udając się tedy na spacer z moim pupilem, przechadzałam się wokół domu z tej strony, skąd mogłam widzieć okna znajdujące się w owym skrzydle. Okien było cztery, w jednym rzędzie, trzy po prostu brudne, czwarte natomiast miało zamknięte okiennice. Najwidoczniej były puste i opuszczone. W tym czasie, gdy spacerowałam tam i z powrotem, spoglądając na nie raz po raz, zbliżył się do mnie pan Rucastle, wesoly i jowialny jak zawsze.

— Ach, proszę nie myśleć — powiedział — że chciałem być niegrzeczny, przechodząc obok pani bez słowa, moja miła panienko. Byłem zaabsorbowany interesami.

Zapewniłam go, że się nie czuję obrażona.

— Ale, ale — powiedziałam — widzę, że pan ma tam szereg pustych pokoi, a okno jednego z nich jest zamknięte okiennicami.

Był zdziwiony i jak mi się wydało, nieco zaskoczony moją uwagą.

— Jestem zamiłowanym fotografem — powiedział. — Zrobiłem sobie ciemnię z tego pokoju. Ale, mój Boże, z jakże bardzo spostrzegawczą młodą osobką mamy do czynienia. Nie do wiary! Wprost nie do wiary! — Mówił tonem żartobliwym, lecz w jego oczach, patrzących na mnie, nie było rozbawienia. Widziałam w nich podejrzliwość i niechęć, ale nie rozbawienie.

— Tak, panie Holmes, od chwili kiedy zrozumiałam, że ukrywano przede mną coś, co miało związek z tymi pokojami, paliłam się wprost, aby się dostać na tamtą stronę. Nie była to zwykła ciekawość, choć i tego mi nie brakło. Raczej jednak poczucie obowiązku, przekonanie, że coś

dobrego wyniknie z mego wtargnięcia w to miejsce. Wiele się mówi o instynkcie kobiecym; być może to instynkt wyrobił we mnie to przekonanie. W każdym bądź razie tak właśnie rzecz się miała i z niecierpliwością wypatrywałam sposobności, aby się przedostać przez zakazane drzwi.

Dopiero wczoraj nawinęła się okazja. Powinnam jeszcze zaznaczyć, że poza panem Rucastle, Toller i jego żona mają również coś do roboty w tych pustych pokojach, a pewnego razu widziałam, jak Toller, wchodząc przez te drzwi, niósł wielki, czarny, płócienny wór. Ostatnio Toller dużo pił, a wczoraj wieczorem był zupełnie pijany. Idąc na górę po schodach zauważyłam, że w owych drzwiach tkwił klucz. Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że to on go zostawił. Państwo Rucastle byli na dole, a dziecko z nimi, toteż nadarzała mi się świetna okazja. Obróciłam ostrożnie klucz w zamku, otworzyłam drzwi i wsunęłam się do środka.

Przede mną ukazał się mały korytarzyk bez tapet i chodnika, który na końcu zakręcał w prawą stronę. Za zakrętem znajdowało się w jednym rzędzie, obok siebie troje drzwi. Pierwsze i trzecie były otwarte i prowadziły do pustych pokoi, zakurzonych i smutnych. W, jednym były dwa okna, w drugim jedno, o szybach tak brudnych i pokrytych kurzem, że światło wieczorne przeświecało przez nie mgliście. Środkowe drzwi były zamknięte, a z zewnętrznej strony znajdowała się na nich poprzeczna gruba sztaba z jakiegoś żelaznego łożka. Na jednym końcu sztaby na żelaznym kółku wbitym w ścianę wisiała kłódka, drugi zaś koniec był przewiązany mocnym sznurem. Same drzwi były poza tym również zamknięte, a klucza w zamku nie było. Te zabarykadowane drzwi odpowiadały w zupełności oknu o zamkniętych okiennicach, a mimo to widziałam, że spod drzwi sączyło się światło, a pokój nie był zaciemniony. Widocznie w suficie był otwór wpuszczający światło górą. Gdy tak stałam w korytarzu, przyglądając się tym złowieszczym drzwiom i zastanawiając się, jaka się za nimi kryje tajemnica, usłyszałam nagle odgłos kroków w tym pokoju i zobaczyłam jakiś cień, przesuający się tam i z powrotem na tle oświetlonej niewyraźnym światłem szpary pod drzwiami. Na ten widok ogarnął mnie szalony, nieuzasadniony strach, panie Holmes. Moje napięte nerwy nie wytrzymały, odwróciłam się nagle i rzuciłam do ucieczki, a uciekałam tak, jak gdyby jakaś widmowa dłoń usiłowała mnie złapać za spódnicę. Przebiegłam przez korytarz, minęłam drzwi i wpadłam prosto w ramiona pana Rucastle, który czekał na zewnątrz.

— Ach, tak — powiedział z uśmiechem — więc to pani była. Tak też sobie pomyślałem, gdy zobaczyłem otwarte drzwi.

— Och, jak ja się boję! — wymamrotałam, dysząc ciężko.

— Moja miła panienko! Kochana, miła panienczko!

Nie ma pan pojęcia, jak pieszczotliwe i łagodne było jego obejście. — Cóż panią tak przeraziło, miła panienczko!?

Jego głos był nieco zbyt przymilny. Przebrał miarę. Toteż miałam się na baczności.

— Byłam taka niemądra, że poszłam sama do pustego skrzydła — odrzekłam. — Ale tam było tak pusto i samotnie w tym półmroku, że ogarnął mnie strach i wybiegłam stamtąd. Och, cóż za potworna cisza tam panowała!

— Czy tylko, to? — rzekł, przyglądając mi się bacznie.

— Tak. A co pan ma na myśli? — spytałam.

— Jak pani sądzi, czemu ja zamykam te drzwi?

— Nie mam pojęcia.

— Po to, aby tam nie wchodzili ludzie niepowołani. Rozumie pani? — Jeszcze się wciąż uśmiechał w bardzo uprzejmy sposób. — Gdybym wiedziała...

— No to teraz pani wie! A jeżeli pani jeszcze kiedykolwiek przekroczy ten próg — jego uśmiech stwardniał raptownie i zamienił się w grymas wściekłości. Wlepił we mnie ostry wzrok, a jego twarz przybrała szatański wyraz — rzuć panią na pożarcie brytanowi!

Byłam tak przerażona, że nie wiedziałam sama, co robię. Prawdopodobnie wyminęłam go i wbiegłam do swego pokoju. Nic więcej nie pamiętam. Oprzytomniałam, leżąc cała drżąc na łóżku. Wówczas pomyślałam o panu, panie Holmes. Nie mogłam tam dłużej mieszkać, nie zasięgnąwszy przedtem czyjejs rady. Bałam się tego domu, tego człowieka, jego żony, służby, nawet dziecka. Wszyscy mi się wydawali przerażający. Gdyby mi się udało pana tu sprowadzić, wszystko byłoby dobrze. Mogłam, rzecz jasna, uciec z tego domu, ale ciekawość moja była nieomal równie silna co przerażenie. Wkrótce powzięłam decyzję. Wyślę telegram do pana. Włożyłam płaszcz i kapelusz i poszłam do urzędu pocztowego, oddalonego o pół mili od dworu, a gdy wracałam, byłam już znacznie spokojniejsza. Gdy zbliżałam się do bramy, ogarnął mnie lęk i niepewność, czy pies nie został spuszczone, ale przypomniałam sobie, że Toller tego wieczoru był pijany do nieprzytomności, a wiedziałam przecież, że tylko on jeden z całego domu umiał sobie poradzić z tą dziką bestią, poza nim zaś nikt inny nie mógł go wypuścić. Dostałam się bezpiecznie do domu i pół nocy nie spałam, ciesząc się na myśl, że pana zobaczę. Bez trudu uzyskałam dziś rano zezwolenie na wyjście do Winchester, ale muszę wrócić przed trzecią, ponieważ państwo Rucastle wyjeżdżają z wizytą i będą nieobecni przez cały wieczór, wobec czego powinnam zająć się dzieckiem. Opowiedziałam panu wszystkie moje przygody, panie Holmes, i bardzo się będę cieszyła, jeżeli pan mi powie, co to wszystko znaczy, a przede wszystkim, co mam teraz począć.

Holmes i ja słuchaliśmy jak zaczarowani tej niezwyklej historii. Mój przyjaciel wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, z rękoma w kieszeniach i wyrazem głębokiej powagi na twarzy.

— Czy Toller jest wciąż jeszcze pijany? — zapytał.

— Tak. Słyszałam, jak jego żona mówiła do pana Rucastle, że nic nie może na to poradzić.

— To dobrze. Czy państwo Rucastle wyjeżdżają dziś wieczorem?

— Tak.

— Czy jest tam jakaś piwnica z dobrym, mocnym zanikiem?

— Tak. Piwnica na wino.

— Uważam, że postępowała pani przez cały ten czas jak dzielna i rozsądna dziewczyna, panno Hunter. Czy mogłaby pani dokonać jeszcze jednego wyczynu? Nie prosiłbym o to, gdybym nie uważał pani za zupełnie wyjątkową kobietę.

— Spróbuję. O co chodzi?

— Mój przyjaciel i ja zjawimy się w Copper Beeches o 7 godzinie. Państwa Rucastle w tym czasie już nie będzie, a Toller, miejmy nadzieję, będzie nieprzytomny. Pozostanie więc tylko pani Toller, która może wszczać alarm. Gdyby ją pani mogła wysłać z jakimś poleceniem do piwnicy, a następnie zamknąć na klucz, ułatwiłaby nam pani ogromnie całe zadanie.

— Zrobię to.

— Doskonale. Wobec tego rozpatrzmy dokładnie tę sprawę. Oczywiście, jest tylko jedno możliwe wyjaśnienie. Została tu pani sprowadzona po to, aby uosabiać kogo innego, podczas gdy właściwą osobę uwięziono w tamtym pokoju. To jest oczywiste. Co do osoby uwięzionej nie mam wątpliwości, że to jest córka, panna Alicja Rucastle, o ile pamiętam, która rzekomo wyjechała do Ameryki. Wybrano panią niewątpliwie ze względu na podobieństwo wzrostu, figury i koloru włosów. Prawdopodobnie w czasie jakiejś choroby, którą tamta osoba przechodziła, obcięto jej włosy, wobec tego i pani, rzecz jasna, musiała poświęcić swoje. Dziwnym trafem pani znalazła te jej warkocze. Mężczyzna wypatrujący na drodze, jest niewątpliwie jej przyjacielem, być może narzeczonym. Ponieważ pani w sukni tamtej dziewczyny była bardzo do niej podobna, chodziło im o to, aby widząc panią za każdym razem roześmianą, a tym bardziej gdy pani skinęła ręką, przekonał się naocznie, że panna Rucastle jest

w świetnym humorze i nie życzy sobie bynajmniej jego względów. Psa spuszcza się na noc, aby zapobiec jego usiłowaniom skontaktowania się z nią. To wszystko jest jasne. Najpoważniejszym momentem w tej całej sprawie są skłonności dziecka.

— Co to może mieć wspólnego, do licha? — wykrzyknąłem.

— Mój drogi Watsonie, ty jako lekarz ustawicznie zaznajamiasz się ze skłonnościami dziecka na podstawie obserwacji rodziców. Czyż nie rozumiesz, że odgrywa to równie doniosłą rolę w przypadkach odwrotnych? Często mi się zdarzało, że obserwując dzieci, wyrabiałem sobie właściwe pojęcie o charakterze ich rodziców. To dziecko jest skłonne do nienormalnego okrucieństwa dla samej przyjemności, a czy skłonność tę odziedziczyło po swym jowialnym ojcu, co podejrzewam, czy po matce, nie wróży to nic dobrego tej biednej dziewczynie, która jest w ich mocy.

— Pan z całą pewnością ma rację, panie Holmes — zawołała nasza klientka. — Przypomina mi się teraz tysiąc rzeczy, które utwierdzają mnie w przekonaniu, że pan trafił w sedno. Och, nie zwlekajmy ani chwili z pomocą temu biednemu stworzeniu!

— Musimy być oględni, gdyż mamy do czynienia z bardzo podstępny jegomościem. Do godziny 7 nic nie możemy zrobić. Ale o 7 będziemy już przy pani i długo nie potrwa, a rozwiążemy tę tajemnicę.

Byliśmy bardzo słowni, gdyż dokładnie o 7 przybyliśmy do Copper Beeches, zostawiając nasze bagaże w przydrożnej gospodzie. Kępa drzew o liściach ciemnych i lśniących jak polerowany metal w blasku zachodzącego słońca wskazałaby nam drogę do dworu, nawet gdyby nie było uśmiechniętej panny Hunter, która stała na progu domu. — Czy pani uporała się ze wszystkim? — zapytał Holmes. Z tyłu, pod schodami, rozlegało się głucho, lecz donośne dudnienie.

— To pani Toller w piwnicy — powiedziała panna Hunter. — Jej mąż leży w kuchni na kocu i chrapie. Oto jego klucze, które są odpowiednikami kluczy pana Rucastle.

— Dobrze się pani spisała! — zawołał Holmes z entuzjazmem. — Teraz proszę nam wskazać drogę, a niebawem położymy kres tym wszystkim ciemnym sprawkom.

Weszliśmy na schody, otworzyliśmy drzwi, minęliśmy korytarz i znaleźliśmy się tuż przed zabarykadowanymi drzwiami, które nam panna Hunter opisywała. Holmes przeciął sznur i odsunął poprzeczną sztabę. Następnie próbował dopasować różne klucze do zamku, ale bez powodzenia. Żaden dźwięk nie wydobywał się z wewnątrz, i wobec tej ciszy twarz Holmesa spochmurniała. !

— Mam nadzieję, że nie przybyliśmy za późno — powiedział. — Wydaje mi się, panno Hunter, że lepiej, abyśmy tam weszli bez pani. Watsonie, pomóż nam swoim ramieniem, a zobaczymy, czy można się tędy przedostać do pokoju.

Drzwi były stare, słabe w zawiasach i ustąpiły od razu pod naciskiem naszych złączonych sił. Wpadliśmy obaj do pokoju. Był pusty. Mebli nie było tam żadnych poza małym łóżkiem, małym stolikiem i koszem z bielizną. Dziura w suficie stała otworem, a więzień zniknął.

— Tu popełniono jakieś łajdactwo — powiedział Holmes — ten gagatek domyślił się zamiarów panny Hunter i wprowadził swą ofiarę.

— Ale w jaki sposób?

— Przez otwór w suficie. Zaraz zobaczymy, jak on to zrobił.

Holmes wciągnął się na dach.

— Ach, tak — zawołał — tu jest koniec długiej, lekkiej drabiny, opartej o okap. Więc on to tak zrobił.

— Ależ to jest niemożliwe — powiedziała panna Hunter — drabiny tam nie było, gdy państwo Rucastle wyjeżdżali.

— Wobec tego on wrócił i wtedy to zrobił. Mówię pani, że to sprytny i niebezpieczny człowiek. Nie byłbym zbyt zdziwiony, gdyby się okazało, że to jego kroki słyszę właśnie na schodach. Według mnie, Watsonie, lepiej abyś miał pistolet w pogotowiu.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy w drzwiach ukazał się tęgi, krzepki mężczyzna z ciężką laską w ręku. Panna Hunter krzyknęła na jego widok i przycisnęła się do ściany, ale Sherlock Holmes skoczył mu naprzeciw.

— Ty łajdaku — powiedział — gdzie twoja córka? Grubas potoczył wokoło oczyma i podniósł je ku otwartej dziurze w dachu.

— To ja powinienem o to zapytać — wrzasnął. — Złodzieje! Szpicle i złodzieje! Złapałem was, co? Mam was w swoim ręku! Ja się wam przysłużę!

Odwrócił się i zagrzmocił z całych sił po schodach na dół.

— On poszedł po psa! — krzyknęła panna Hunter.

— Mam rewolwer — powiedziałem.

— Zamknijmy lepiej wejściowe drzwi — zawołał Holmes i zbiegliśmy wszyscy razem w dół po schodach. Ale zaledwie dotarliśmy do halki, usłyszeliśmy ujadanie psa, a następnie okropny krzyk bólu i straszliwy, żalony jęk, którego nie można było słuchać bez przerażenia. Stary człowiek o czerwonej twarzy i drżących kończynach wyszedł chwiejnie z bocznych drzwi.

— Mój Boże! — wołał. — Ktoś wypuścił psa! A on nie był karmiony przez dwa dni. Szybko, szybko, bo będzie za późno!

Holmes i ja wybiegliśmy, skręcając za róg domu, a Toller śpieszył za nami. Ujrzeliśmy olbrzymią, zgłodniałą bestię o czarnym pysku wczepionym w krtań Rucastle'a, który krzyczał i wił się na ziemi. Strzeliłem biegnąc i roztrzaskałem psu łeb, aż upadł, ale jego ostre, białe zęby wciąż jeszcze były zwarte na pofalowanej szyi Rucastle'a. Rozdzieliliśmy ich z wielkim trudem, po czym zanieśliśmy go jeszcze żywego, ale straszliwie okaleczonego, do domu. Położyliśmy Rucastle'a w salonie na sofie i po odesłaniu trzeźwego już Tollera, aby zawiadomił swoją żonę, uczyniłem wszystko, co mogłem, żeby mu ulżyć w bólu. Staliśmy wszyscy wokół niego, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła wysoka, chuda kobieta.

— Pani Toller! — zawołała panna Hunter.

— Tak, panienko. Pan Rucastle mnie uwolnił po swym, powrocie, zanim poszedł do was na górę. Ach, panienko, szkoda, że mnie panienka nie zawiadomiła o swoich zamiarach, bo byłabym powiedziała, że wasze wysiłki były niepotrzebne.

— Ha! — powiedział Holmes, patrząc na nią przenikliwie. — Widać, że pani Toller więcej wie o tej sprawie niż ktokolwiek inny.

— Istotnie, proszę pana, i jestem gotowa opowiedzieć to, co wiem.

— Wobec tego proszę usiąść i opowiadać, albowiem jest tu kilka momentów, które muszę przyznać, są wciąż dla mnie niejasne...

— Ja je panu zaraz wyjaśnię — rzekła pani Toller — i zrobiłabym to już wcześniej, gdybym się mogła wydostać z piwnicy. O ile wyniknie z tego sprawa sądowa, proszę pamiętać, że byłam jedyną osobą, która trzymała stronę pańskiej znajomej, a byłam również przyjaciółką panny Alicji. Panna Alicja nie była szczęśliwa w tym domu, odkąd się jej ojciec powtórnie ożenił. Była zawsze taka mała, cicha i nie miała tu nigdy nic do powiedzenia. Ale dopiero wówczas zaczęło się jej źle powodzić, gdy w znajomym domu poznała pana Fowlera. O ile wiem, panna Alicja miała własny majątek, zapisany jej w testamencie, ale była zawsze spokojna i cierpliwa, w te sprawy się nie wtrącała i wszystko zostawiała w rękach pana Rucastle. On wiedział, że mu z jej strony nic nie groziło, ale gdy się nawinęła okazja do zamążpójścia, a mąż zażądałby z całą pewnością wszystkiego, co by mu się prawnie należało, ojciec postanowił położyć temu kres. Zażądał od córki, żeby podpisała papier, upoważniający go do dysponowania jej pieniędzmi

niezależnie od zamążpójścia. Gdy ona na to nie przystała, tak ją męczył, aż dostała zapalenia mózgu i przez sześć tygodni walczyła ze śmiercią. Wreszcie wyzdrowiała, ale wychudła jak cień, a jej piękne włosy zostały obcięte. Nie zmieniło to jednak uczuć jej kawalera i trwał przy niej wiernie, jak to czasem mężczyzna potrafi.

— Ach — powiedział Holmes. — To, co pani nam była dobra opowiedzieć, zupełnie sprawę wyjaśnia, a resztę potrafię już uzupełnić sam. Pan Rucastle wówczas prawdopodobnie wziął się na sposób i zastosował rodzaj aresztu?

— Tak, proszę pana.

— A pannę Hunter sprowadził z Londynu w tym celu, aby się pozbyć przykrew natarczywości pana Powlera?

— Tak było, proszę pana.

— Ale pan Fowler, jako dobry marynarz, był człowiekiem wytrwałym, obstawił dom i spotkawszy się z panią, przekonał ją za pomocą pewnych argumentów, metalowych czy innych, że w pani interesie leży współdziałanie z nim.

— Pan Fowler to bardzo grzeczny i hojny pan — powiedziała pani Toller pogodnie.

— No i w ten sposób, dzięki jego staraniom, pani małżonek mógł pić, ile chciał, a drabina została przystawiona akurat w tej samej chwili, gdy pan wasz odjechał?

— Ma pan rację, proszę pana, tak się to stało.

— Moim zdaniem, powinniśmy panią przeprosić, pani Toller — powiedział Holmes — bowiem pani nam wyjaśniła to, co było dla nas zagadką. Ale oto zbliżają się miejscowy chirurg i pani Rucastle, toteż uważam, Watsonie, że powinniśmy towarzyszyć panie Hunter w powrotnej drodze do Winchester, wydaje mi się bowiem, że nasze *locus standi* jest obecnie raczej wątpliwe.

W ten oto sposób została rozwiązana tajemnica ponurego domostwa z kępą czerwonych buków przed frontowym wejściem. Pan Rucastle wyzdrowiał, ale odtąd był już zawsze człowiekiem załamanym, żyjącym jedynie dzięki troskliwej opiece oddanej mu żony. Mieszkają stale w swym dworze wraz z dawną służbą, która prawdopodobnie sporo wie o przeszłości pana Rucastle, w związku z czym trudno mu się z nią rozstać. Pan Fowler i panna Rucastle, po uzyskaniu specjalnego zezwolenia, pobrali się w Southampton nazajutrz po dokonaniu ucieczki. Pan Fowler jest obecnie urzędnikiem państwowym, piastującym urząd na Wyspie Mauritiusa. Co do panny Violetty Hunter, jak tylko przestała być ośrodkiem jednego z problemów, mój przyjaciel Holmes, ku mojemu rozczarowaniu, stracił wszelkie zainteresowanie dla jej osoby. Obecnie jest kierowniczką prywatnej szkoły w Walsall i podobno osiągnęła w pracy duże powodzenie.

Przeł. Irena Szeligowa
The Copper Beeches